bezwierszówki

SDP
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Olsztynie

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY nr 11-12 (125-126) listopad-grudzień 2015 ISSN 1732-7237

GDZIE BÓG PŁACZE

ŚWIAT MILCZY TY DZIAŁAJ

Czy wiesz, że ...

... 105 tys. chrześcijan ginie rocznie za wiarę w Chrystusa?

... co 5 minut ginie 1 chrześcijanin?

... 200 milionów chrześcijan jest brutalnie prześladowanych?

... w ponad 70 krajach świata łamie się prawo do wolności religijnej?

... 350 milionów chrześcijan poddawanych jest różnym formom dyskryminacji

więcej na www.pkwp.org

© MARIUSZ SAKOWICZ

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

ul. Wiertnicza 142
02-952 Warszawa
tel./fax: +48 22 845 17 09

ING Bank Śląski o/Warszawa
31 1050 1025 1000 0022 8674 7759

dublet
10-026 Olsztyn
ul. Stare Miasto 36
tel. 89 535 97 81

Pieśń Kwidzyniaków

Program wychowania w Polskim Gimnazjum w Kwidzynie wyrażała skrótowo w dziedzinie emocjonalnej trzyzwrotkowa „Pieśń Kwidzyniaków". Łączyła ona wychowawcze wartości regionalizmu, jaki reprezentowaliśmy, obejmując przeszłość, teraźniejszość i przyszłość ludu Polskiego w Niemczech, oraz określała naszą, Kwidzyniaków, postawę wobec zbliżającej się rzeczywistości. Pragnęliśmy przygotować naszych wychowanków, nawet na możliwość takiego konfliktu zbrojnego, w wyniku którego może dla narodu polskiego zgasnąć słońce wolności. Nie wiedzieliśmy wówczas, że słowa naszej programowej pieśni spełnią się, i to bardzo szybko...

Przeminęły już wieki, a myśmy ostali,
Burzom dziejów nie dali się zgnieść,
Sztandar walki,
co w ręce Ojcowie nam dali,
To nasz honor i wiara, to cześć.

Bo takie jest nasze hasło:
Wierzyć w czyn a nigdy w słowo.
Choćby nam i słońce zgasło,
Zapalimy je na nowo.

Równaj front
i do walki bądź gotów i zbrojny,
Braciom w trudzie pomocną daj dłoń,
Na zamiary mierz siły
i w czas niespokojny
Czujny stań się na okrzyk: Za broń!

Bo takie jest nasze hasło...

Wicher dziejów niewoli
rozerwie kajdany,
Lud swych losów ster ujmie i rząd,
Wyzwoloną pieśń
wpisze swą krwią na sztandary,
Co zwycięski prowadzą nasz front.

Bo takie jest nasze hasło...

WŁADYSŁAW GĘBIK

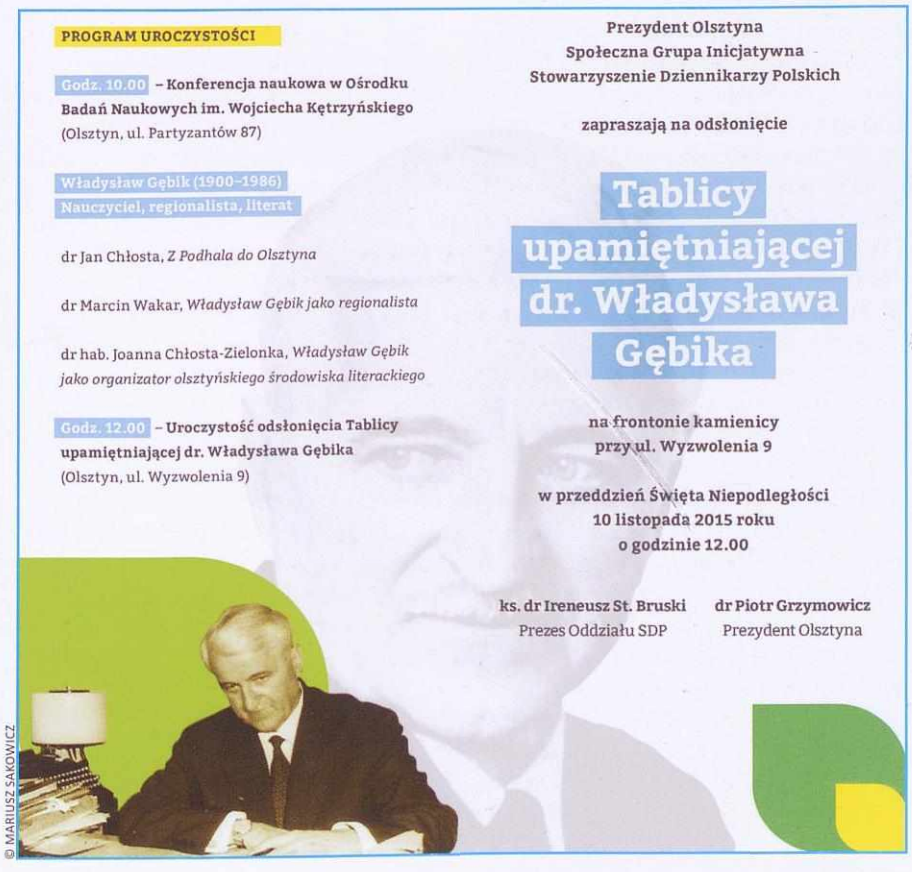

© MARIUSZ SAKOWICZ

Od naczelnego

Nasz Doktor

W przeddzień Święta Niepodległości stolica Warmii upamiętni Warmiaka z Podhala, jak wielu określa Władysława Gębika, który swoje życie po 1945 roku poświęcił naszemu regionowi. Na frontonie olsztyńskiej kamienicy przy ul. Wyzwolenia 9, w której w latach 1946-1964 Doktor mieszkał, zostanie odsłonięta pamiątkowa Tablica.

Przygotowania do tego dnia trwały równo rok. Był to czas szczególnego trudu i zmagań. Sam pomysł spotkał się z aprobatą wielu, jednak dalej już nie było tak łatwo... Mamy się jednak z czego cieszyć, zatem o tych trudach i przeciwnościach, które były, dzisiaj w tym miejscu pisać nie będę. Pragnę natomiast wyrazić wielką wdzięczność wszystkim, którzy w szczęśliwym zakończeniu projektu mają swój udział. Przede wszystkim dziękuję pani Elżbiecie Fabisiak, bez której doświadczenia i zaangażowania o wiele trudniej byłoby przeprowadzić całe dzieło. Bardzo dziękuję młodym artystkom Państwowego Liceum Plastycznego w Olsztynie – Marcie Buszmak i Angelice Tamkun, które pod kierunkiem pana Adama Cieślaka wykonały projekt Tablicy pamiątkowej. Dziękuję panom Zenonowi i Pawłowi Szewczakom, w których firmie „Metacol" powstaje odlew Tablicy, i panu Szymonowi Konecko, którego Pracownia Konserwatorska „Stiuk" dokona umieszczenia jej na frontonie kamienicy. Dziękuję tym urzędnikom olsztyńskich instytucji, którzy okazali swoją życzliwość podczas załatwiania rozlicznych spraw proceduralnych. Dziękuję wszystkim, którzy odpowiedzieli na apel wsparcia finansowego tego dzieła. Liczymy na dalsze wpłaty, aby zrealizować całość planów związanych z upamiętnieniem naszego Doktora, o których na tych łamach będziemy informować.

Wyrażając wdzięczność, w imieniu Społecznej Grupy Inicjatywnej oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, serdecznie zapraszam na uroczystość odsłonięcia Tablicy oraz konferencję w Ośrodku Badań Naukowych, która poprzedzi to wydarzenie w dniu 10 listopada.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

W numerze: Konkurs Chopinowski – *2* • Aktualności... – *3* • Temida *contra* dziennikarze – *8* • Piórem felietonisty (J. Wegner, T. Bochwic, M. Palczewski) – *9-11* • Dziennikarz i dziennikarstwo – *12* • Widziane z Warszawy (S. Truszczyński) – *13* • SB wobec mediów (P. Kardela) – *15* • Twarze mediów: Monika Szczygło (A. Brzozowski) – *20* • Dziennikarze czy hejterzy (J. Rosłan) – *22* • „Przy kawie" z... Anną Dymną (M. Szczygło) – *24* • Warmiak ze Szczyrzyca (I. Bruski) – *26* • Władysław Gębik we wspomnieniach... – *27* • Ostródzkie media – VIII (Z. Połoniewicz) – *30* • Nowości kulturalne – *32* • Zdążyć z Pomocą – *34* • Z Holandii (J. Paszkiewicz-Jägers) – *37* • Z Grecji (I. Bruski) – *39* • Rozmowa z Witoldem Gadowskim (B. Pajchert) – *40* • Z Anglii (E. Królikowska-Avis) – *41* • Z pomocą Syrii (PKWP) – *42* • Reduta Dobrego Imienia (M. Świrski) – *44* • Niemieckie obozy... (M. Wardzyńska) – *46* • Piękno kaligrafii w polskiej Konstytucji. Rozmowa z Ewą Landowską (A. Wolska) – *48* • Artystyczne wędrówki (T. Brzeski) – *50* • Tłumiona miłość (Z. Złakowski) – *52* • Film (E. Królikowska-Avis, M. Sokołowski) – *54* • XI Mistrzostwa fotograficzne (P. Staszak) – *56* • O tajemnicy dziennikarskiej (M. Palczewski) – *58* • Refleksje filmowego mistrza (M. Sokołowski) – *59* • Okiem satyryka (A. Brzozowski) – *59* • Odeszli trochę dalej... (S. Truszczyński) – *60* • Nagrobki mówią o nich prawdę (A. Draminski) – *62* • Nasze sprawy – *64*

Na okładce: *I* – „Polska, moja Ojczyzna" – praca konkursowa Zuzanny Adamas, Nagroda Główna w konkursie tygodnika „W Sieci", 2015. FOT. © ZUZANNA ADAMAS ART, *IV* – Sanktuarium Maryjne w Krośnie na Warmii. FOT. © PAWEŁ STASZAK

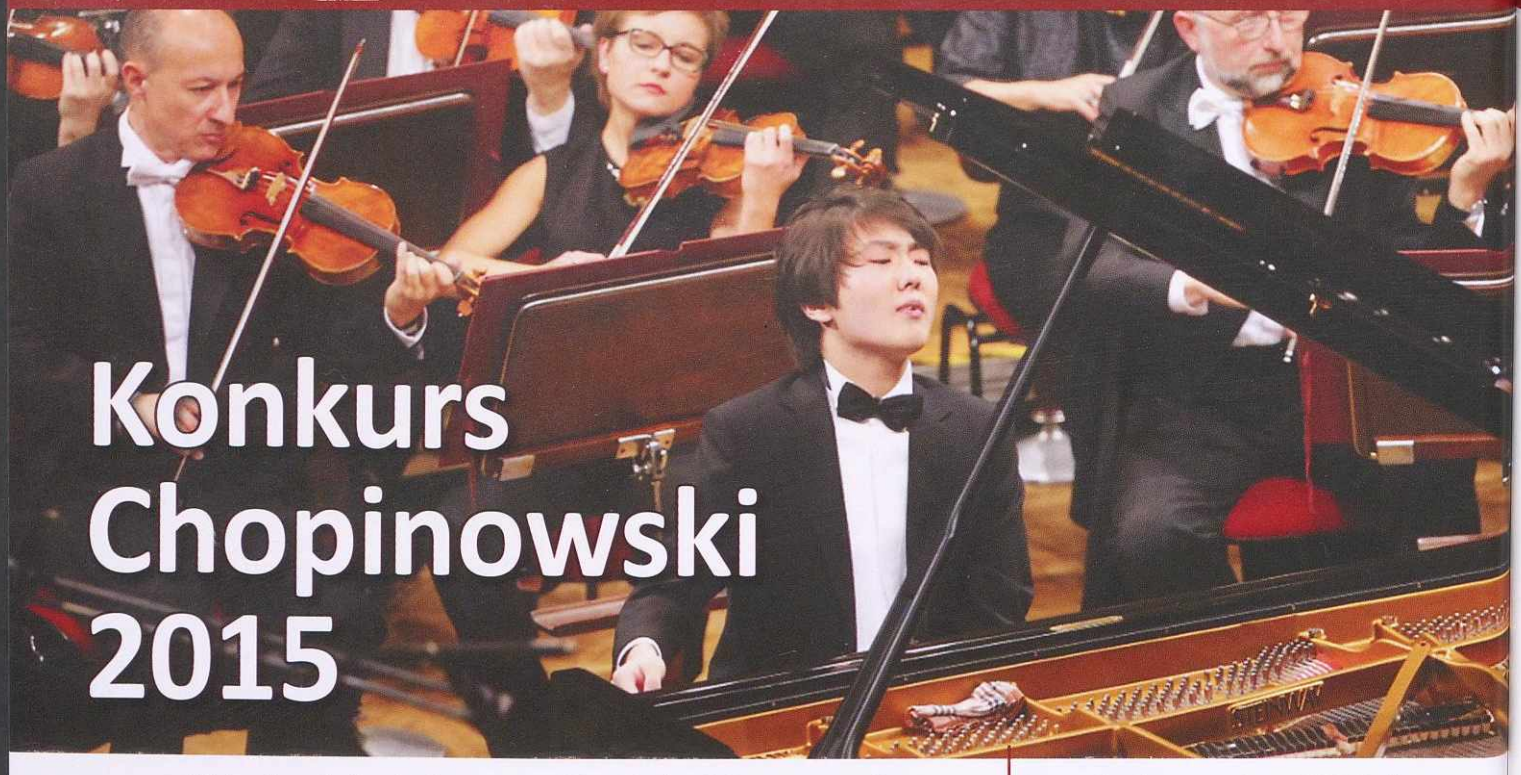

Konkurs Chopinowski 2015

Seong-Jin Cho – zwycięzcą XVII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina

FOT. © GRZEGORZ ŚLEDŹ / PR2

20 października zakończyły się przesłuchania finałowe XVII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Zwycięzcą, laureatem I nagrody i zdobywcą złotego medalu – pierwszy raz w historii – okazał się koreański pianista.

Odnosi się wrażenie, że po raz ostatni takie emocje Konkursowi towarzyszyły chyba przed dekadą, gdy tryumfował Rafał Blechacz, czy też w 1980 roku, gdy wybuchła wielka awantura o Ivo Pogorelića. W bieżącym roku, dzięki Internetowi i mediom społecznościowym, zaistniało nowe odkrycie Konkursu i muzyki Chopina.

Nagrody w tegorocznej edycji Konkursu zdobyli:

Nagrody główne

I – Seong-Jin Cho z Korei Południowej (ur. 28 maja 1994 roku w Seulu, studiuje w Konserwatorium Paryskim pod kierunkiem Michela Beroffa. Jest zwycięzcą Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Moskwie – 2008 i konkursu pianistycznego w Hamamatsu – 2009),

II – Charles Richard-Hamelin z Kanady (ur. 17 lipca 1989 roku w Lanaudière. Kształcił się pod kierunkiem Paula Surdulescu, Sary Laimon, Borisa Bermana i André Laplante'a. W 2011 roku zdobył dyplom licencjacki na Uniwersytecie McGill, a w roku 2013 magisterium w Yale School of Music),

III – Kate Liu z USA (ur. 23 maja 1994 roku w Singapurze. Kształciła się w Instytucie Muzyki w Chicago u Alana Chowa, Micah Yui i Emilia del Rosario. Obecnie przygotowuje dyplom licencjacki w Curtis Institute of Music pod kierunkiem Roberta McDonalda),

IV – Eric Lu z USA (ur. 15 grudnia 1997 roku. Naukę gry rozpoczął w wieku sześciu lat u Dorothy Shi, następnie kształcił się w New England Conservatory Preparatory School w klasie Alexandra Korsantia i A. Ramona Rivery. Od 2013 roku studiuje w Curtis Institute of Music w Filadelfii u Jonathana Bissa i Roberta McDonalda. Jest również uczniem Dang Thai Sona. Zakwalifikowany do udziału w XVII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina jako zdobywca I nagrody Amerykańskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Miami – 2015),

V – Yike (Tony) Yang z Kanady (ur. 7 grudnia 1998 roku. Jest studentem Juilliard School of Music w klasie Juliana Martina, jak również kształci się pod kierunkiem Dang Thai Sona),

VI – Dmitry Shishkin z Rosji (ur. 12 lutego 1992 roku w Czelabińsku. Pierwszych lekcji fortepianu udzielała mu matka, nauczycielka i pianistka. W wieku trzech lat dał swój pierwszy koncert, a z orkiestrą wystąpił trzy lata później. Od czwartego roku życia kształcił się w Szkole im. Piotra Czajkowskiego w rodzinnym mieście. Po pięciu latach wstąpił do moskiewskiej szkoły im. Gniesinych i rozpoczął naukę pod kierunkiem Mikhaila Khokhlova. Od 2010 roku studiuje w tamtejszym Konserwatorium u Eliso Virsaladze).

Wyróżnienia

Aljoša Jurinić z Chorwacji (ur. 2 czerwca 1989 roku w Zagrzebiu, debiutował w Londynie w 2007 roku. W latach 2011-2014 studiował w Scuola di Musica w Fiesole w klasie Eliso Virsaladze, a obecnie przygotowuje dyplom koncetrowy w Hochschule fűr Musik Franza Liszta w Weimarze pod kierunkiem Grigorija Gruzmana),

Aimi Kobayashi z Japonii (ur. 23 września 1995 roku w Ube. Od ósmego roku życia była uczennicą Yuki Ninomiya, a obecnie studiuje w Curtis Institute of Music w Filadelfii. W Japonii zadebiutowała z orkiestrą w Kyushu w wieku siedmiu lat, a na scenie międzynarodowej z recitalem dwa lata później),

Szymon Nehring z Polski (ur. 29 września 1995 roku w Krakowie. Naukę gry rozpoczął w wieku pięciu lat. Ukończył z wyróżnieniem Szkołę Muzyczną w rodzinnym mieście. Obecnie jest studentem Akademii Muzycznej w Budgoszczy w klasie Stefana Wojtasa),

Georgijs Osokins z Łotwy (ur. 25 kwietnia 1995 roku w Rydze. Naukę gry na fortepianie rozpoczął w wieku pięciu lat, a na estradzie zadebiutował jako dziesięciolatek wykonaniem Koncertu d-moll KV 466 Mozarta z towarzystwem Narodowej Orkiestry Łotewskiej. Studiuje pod kierunkiem Sergejsa Osokinsa, od 2009 roku pobiera też prywatne lekcje u Mikhaila Voskresenskiego. Od września 2015 roku kontynuuje naukę w Juilliard School of Music).

Nagrody specjalne

Nagroda Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków – Kate Liu, Nagroda Towarzystwa im. Fryderyka Chopina za najlepsze wykonanie poloneza – Seong-Jin Cho, Nagroda Krystiana Zimermana za najlepsze wykonanie sonaty – Charles Richard-Hamelin. Nagroda publiczności – Szymon Nehring.

Zwycięzcom gratulujemy, a Programowi 2 Polskiego Radia i TVP Kultura dziękujemy za transmisje i studia konkursowe, a także za utworzenie przez Polskie Radio z okazji Konkursu Chopinowskiego nowego Cyfrowego Radia Chopin.

ANDRZEJ SZTUMSKI

III Polsko-Ukraińskie Forum Dziennikarzy

Już po raz trzeci – 28-29 września – w Domu Dziennikarza w Kazimierzu Dolnym spotkali się dziennikarze z Polski i Ukrainy na Polsko-Ukraińskim Forum Dziennikarzy.

Dziennikarze rozmawiali o najbardziej aktualnych problemach środowiska dziennikarskiego w Polsce i na Ukrainie, a także o wiarygodności mediów i samych dziennikarzy oraz o sposobach przeciwdziałania propagandzie i manipulacji.

Tatiana Kotuzhynska ze Związku Dziennikarzy Ukrainy mówiła o roli samoregulacji w środowisku dziennikarskim. Według wszystkich badań poziom zaufania do mediów w Ukrainie systematycznie spada i niebezpiecznie zbliża się do punktu, w którym brak zaufania do mediów przeważy. Jest to z jednej strony efekt agresywnych działań propagandowych, ale z drugiej strony paradoksalnie – efekt obnażania fałszerstw propagandy prowadzonych przez platformy społeczne takie jak stopfake.org. Ludzie czytając o podstępach propagandy przestają wierzyć jakimkolwiek źródłom informacji. Także dziennikarstwo zaangażowane patriotycznie, wyolbrzymiające pozytywne fakty z pominięciem faktów niewygodnych nie służy wiarygodności środowiska.

Procedura samoregulacji, która miałaby się opierać na dobrowolnym uznaniu przez dziennikarzy i redakcje określonego, wynegocjowanego uprzednio w środowisku, zestawu zasad etycznych – umożliwiałaby odróżnienie dziennikarza od blogera-amatora lub uczestnika sieci społecznościowych komentującego bieżące wydarzenia.

Wszyscy dyskutanci podkreślali, że odzyskanie wiarygodności przez dziennikarzy i media jest konieczne. Dyskutowano nad propozycjami instytucjonalizacji tego procesu, a przede wszystkim nad odpowiedzią na pytanie, czy jest to potrzebne. „Jeśli dziś nie zajmiemy się samoregulacją, jutro będziemy walczyć z regulacja państwową" – podsumował Oleksandr Bukhtaty, członek związku dziennikarzy, konsultant w Kancelarii Prezydenta Ukrainy.

Podczas drugiego dnia spotkania dziennikarze z Polski i Ukrainy rozmawiali o propagandzie rosyjskiej i wojnie informacyjnej, jaką Rosja toczy w przestrzeni medialnej. Dyskusję poprzedziła prezentacja dr. Kazimierza Wóycickiego – historyka, politologa i dziennikarza, wykładowcy Uniwersytetu Warszawskiego, pokazująca mechanizmy propagandy i manipulacji w Internecie.

Omawiając zjawiska, z jakimi mamy do czynienia w przestrzeni wirtualnej, Kazimierz Wóycicki podkreślił ich rzeczywisty wpływ na społeczeństwa. Nie żyjemy już w czasach opisanych jako społeczeństwo spektaklu, w którym niewielu nadaje, a bardzo wielu odbiera. Żyjemy w czasach Internetu – wszyscy nadają i wszyscy odbierają. Łatwość szerzenia dowolnych treści, również fałszywych i propagandowych, ułatwia anonimowość, bezkarność i relatywnie niskie koszty tworzenia przekazu w Internecie. Jak przeciwdziałać propagandzie w sieci? „Obroną jest wysoka kultura polityczna. Kampanie poniżające prezydenta, reprezentującego przecież państwo polskie, są często dziełem rosyjskich trolli" – powiedział Wóycicki. Na szczęście każda akcja w Internecie wzbudza kontrakcję. Nie ma tak silnego portalu, który mógłby mieć przeważający wpływ.

Zamykając obrady prezes SDP Krzysztof Skowroński podkreślił: „Jeżeli chcemy zbudować świat ludzi wolnych, musimy oprzeć go na prawdzie. Mam nadzieję, że uda nam się poszerzyć skład naszego kolejnego spotkania o uczestników z Rosji, tak abyśmy odrzucili nie tylko rosyjską propagandę, ale każdą propagandę".

DOROTA ZIELIŃSKA

Polsko-ukraiński dialog mediów

Spotkania w Kazimierzu Dolnym są cenne nie tylko dla dziennikarzy ukraińskich. Równie kształcące są dla Polskich przedstawicieli mediów zrzeszonych w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Poruszane są tutaj nie tylko kwestie statusu ludzi mediów, ale również aspekty prawne czy bezpieczeństwa wykonywania zawodu.

– Możemy już mówić o systemowej współpracy ukraińskich organizacji branżowych z SDP – twierdzi Serhij Tomilenko, przewodniczący Niezależnego Związku Mediów Ukrainy. – Dla nas niezwykle ważne jest polskie doświadczenie w budowie niezależnych mediów. To właśnie spotkania z naszymi kolegami z Polski zainspirowały nas do reformy mediów i tworzenia mediów obywatelskich.

Ukraińscy dziennikarze, reprezentujący organizacje związkowe, zainteresowani są polskimi doświadczeniami w kwestii usankcjonowania zawodu dziennikarza, jego bezpieczeństwa i rzetelności mediów. Na Ukrainie trwają prace nad powstaniem karty dziennikarza, która zdaniem pomysłodawców będzie narzędziem w walce z negatywnymi przejawami w zawodzie, który powinien się cieszyć zaufaniem społecznym.

Ciąg dalszy na s. 4 →

→ Ciąg dalszy ze s. 3

– Pomysł powstał jeszcze w roku 2013 – mówi Tatiana Kotiużynska, prezes Stowarzyszenia Prawników Mediów. – Pojawiać się wtedy zaczęły w rosyjskich mediach zmanipulowane informacje dotyczące sytuacji na Ukrainie. Wówczas Komisja Etyki Dziennikarskiej zwróciła się z apelem do rosyjskich kolegów o zaprzestanie rozpowszechniania nieprawdziwych informacji. W lutym 2014 część rosyjskich dziennikarzy z Organizacji Samoregulacji Dziennikarskiej przyznała, że materiały dotyczące Majdanu były zmanipulowane.

Na wniosek dziennikarzy ukraińskich powstała propozycja stworzenia międzynarodowej komisji, składającej się z przedstawicieli Organizacji Samoregulacji Dziennikarskiej Ukrainy, Rosji, Mołdawii, Azerbejdżanu i Gruzji. Zaproponowano, aby wspólnie wydawać opinię na temat materiałów i mediów rozpowszechniających nieprawdziwe informacje.

Jednocześnie ukraińska organizacja rozpoczęła tworzenie mediów mających przeciwdziałać rosyjskiej propagandzie. W tej chwili ich sukcesem jest spadek poziomu zaufania do rosyjskich mediów na Ukrainie. – Propaganda i manipulacja, to nie dziennikarstwo – podkreśla Tatiana-Kotiużynska. – Dlatego chcemy oceniać i pokazywać osoby, które uprawiają ten proceder.

Centrum Badań Opinii Społecznej im. Razumkowa opublikowało badania, z których wynika, że na Ukrainie zaufanie społeczne do mediów tylko nieznacznie przekracza liczbę osób odmawiających tego zaufania. Zdaniem Tatiany Kotiużynskiej sytuację może zmienić wprowadzenie karty dziennikarza, która będzie wydawana przez redakcje lub organizacje branżowe. W przypadku zachowania nierzetelnego lub dalekiego od etyki, dziennikarzowi grozić będzie utrata karty, co w praktyce oznaczać ma dezaprobatę całego środowiska.

Karta dziennikarza ma też wyeliminować fałszywych dziennikarzy, którzy pojawiają się w czasie wyborów i uniemożliwiają prace komisji wyborczych. Posiadają oni zazwyczaj legitymacje prasowe nieistniejących redakcji. Centralna baza danych, jakiej stworzenie byłoby możliwe przy wydawaniu kart dziennikarskich, uniemożliwiłoby działalność fałszywym dziennikarzom.

Wśród polskich uczestników spotkania, zdania co do zasadności koncesjonowania działalności dziennikarskiej były mocno podzielone. Część uznała, że wprowadzenie karty dziennikarza nie zlikwiduje negatywnych zjawisk, a tylko może ograniczyć dostęp do wykonywania dziennikarskiej profesji. Jednak w realiach Ukrainy, wprowadzenie nowego mechanizmu egzekwowania rzetelności dziennikarskiej wydaje się niezwykle uzasadnione. – Ludzie potrzebują instrumentu, który pozwoliłby odróżnić informacje prawdziwe od propagandy – uzasadniała Tatiana Kotiużynska.

Podczas spotkania dyskutowano też kwestie zagrożeń wynikających z wykonywania zawodu dziennikarza. Jedną z dróg regulujących te kwestie na Ukrainie jest doprowadzenie do wypracowania odpowiednich zapisów prawnych i systemu ich egzekwowania. – Jeśli dzisiaj środowisko dziennikarskie nie będzie walczyło o kwestie samoregulacji, to jutro będzie walczyć z regulacjami przygotowanymi przez władzę – Oleksandr Bukhtaty, doradca prezydenta Ukrainy.

Z wypowiedzi ukraińskich dziennikarzy wyraźnie wynikało, że w tym zawodzie postępuje wzrost zagrożeń. Jeszcze w roku 2000 przestępstwa przeciw dziennikarzom nie były w ogóle rejestrowane. Później wprowadzono zapis, który za celowe utrudnianie pracy dziennikarzy przewidywał karę grzywny w wysokości 51 hrywien (wówczas niewiele ponad 10 złotych polskich). Również liczba aktów przemocy, w tym zabójstw dziennikarzy rośnie w zastraszającym tempie. Od 171 przypadków w roku 2009 do ponad 990 w roku 2014. Skokowy wzrost zagrożenia dla dziennikarzy występuje w latach, gdy przeprowadzane są wybory na różne szczeble władzy.

ANDRZEJ KLIMCZAK

Zagrożone bezpieczeństwo ukraińskich dziennikarzy

230 sprawami związanymi z naruszeniami prawa dotyczącymi utrudniania działalności zawodowej dziennikarzy zajmują się ukraińskie organy ścigania – poinformował Oleksandr Bukhtaty, członek Narodowego Związku Dziennikarzy Ukrainy.

Zgodnie z ukraińskim prawem utrudnianie pracy dziennikarzom jest przestępstwem opisanym w art. 171 kodeksu karnego. Według danych Związku Dziennikarzy Ukrainy od momentu wprowadzenia tego zapisu takich spraw zarejestrowano łącznie 538. Obecnie toczy się 230 postępowań. – Dotyczą pogróżek, celowego uszkodzenia ciała, niszczenia mienia, zamachów na życie, czy porwań i utrzymywania dziennikarzy jako zakładników – wyliczał na III Polsko-Ukraińskim Forum Dziennikarzy w Kazimierzu Dolnym Oleksandr Bukhtaty, członek ZDU i konsultant w Kancelarii Prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki.

Z kolei z danych jakie przedstawiła Yuka Gavrilova z Niezależnego Związku Zawodowego Mediów Ukrainy wynika, że lawinowo wzrosła liczba przypadków naruszeń prawa w stosunku do dziennikarzy za prezydentury Wiktora Janukowycza. O ile latach 2002-2011 wahała się ona między 44 a 169 przypadków rocznie, to w 2011 roku stwierdzono 94 takie sytuacje. Rok później już 324, w 2013 – 496, a w 2014 roku – 995.

Odczuwamy brak politycznej woli związanej ze skutecznością rozwiązywania spraw dotyczących przestępstw dotyczący dziennikarzy – zauważył Sergiy Tomilenko z Narodowego Związku Dziennikarzy Ukrainy.

Kategorie naruszeń prawa przeciwko dziennikarzom na Ukrainie – liczba w 2014 (liczba w 2015):

Morderstwa – 7 (1),
Zastraszanie – 98 (27),
Cenzura – 152 (10),
Utrudnianie działalności zawodowej – 148 (48),
Napadnięcie – 288 (36).

A jak jest w Polsce? Dziennikarzy „chroni" prawo prasowe. Artykuł 43 tej ustawy mówi, że „kto używa przemocy lub groźby bezprawnej w celu zmuszenia dziennikarza do opublikowania lub zaniechania opublikowania materiału prasowego albo do podjęcia lub zaniechania interwencji prasowej – podlega karze pozbawienia wolności do lat 3".

Dziennikarze mają też swego rodzaju broń w walce z osobami, które próbują utrudnić im wykonywaniu zawodu. Chodzi o art. 44 prawa prasowego, w którym czytamy, że „kto utrudnia lub tłumi krytykę prasową – podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności".

TOMASZ NIEDOŚPIAŁ

Oddział Wielkopolski

Walne Zebranie w Poznaniu

23 września odbyło się w Poznaniu Walne Zebranie Członków Wielkopolskiego Oddziału SDP. Obrady prowadził Piotr Górski. Sprawozdanie z działalności ustępującego Zarządu przedstawiła prezes Anna Kopras-Fijołek. Opowiedziała o podjętych inicjatywach Zarządu, m. in. organizowanych spotkaniach, konkursach dziennikarskich, przeglądzie filmów kina niezależnego, dyżurach członków Zarządu oraz prawnika, udziale delegatów WO SDP w zjazdach: sprawozdawczo-wyborczym w Warszawie i programowym w Kazimierzu Dolnym, gdzie pracowano w zespołach roboczych (szerzej na ten temat opowiedział też sekretarz Eugeniusz Jarosik). Prezes podkreśliła, że udało się zmobilizować wielu członków Oddziału do uregulowania zaległości i dokonywania wpłat na bieżąco. W ciągu minionej kadencji do Oddziału zapisało się 16 osób.

Uczestnicy jednomyślnie przyjęli sprawozdanie Komisji Rewizyjnej i udzieli ustępującemu Zarządowi absolutorium.

Podczas wyborów do nowych władz statutowych Oddziału o funkcję prezesa ubiegało się dwoje dotychczasowych członków Zarządu: wiceprezes Piotr Laskowski i skarbnik Barbara Miczko-Malcher (padła też kandydatura dotychczasowej prezes, pełniącej te funkcję przez kilka kadencji – Anny Kopras-Fijołek, ale podziękowała i za tę propozycję, i za lata współpracy).

W tajnym głosowaniu 11 członków Oddziału oddało swój głos na Barbarę Miczko-Malcher, 6 na Piotra Laskowskiego. Do Zarządu weszli także: Grażyna Wrońska, Anna Kopras-Fijołek (skarbnik), Jolanta Hajdasz (wiceprezes), Piotr Laskowski i Eugeniusz Jarosik (sekretarz). Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali: Alicja Kopczyńska, Tadeusz Owczarzak-Gran i Marek Idzior, a do Komisji Członkowskiej: Barbara Ziółkowska, Wojciech Biedak i Michał Gulgowski.

W ramach wolnych głosów i wniosków rozmawiano m. in. o planach na kolejna kadencję. Zaapelowano do członków Oddziału o aktywny udział w działalności Wielkopolskiego Oddziału SDP.

Oddział Warszawski

Zmiany w Zarządzie

Informujemy, że Joanna Lichocka z uwagi na aktywność polityczną odeszła z Zarządu Oddziału Warszawskiego SDP. Jej miejsce zajęła Elżbieta Królikowska-Avis. Wiceprezesem Oddziału Warszawskiego SDP został Piotr Jegliński.

Dziękujemy Joannie i przy okazji życzymy powodzenia na nowym polu działań!

OW SDP

Apel przeciwko dyscyplinarnemu zwolnieniu dziennikarki i działaczki związkowej Agaty Ławniczak-Loby

Dziennikarka, która od ponad roku w sposób bezkompromisowy walczy o przywrócenie do pracy w Telewizji Publicznej 411 outsourcingowanych z TVP dziennikarzy, publikuje teksty o bezprawności i pozorności outsourcingu (wyprowadzenia dziennikarzy do firmy zewnętrznej), w ocenie OW SDP została ukarana za wykonywanie powinności dziennikarskich.

Oddział Warszawski SDP widzi w outsorsingu dziennikarzy zagrożenie dla wolności słowa i prawno-zawodowego statusu dziennikarzy w Polsce.

Domagamy się przywrócenia do pracy redaktor Agaty Ławniczak-Loby, oraz natychmiastowego cofnięcia przez Prezesa TVP Janusza Daszczyńskiego decyzji o outsourcingu dziennikarzy TVP.

Zarząd OW SDP
16 września 2015

„Wyzwania medialne i zobowiązania wiary"

– pod takim hasłem odbyła się 3 października Ogólnopolska Pielgrzymka Dziennikarzy zrzeszonych i niezrzeszonych w Katolickim Stowarzyszeniu Dziennikarzy oraz Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

Obecny był prezes SDP Krzysztof Skowroński i sekretarz generalny SDP Stefan Truszczyński oraz wiceprezesi KSD: Anna Pietraszek, ks. Roman Piwowarczyk i Marek Gizmajer wraz z dziennikarzami z całej Polski. Głównym punktem pielgrzymki była Eucharystia na Jasnej Górze, sprawowana pod przewodnictwem abp. Wacław Depo, przewodniczącego Rady ds. Środków Społecznego Przekazu KEP. Wcześniej dziennikarze spotkali się w Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II, gdzie rozmawiali o sytuacji i kondycji dziennikarstwa w Polsce. Był czas na ukazanie i podzielenie się tym wszystkim, co w świecie dziennikarskim jest ważne. Podczas spotkania prezes Maria Adamus z Wydawnictwa Szaniec, które od 20 lat wydaje tygodnik „Nasza Polska", otrzymała nagrodę KSD za niezłomną dziennikarską wierność Bogu i Ojczyźnie.

Dziennikarska podróż do źródeł wolności

Święty Jan Paweł II, Papież-Polak, podczas jednej z wizyt na Jasnej Górze wypowiedział znamienne słowa: „Tu zawsze czuliśmy się wolni". Dla dziennikarza wolność jest warunkiem *sine qua non* zawodowej egzystencji. Toteż od trzech lat Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich pielgrzymuje na Jasną Górę, by prosić o umocnienie, o ducha wolności i prawdy.

W tym roku pielgrzymom z SDP towarzyszyli koledzy z Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, co ważne, bo pokazuje, że „branża" się jednoczy, zapewne nie w całości, nie *en masse*, skoro rychło po zakończeniu pielgrzymki na portalu „Gazety Wyborczej" ukazał się nieprzyjazny (żeby nie powiedzieć: wredny) komentarz. Ale co tam – pies szczeka, a... pielgrzymka jedzie dalej.

To był bardzo piękny, dobry i ważny dzień. Towarzysząca pątnikom s. Dominika ze zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosierne-go przypomniała podczas drogi obecnym, w czym zasadza się istota pielgrzymowania. „Pielgrzymować – mówiła – to znaczy być w drodze: w drodze do Boga, w drodze do bliźniego, w drodze do Prawdy i Miłości". Pielgrzymem przez lata swej ziemskiej działalności był Chrystus, a największy człowiek naszych czasów, święty Jan Paweł II, swój pontyfikat uczynił – jak to określano – „pielgrzymką do świata". Ona sama też jest kimś w rodzaju pątniczki – w przyszłym roku udaje się z misją do Afryki, do Sierra Leone. A przecież misja to też forma pielgrzymki.

Częstochowa – to było najpierw spotkanie z abp. Wacławem Depą, ordynariuszem częstochowskim, w siedzibie Muzeum Medali i Monet Jana Pawła II, ufundowanym z prywatnych środków jednego człowieka dla upamiętnienia wielkości pontyfikatu „pielgrzyma naszych czasów". Abp Depo podziękował dziennikarzom za tę pielgrzymkę, wskazał na właściwość i celowość podejmowania takich akcji w czasach medialnego chaosu, podziałów, zawodowej i etycznej dezorientacji w środowisku ludzi mediów.

Prezes Krzysztof Skowroński [...] odpowiadając na słowa abp. Depy powiedział, że sensem dziennikarstwa jest pisanie prawdy, że bez tego dziennikarstwo nie istnieje. I dlatego Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i pokrewne organizacje dziennikarskie taki przyjęły kierunek działalności. Pielgrzymka obecna jest elementem realizacji takiego posłannictwa. Z księdzem arcybiskupem zebrani odmówili „Anioł Pański" – bo właśnie wybiło południe – i otrzymali pasterskię błogosławieństwo.

A potem, oprowadzeni po muzeum, serdecznie i „słodko" podjęci przez organizatorów dziennikarze – pątnicy udali się do stóp Pani Jasnogórskiej na Mszę św. przy cudownym obrazie. W modlitwie powszechnej Krzysztof

Skowroński powiedział: „Módlmy się, abyśmy zawsze mogli żyć i działać w prawdzie. Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie".

Droga powrotna upłynęła w klimacie modlitewnym, co zawdzięczaliśmy siostrze Dominice; poprowadziła „Koronkę do Miłosierdzia Bożego", zachęcała do wspólnego śpiewu, a potem – oznajmiła, że ma niespodziankę: fabularny amerykański film „Bóg nie umarł". W końcu mamy XXI wiek, więc oglądanie filmów podczas podróży autokarem to dziś „normalka", rutyna...

Trzeba przyznać, że film zrobił wrażenie. Opowiadał o młodym człowieku, chrześcijaninie, studencie filozofii na jednym z amerykańskich college'ów, który jako jedyny sprzeciwia się narzuconemu przez wykładowcę filozofii, typowego karierowicza, „produkt naszych czasów", wymogowi obowiązkowego ateizmu wśród jego studentów. Profesor każe każdemu ze studentów na początku pierwszych zajęć napisać na kartce słowa „Bóg umarł" i podpisać to imieniem i nazwiskiem. Bohater odmawia – co jest początkiem niezwykłego pojedynku duchowego i intelektualnego między nim a wykładowcą: chłopak otrzymuje propozycję... udowodnienia istnienia Boga! Klęska oznaczać będzie usunięcie studenta z grupy wykładowej z filozofii i wiele dalszych perturbacji i komplikacji... Słowem – ma być „uniwersyteckim samobójstwem"... Puenty nie zdradzę, kto będzie miał okazję, niech ten film koniecznie obejrzy, także w celach edukacyjnych. Bo nasz świat szermuje argumentem „naukowości" jako fundamentu postawy ateistycznej... Czy słusznie?

Uczestnicy tej świetnej, bardzo potrzebnej pielgrzymki mieli świadomość, że ciąży na nich, jako na dziennikarzach, ludziach mediów, odpowiedzialność rozliczna – także za stan polskich spraw, że dziennikarstwo to najpierw służba – krajowi, obywatelom. A już przed 400 laty ks. Piotr Skarga modlił się do Boga – „Rządcy i Pana Narodów" – za Ojczyznę wyrażając pragnienie byśmy (wszyscy, dla których Ojczyzna to największa ziemska wartość) „jej i ludowi Twemu, swoich pożytków zapomniawszy, mogli służyć uczciwie".

I tę modlitwę odmówili, zbliżając się do końca podróży, pielgrzymujący dziennikarze.

WOJCIECH P. KWIATEK

FOT. © JP2MUZEUM.PL

Abp Wacław Depo do dziennikarzy: Trzeba zauważyć pewne zamęty i wirusy przeciwne Bogu i naszej współpracy z Bogiem.

„Żyjemy w świecie pełnym niepokoju, w którym wystarczająca wydaje się być troska o teraźniejszość. A w niej jawi się pokusa zapominania o Bogu i osobistej odpowiedzialności za swoje wybory i życie" – mówił w homilii abp Wacław Depo metropolita częstochowski i przewodniczący Rady ds. Środków Społecznego Przekazu KEP. Przypominając słowa proroka Barucha „zapomnieliście o Bogu i zostaliście oddani w ręce pogan" pytał czy te słowa nas nie zdumiewają teraz i tutaj?

Arcybiskup wskazał na dwie zasadnicze postawy życiowe: mądrość tego świata i mądrość Bożą. – Jedną z postaw jest mądrość tego świata, w którym sam dar życia, jego sposób postępowania i widzenia rzeczy poza Bogiem zdają się być kryterium sukcesu i wszelkiej władzy – mówił arcybiskup i dodał, że „mądrość Boża, która jest zakryta przed mądrymi i roztropnymi a objawiona ludziom pokornym i czystego serca".

„Aby poznać i pojąć rzeczy duchowe, trzeba być ludźmi duchowymi. Pozostając tylko cieleśni nieuchronnie popadamy w pychę i głupotę, która wcześniej czy później prowadzi do zguby" – kontynuował abp W. Depo. Równocześnie przypomniał, że „Bóg będąc naszym Ojcem pragnie nas twórczych, aktywnych, pomysłowych, aby przekształcać ten świat i wspomagać ludzi w ich życiu i rozwoju". – Jednak na tej naszej drodze trzeba zauważyć pewne zamęty i wirusy przeciwne Bogu i naszej współpracy z Bogiem – przestrzegał.

Abp W. Depo wskazał, że pierwszym z owych zamętów i wirusów jest „negacja istnienia prawdy obiektywnej, a cóż dopiero powiedzieć prawdy nadprzyrodzonej i zanegowanie prawa naturalnego". – Konsekwencją tego jest nie tylko zapomnienie o Bogu i więzi człowieka ze Stwórcą, ale zrównanie dobra i zła, grzechu i cnoty – podkreślił.

„Drugi wirus i zamęt umysłowy to instytucjonalizacja dewiacji moralnych objawiająca się w przemianie prywatnej i subiektywnej niegodziwości w publiczną cnotę. Trzeci zamęt to wprowadzenie zakamuflowanego totalitaryzmu pojęciowego i prawna karalność dobra, w tym także publiczne przyznanie się do wiary i odwołanie do łączności z Kościołem też jeszcze nie karalne" – kontynuował abp Depo.

Przewodniczący Rady ds. Środków Społecznego Przekazu zauważył, ze „współczesna demokracja hołdując antydekalogowi, antyewangelii i negując tradycję wiary i kultury chrześcijańskiej robi chrześcijaństwu rachunek sumienia z braku otwartości na imigrantów światowych, nie wspominając ani słowem o trosce o najbliższych, o bezpieczeństwo nasze i naszych dzieci, o dzieci nienarodzone, które mają ludzkie prawo do życia".

„Abyśmy byli współpracownikami prawdy i integralnej godności człowieka od momentu poczęcia aż po naturalną śmierć" – zakończył abp Wacław Depo.

MARIUSZ FRUKACZ

„Niedziela"

Tajemnica dziennikarska nie dla Sądu?

Sąd Rejonowy dla Warszawy Pragi-Północ zwolnił z obowiązku zachowania tajemnicy dziennikarskiej czterech dziennikarzy opisujących aferę podsłuchową. Sąd na wniosek Prokuratury orzekł, że mają oni powiedzieć z jakimi protokołami ze śledztwa w sprawie przecieku z afery podsłuchowej się zapoznali, a także mają udostępnić kopie posiadanych dokumentów. Dziennikarze zapowiadają złożenie zażalenia na to postanowienie.

Przypomnijmy, że zgodnie z prawem prasowym z roku 1984 (art. 15.1 i 2.) obowiązkiem dziennikarza jest ochrona tajemnicy dziennikarskiej. Dziennikarz ma obowiązek zachowania w tajemnicy: 1) danych umożliwiających identyfikację autora materiału prasowego, listu do redakcji lub innego materiału o tym charakterze, jak również innych osób udzielających informacji opublikowanych albo przekazanych do opublikowania, jeżeli osoby te zastrzegły nieujawnianie powyższych danych, 2) wszelkich informacji, których ujawnienie mogłoby naruszać chronione prawem interesy osób trzecich.

Artykuł 16.1. reguluje zwolnienie dziennikarza z tajemnicy zawodowej w razie, gdy informacja, materiał prasowy, list do redakcji lub inny materiał o tym charakterze dotyczy przestępstwa określonego w art. 254 Kodeksu karnego albo autor lub osoba przekazująca taki materiał wyłącznie do wiadomości dziennikarza wyrazi zgodę na ujawnienie jej nazwiska lub tego materiału.

Błędnie wymieniony jest tu art. 254 kk zamiast art. 240 kk, ale cóż, jeśli wciąż w Prawie prasowym występuje Polska Rzeczpospolita Ludowa (w art. 2), to i takie pomyłki nie dziwią. O czym zatem mówi art. 240 § 1 kk?

Kto, mając wiarygodną wiadomość o karalnym przygotowaniu albo usiłowaniu lub dokonaniu czynu zabronionego określonego w art. 118, 118a, 120-124, 127, 128, 130, 134, 140, 148, 163, 166, 189, 252 lub przestępstwa o charakterze terrorystycznym, nie zawiadamia niezwłocznie organu powołanego do ścigania przestępstw, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

O jakie czyny chodzi w artykułach 118 kk i następnych – wyjaśnijmy. Rzecz dotyczy wiedzy o zabójstwach, zamachach, torturach, stosowaniu przemocy, zgwałceniach, pozbawieniu wolności itp. (art. 118), wytwarzaniu i stosowaniu środków masowej zagłady, działaniach zbrojnych, naruszaniu prawa międzynarodowego, zabójstwach, stosowaniu kar cielesnych itp. (art. 120-124), działaniach w celu pozbawieniu niepodległości kraju (art. 127), o usunięciu przemocą konstytucyjnego organu kraju (art. 128)... Proszę przeczytać wymienione wyżej artykuły Kodeksu karnego (file:///C:/Users/ASUS/Downloads/D19970553Lj.pdf), żeby sobie uświadomić absurdalność zastosowania wobec dziennikarzy takiego przepisu.

Nie znam dokładnej treści postanowienia Sądu, ale już widać, że na podstawie swoich praw dziennikarze mają wręcz obowiązek nie zgodzić się na zwolnienie z tajemnicy dziennikarskiej. Któryż bowiem z wymienionych wyżej artykułów miałby odnosić się do treści rozmów poznanych w aferze podsłuchowej – „zamachu stanu" trójki kelnerów i biznesmena nie należy raczej traktować poważnie, chyba, że sędziowie mają inną wiedzę na ten temat...

Oczywiście, jak zaznaczyłem, nie dyskutuję w postanowieniami Sądu, bo sąd ma zawsze rację – o ile i dopóki tego postanowienia nie zmieni sąd wyższej instancji, a tak już w podobnych sprawach bywało (zob. Obserwatorium Wolności Mediów w Polsce, Sąd jednak na straży tajemnicy dziennikarskiej. Sprawa redaktora W., 9 VIII 2012, www.hfhrpol.waw.pl).

Zauważmy też, że Kodeks postępowania karnego w art. 180 par. 3. głosi: „Zwolnienie dziennikarza od obowiązku zachowania tajemnicy nie może dotyczyć danych umożliwiających identyfikację autora materiału prasowego, listu do redakcji lub innego materiału o tym charakterze, jak również identyfikację osób udzielających informacji opublikowanych lub przekazanych do opublikowania, jeżeli osoby te zastrzegły nieujawnianie powyższych danych".

Dziennikarze zwolnieni z tajemnicy (Czuchnowski, Gmyz, Latkowski, Nisztor) mogą obawiać się, że przekazując materiały Prokuraturze ujawnią tożsamość informatorów, a tego zakazuje im przecież Prawo prasowe.

Dobrze więc, że dziennikarze myślą o złożeniu zażalenia, bo – moim zdaniem – racja jest po ich stronie. 76 proc. czytelników Fakty24.pl uznało, że decyzja sądu jest skandaliczna, a Cezary Gmyz napisał na Twitterze „Mogą mnie wsadzić. Informatorów nie kapuję".

MAREK PALCZEWSKI

Zeznawał kolejny świadek w procesie Wojciecha Sumlińskiego

14 października przed Sądem Rejonowym dla Warszawy Woli odbyła się kolejna rozprawa w procesie dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego i Aleksandra L.

Zeznawał na niej kolejny świadek – Tomasz Budzyński, były szef delegatury ABW w Lublinie (odszedł ze służby w 2007 r.). Zdecydował się na taki krok dopiero po siedmiu latach, gdyż wcześniej bał się „długich rąk służb". Zeznał, że jego zdaniem Sumliński jest niewinny i padł ofiarą prowokacji ze strony ABW. Budzyński ujawnił, że zastępca szefa ABW płk Jacek Mąka, podczas rozmowy z nim w cztery oczy (III-IV 2008), próbował naciskać na niego, aby namówił Sumlińskiego do współpracy z Agencją, której celem miało być zdyskredytowanie prac Komisji Weryfikacyjnej WSI. Mówił, że także jego koledzy z ABW informowali go, że Sumliński padł ofiarą prowokacji. Budzyński opowiadał również m. in. o wspólnych spotkaniach z Sumlińskim i Aleksandrem L.

Drugi wezwany świadek – Krzysztof Winiarski – nie zjawił się na rozprawie. Sąd poinformował, że podejmie kolejną próbę wezwania go na rozprawę w dniu 30 października (godz. 11, sala 159). Strony powinny być przygotowane do wygłoszenia mów końcowych.

Wojciech Sumliński i Aleksander L. są oskarżeni o rzekomą płatną protekcję podczas weryfikacji żołnierzy WSI, prowadzonej przez komisję pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza. CMWP SDP monitoruje proces na prośbę dziennikarza.

CMWP

Piórem Jacka Wegnera „Wiadomości" TVP o wybrykach Putina

Oglądanie systematyczne „Wiadomości" telewizyjnych nie należy do szczególnych przyjemności; od prawie ośmiu lat bulwersują warsztatowo-politycznie w odniesieniu do realiów ojczystych, ale tym powinni się zająć medioznawcy, żeby ewentualnie przyszły zespół uczulić na nieprawidłowości i nieprawości.

Natomiast ostatnio, już bez winy redaktorów, treść przekazów przeraża – powiedziałbym – uczuciowo-globalnie. Setki tysięcy ludzi umierających w nagle rozprzestrzenianych na Globie wściekłych żywiołach i niekończących się „małych" wojnach czy od strzałów lub wybuchów bomb na ulicach miast, w szkołach, muzeach, instytucjach publicznych. I wielki, niebywały od Wędrówki Ludów, *exodus* ludności z kontynentu na kontynent, z kraju do kraju. Jakby tchnienie Apokalipsy.

A większość polityków rządzących państwami nie bardzo się przejmuje tą zgoła infernalną sytuacją. Jedni, zapatrzeni w swe brzuchy i luksusy, drudzy... właściwie w imię czego? Pysznej świadomości własnej wszechwładzy...

Dlaczego Zachód europejski nie chce uznać Ukrainy za swój podmiot polityczny, odpycha ją od siebie? Bo Ukraina za biedna, trzeba by było do niej dokładać z własnych sakiewek, a to dla sytego Zachodu niedopuszczalne.

Dlaczego osiemnaście lat temu NATO podpisało dokument ustanawiający stosunki (...przyjazne) z Moskwą i do dziś przy amerykańskim akompaniamencie nie może u nas zainstalować stałych baz? Rosja śmieje się w kułak, wielekroć łamała i nadal permanentnie tudzież jawnie, czyli bezczelnie, sprzeniewierza się tym (i wszystkim) porozumieniom.

Tak tragicznej sytuacji, jak dziś na Bliskim Wschodzie chyba nie było w znanych nam dziejach. W Syrii walczą z sobą bez skrupułów trzy siły. Wymarzona rzeczywistość dla Putina – zaczął kilka miesięcy temu bombardowanie tych ugrupowań, którym pomagają Stany Zjednoczone – dawniej byłby to casus belli. Ale dzisiaj jest to, jeśli wolno tak wyrazić się trochę niezgrabnie, kryptowojna Rosji z USA... I nic!

Jedyna pociecha, że może sprawdzi się stara sentencja, iż kiedy Bóg chce kogoś ukarać, odbiera mu rozum. Rosja zadziera również z Turcją. Jest ona w jeszcze gorszym położeniu niż Syria, ponieważ dochodzi tam nadto czynnik (krwawy) kurdyjski i wewnętrzne ostatnio zrewoltowanie a Putin bezceremonialnie gwałci jej suwerenność powietrzną. Turcja to kraj ogromny, liczebnie jak Niemcy, terytorialnie niewspółmiernie większy. I – najważniejsze – ostoja NATO na najdalszej wschodniej flance. Jest także od ponad stulecia tradycyjnie zwrócona ku Zachodowi. Putin niepomny, że jego przodkowie ponad sto pięćdziesiąt lat temu przegrali wojnę z Turcją, której pomagali Anglicy, Francuzi, nawet mała Sardynia. Rosjanie w połowie XIX wieku przegrali z takim kretesem, że za kilkadziesiąt lat umożliwili Turcji przekształcenie się w europejsko-azjatyckie mocarstwo republikańskie, nowoczesne, typu europejskiego, i – przystąpienie do sojuszu militarnego z największymi potęgami demokratycznymi świata. Czy Putin jest świadom, że jego wybryki mogą odprowadzić do eksplozji, która rozsadzi oba kontynenty, świat. Wówczas Ukraina i tak nie będzie jego.

Teraz Putin nawet gdyby chciał się uspokoić – już by nie mógł. Rozbudził w Rosji taki potencjał imperialistyczny, takie instynkty grabieżcze i awanturnicze, że mogą go one z całym państwem wepchnąć w przepaść, a okiełznać je nie jest w stanie. Tak, jak nie dało się zapanować po 1917 roku nad bolszewizmem.

Wszelako Zachód może otrzeźwieć – m o ż e. Wiadomo do jakiej hekatomby doprowadziło kunktatorstwo Anglii i Francji, zwłaszcza Francji, przed i po wybuchu II wojny światowej. Dobrze, że włączyła się do wojny Ameryka – wbrew pacyfistycznym nastrojom społeczeństwa. Roosevelt podobno wiedział, że Japończycy planowali uderzenie bez wypowiedzenia wojny na Pearl Harbor i czekał na nie, aby postawić własne państwo przed faktem dokonanym.

Dzisiejsza Ameryka jest inna. Nawet tragedia z 11 września. nie przywróciła jej dawnej odwagi i determinacji; owszem, Stany Zjednoczone zareagowały, lecz lękliwie, mało skutecznie ugięły się pod ciężarem fanatycznego pacyfizmu własnego i europejsko-zachodniego.

Odwoływałem się już do wypowiedzi prezydenta Dudy, który stwierdził enigmatycznie, jak przystało na wyrafinowanego dyplomatę, że napływ uchodźców, wśród których zapewne nie brakuje terrorystów, można powstrzymać jedynie usuwając przyczyny. Jeżeli dobrze zrozumiałem, było to misterne napomnienie Zachodu europejskiego, USA i NATO, że trzeba imać się metod radykalnych... Minęło kilka tygodni od tej wypowiedzi i Zachód ani drgnął. No to Putin pobiegł do przodu – jest już na dobre w Syrii i nad Syrią oraz nad Turcją. Ukraina opuszczona przez Europę popada w polityczny chaos. Putin chyba myśli, że umocniony swymi ekscesami wróci niebawem na Ukrainę, by ją zdeptać, a przy okazji innych Europejczyków, którzy stają mu na drodze do podniesienia z gruzów politycznych Związku Socjalistycznych Republik Rad.

Jako Polak wierzę mimo wszystko, że Zachód ocknie się z egoistycznego, hedonistycznego letargu i przestawszy się wreszcie po dwustu latach lękać Rosji, wyśle wojska, ustawi bazy z rakietami i tarczami tam, gdzie trzeba. I – co najważniejsze – przyjmie ubogą Ukrainę do NATO. Wtedy to państwo odnalazłoby swą zachodnią, zagubioną kulturę, którą ongiś tworzyło za pośrednictwem Rzeczypospolitej.

I Apokalipsy może jeszcze nie będzie. Żywioły się uspokoją, serwisy „Wiadomości" staną bardziej bezstronne, żywioły ucichną, uspokoją, wojny ustaną. A Putin przegra swą krwawą stawkę. Potrzebni są jej jednak do materializacji tej ostatniej wizji jeszcze lepsi odeń gracze. Jeden już jest – w Pałacu Namiestnikowskim, oczekuje partnerów o nieporównanie większym potencjale gospodarczym i militarnym.

JACEK WEGNER

Odszkodowanie dla Pawła Warota

Po ponad roku od wniesienia pozwu do Sądu Pracy w Olsztynie, 21 października odbyła się rozprawa z powództwa zwolnionego z pracy w IPN historyka Pawła Warota (SDP) o przywrócenie do pracy lub zapłacenie odszkodowania. Strony przed sądem zawarły ugodę, na mocy której IPN zapłaci Pawłowi Warotowi odszkodowanie.

Przybyłą licznie na rozprawę publiczność sędzia Barbara Kokoryn wyprosiła z sali, gdyż jej zdaniem sala była za mała. Odrzuciła też prośbę dziennikarza Adama J. Sochy, by chociaż on mógł zostać. Sędzia stwierdziła, że w salce jest za mało powietrza. Przybyłe osoby złożyły do przewodniczącej sądu skargę na naruszenie zasady jawności rozpraw sądowych.

Przypomnijmy, historyk Paweł Warot został zwolniony z pracy w Instytucie Pamięci Narodowej w czerwcu zeszłego roku, po tym, gdy na wewnętrznej konferencji IPN-u w Jachrance skrytykował kierownictwo Instytutu powstrzymujące proces lustracji. W obronie cenionego, odważnego historyka stanęły środowiska naukowe i dziennikarskie z całej Polski, a także parlamentarzyści, kombatanci i dawni działacze antykomunistyczni.

Piórem Teresy Bochwic Kłopotowski o Żydach i Polakach też

Krzysztof Kłopotowski, pisarz, filmowiec, umysł oryginalny i niepodległy, nasz przyjaciel z łamów portalu SDP, człowiek i autor nietuzinkowy (najpowściągliwsze, co można o nim powiedzieć), zaprezentował w Klubie Ronina swoją najnowszą książkę.

Już sensacyjny tytuł *Geniusz Żydów na polski rozum* (ze wstępem Rafała Ziemkiewicza), stawia czytelnika w samym centrum miotającego kilkoma narodami Europy Środkowej odwiecznego sporu. Kto lepszy, kto mądrzejszy, kto słuszniejszy, kto też winien i czego, i dlaczego tak trudno się docenić czy choćby zaakceptować wzajemnie, nie mówiąc o życiu we wspólnocie czy o wspieraniu się. Dwa narody wybrane, dwa narody tak podobne, a tak niepodobne, tak trudne w życiu i byciu, szczególnie razem. Wygląda na to, że w każdym razie jest to temat ciągle żywy w tej części świata, temat, który wszystkich interesuje, choć chyba trudno spodziewać się, by dało się o nim pisać czy mówić bez szkarłatnych rumieńców z emocji na policzkach.

Tak było i tym razem. Emocje były, szkarłatne policzki takoż. Znakomicie prowadził spotkanie Antoni Trzmiel z Telewizji Republika, który w rozmowie z Kłopotowskim nie unikał niewygodnych pytań. Na przykład o opisane w książce „genetyczne" wyposażenie osób pochodzenia żydowskiego, o ich „genialność" jako efekt wyposażenia – czy może raczej wychowania? O „definicję", kto właściwie jest Żydem, czy ten co chce i się tak sam określa, czy ten, co pochodzi z rodziny żydowskiej, czy wyznawca judaizmu, czy ten, czyje pochodzenie wywęszyli nieżyczliwi i tym samym dla Żydów zawsze groźni, ewokujący najgorsze doświadczenia tego narodu. Prof. Feliks Tych, historyk, kiedyś na pewnym ciekawym odczycie w ŻIH (o „żydokomunie") mówił, że nie da się tego określić, Żydem raz się jest, raz nie, i tak to już jest; trudna dla wielu do zaakceptowania pewna migotliwość jest tu chyba najbliższa rzeczywistości.

Kłopotowski słusznie zauważył, że temat Żydów jest w Polsce starannie omijany w poważnej publicystyce, samo słowo Żyd unikane, że polskie środowiska żydowskie, szczególnie „Gazety Wyborczej", wytworzyły pewną modę, zakaz mówienia na ten temat. Tymczasem to temat ciągle żywy. Dodam, że może wart również „przepracowania" psychologicznego dla wszystkich stron sporu. Opisał krótko wpływy środowisk żydowskich w Stanach Zjednoczonych, podkreślił też rolę bardzo wczesnego nauczania dzieci żydowskich w ich rozwoju umysłowym – już w wieku 3-4 lat są zaprawiane w czytaniu, dyskutowaniu i w ogóle w nauce. Nikt w tych środowiskach, uważa Kłopotowski, nie sprzeciwiałby się nauczaniu sześciolatków, sześciolatki tam dawno czytają i dyskutują, co świetnie opisał laureat Nobla Elias Canetti w swoim autobiograficznym Zapomnianym języku. Co prawda chodziło raczej o naukę w domu, w sprzyjających warunkach, wychowanie w poczuciu autorytetu ojca i w słodkiej miłości matki (tu akurat Polacy niczym nie różnią się od Żydów, tak wyglądała i klasyczna rodzina polska). Ale do żydowskiego chederu posyłano już cztero- i pięciolatki.

W dyskusji najciekawszy był chyba głos Jerzego Strzeleckiego, który przywołał rozmaite amerykańskie badania nad grupami etnicznymi USA i świata. Są takie, i nikt się tam nie boi nazywać narodów po imieniu i badać ich szczególnych cech. Wymienił wśród narodów świata, uzyskujących obok Żydów największe sukcesy finansowe, m. in. Chińczyków na południu Azji, i wskazał, że odnosiły je narody, które żyły na emigracji, w niesprzyjającym, nieżyczliwym środowisku, nie akceptowały miejscowych wierzeń i miały pozytywny stosunek do zarabiania pieniędzy. Kto wie, czy ten zbiór zasad nie wyjaśniałby także znanego zjawiska sukcesów Polaków, kiedy tylko opuszczą nasz kraj. Ta sytuacja obejmowała Żydów praktycznie wszędzie, a że rozeszli się po całym świecie, wielu z nich, proporcjonalnie więcej niż w innych narodach, odnosiło sukcesy, zarówno finansowe, jak i naukowe czy artystyczne.

Strzelecki dodał, że Żydzi dzięki inteligentnym negocjacjom i naciskom na władców otrzymywali również specjalne prawa, np. do handlu tam, dokąd przybywali. No cóż, my Polacy „złote ptacy", zawsze brzydziliśmy się handlem, a każdy szlachcic, jak wiadomo, miał od tego „swojego Żyda", bo sam nie bardzo umiał liczyć. Do tego w Polsce najlepsze geny, ludzi najlepiej wykształconych i o najlepszych umysłach, czyli księża, wskutek celibatu nie powielały się, likwidując powoli najlepszy zasób. Specjalną sytuację Żydów w handlu europejskim opisał Ignacy Schiper w znakomitej książce *Dzieje handlu żydowskiego na ziemiach polskich* (ostatnie wydanie w 1937 roku).

Kłopotowski podjął więc temat wręcz niemożliwy. Tylko nowojorsko-warszawski liberał, jak określa sam siebie, mógł to zrobić i to w takiej błyszczącej formie! Temat Żydów, czyli temat niepodejmowany. Kłopotowski pisał o tym wiele, przez kilka lat w „Rzeczpospolitej" ukazywały się, wbrew konsekwentnie wprowadzanej przez zainteresowane środowiska modzie na zamilczanie tematu, jego oryginalne artykuły, niepoprawniackie opisy „charakteru narodowego" Żydów, zarazem młot na antysemitów. Opisał w nich powtórzony w książce wykaz statystycznego, procentowego udziału osób pochodzenia żydowskiego w wielkich dokonaniach ludzkości, gdzie biją na głowę wszystkie inne nacje. Freud, Trocki, Martin Heidegger, Hannah Arendt, Albert Einstein, Artur Rubinstein, Roman Polański, niezliczeni laureaci Nobla i innych nagród, a nawet katoliccy święci (Edyta Stein).

Artykuły w „Rzeczpospolitej" i recenzje obecnie wydanej książki czytałam, samego dzieła jeszcze nie. Przypomina mi się dzieło Giovannego Papiniego, mało znany *Gog i Magog* (ostatnie polskie wydanie 1933 w tłum. Anny Brzozowskiej). Papini, włoski ateista (napisał także szydercze *Pamiętniki Pana Boga*, gdzie Pan Bóg sam udowadnia, że nie istnieje), w końcu nawrócił się na łożu śmierci, jak czasem z największymi bezbożnikami bywa. Jego *Gog i Magog* to podobnie jak u Kłopotowskiego, także książka o geniuszu narodu żydowskiego, geniuszu posuwającym świat naprzód, często przez destrukcję (dziś powiemy dekonstrukcję) zastanych paradygmatów społecznych. Z tego zapewne powodu, tego wskazania rewolucyjności wielkich umysłów żydowskich, *Goga i Magoga* przedwojenni żydowscy księgarze i wydawcy wycofali z druku i z księgarń, zakazali także jego czytania tam, gdzie mogli to zrobić. Spróbujcie to kupić.

I przeczytać, i przemyśleć. I pomyśleć, jak jest w Polsce. „W Polsce – powiedział mi kiedyś zasłużony w walce o wolną Polskę pochodzący z „żydokomuny" działacz opozycji, patriota polski, katolik – w Polsce najgorsze jest to, że nie można przestać być Żydem".

TERESA BOCHWIC

SDP
Najnowsze informacje, rozmowy dnia, felietony, opinie, analizy, blogi dziennikarzy... na stronie internetowej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
www.sdp.pl

Piórem Marka Palczewskiego Dziennikarz politykiem – czemu nie?

Wybory tuż, tuż, więc coraz większy ruch w interesie. Listy kandydatów już ułożone, a wśród nich wielu dziennikarzy. Przeglądam te listy i widzę kilka znajomych nazwisk. Niektóre z nich głośne w naszym Stowarzyszeniu.

W roku 2011 do Sejmu kandydowało 70 dziennikarzy. Wybrani zostali na przykład Roman Kotliński i Andrzej Rozenek z list Ruchu Palikota. W tym roku do Sejmu startują m. in. Joanna Lichocka, Krzysztof Czabański, Marcin Gugulski jako kandydaci PiS, czy Piotr Vagla Waglowski jako kandydat niezależny. Co dziennikarzy ciągnie do Parlamentu? Nie wiem. Być może znudzili się już dziennikarstwem, a być może chcą osiągnąć więcej w innej dziedzinie lub też mają ambitne zamiary, by zmienić prawo medialne czy naprawić system medialny w Polsce.

Spróbowałem ustalić, co piszą o swoich planach – o motywacjach i programach. Vagla Waglowski stwierdził na swoim blogu: „Skoro nawijam ludziom makaron na uszy tym społeczeństwem obywatelskim i tym, że obywatele powinni być aktywni w swoim dobrze pojętym interesie, to należy samemu działać w takim duchu" (www.vagla.pl/node/34).

Czabański już cztery lata temu (wtedy też kandydował do Sejmu) w rozmowie opublikowanej na portalu wPolityce.pl powiedział, że media w Polsce wymagają naprawy. Prawo prasowe pochodzi z PRL-u, a „skazywanie dziennikarzy na dotkliwe kary finansowe za wypowiadane poglądy, to horrendum". Za bardzo ważną uznał tzw. klauzulę sumienia, która może być pomocna dziennikarzom w zachowaniu niezależności. „No i media publiczne! Tylko politycy m o g ą podjąć w ich sprawie sensowne decyzje. Jeśli znajdę się w parlamencie, postaram się do tego przyłożyć palec" (wPolityce.pl).

Nowszych wypowiedzi Czabańskiego, wyjaśniających dlaczego kandyduje, nie znalazłem, ale sądzę, że w tych sprawach poglądów nie zmienił, a i świat mediów jest prawie ten sam.

Lichocka w rozmowie z Jackiem Sobalą jako powody swojej decyzji wymieniła chęć zmiany społeczeństwa, odsunięcie PO od władzy – „wszystkie ręce na pokład [...] wszystkich namawiam na aktywność obywatelską" (vod.gazetapolska.pl). Dodała jeszcze, że trzeba zmienić status dziennikarza i prawo prasowe z 1984 roku.

Gugulski na swoim Facebooku podkreślił, że chciałby sprawiedliwego rozwiązania problemów podwójnego opodatkowania emerytur, ruchu bezwizowego, funduszy przekazywanych organizacjom polonijnym, skutecznej ustawy o repatriacji ze Wschodu (www.facebook.com/marcin.gugulski.3).

Na razie wszystkie te deklaracje można traktować w kategoriach obietnic wyborczych. Czas rozliczeń przyjdzie później i dopiero o ile kandydaci zostaną wybrani do Parlamentu. Na razie ryzykują niewiele, bo w każdej chwili mogą wrócić do dziennikarstwa. Jednak, jeśli zostaną wybrani, to czeka ich podwójny sprawdzian.

Po pierwsze, droga powrotu zostanie odcięta. Przynajmniej wydaje się to słusznym i uzasadnionym poglądem. Dziennikarze są od patrzenia politykom na ręce. Jeśli sami stają się politykami, to trudno oczekiwać od nich, żeby realizowali to zadanie w stosunku do siebie i swoich partyjnych kolegów. A jeżeli nie będą tego czynić, to staną się niewiarygodni, gdy po skończonej kadencji spróbują powrócić do swojego wcześniejszego zawodu, by kontrolować rządzących czy opozycyjnych polityków.

Po drugie, zadanie przed nimi, w razie otrzymania przepustki do Sejmu czy Senatu, bardzo trudne. Jak Krzysztofowi Czabańskiemu (a także pozostałym kandydatom) ma się udać to, co nie udało się przez 25 lat polskiej demokracji? Jak zmienić prawo prasowe, impregnowane na prawie wszystkie zmiany? Jak zrepolonizować media? A w ogóle, czy całkowita repolonizacja jest sensowna, wszak w żadnym demokratycznym kraju działalność mediów nie jest oparta wyłącznie na rodzimym kapitale. Interesuje mnie również, jak wymienieni kandydaci przeprowadziliby odpolitycznienie, a może odpartyjnienie mediów? Po wygraniu PiS będzie to dla nich prawdziwe wyzwanie i test dobrej woli. Ale, jeśli im się powiedzie, to zaskarbią sobie sympatię wszystkich zwolenników mediów publicznych w Polsce.

Napisałem wcześniej, że droga od dziennikarstwa do polityki jest podróżą bez biletu powrotnego. Jednak dopuściłbym jeden wyjątek: taką postawę, która mimo przywdziania partyjnych epoletów świadczyłaby o tym, że dziennikarze kierują się nie dobrem swojej partii lecz dobrem państwa i narodu, i w przypadku naruszenia tych dóbr przez ich partyjnych kolegów alarmują opinię publiczną. Albowiem dziennikarz, nawet jeśli przyjmuje rolę polityka, nigdy nie powinien zapominać o swoich korzeniach. I o tym, komu ma służyć – społeczeństwu a nie liderom i interesom partii politycznych.

MAREK PALCZEWSKI
1 października 2015

Dziennikarski konkurs

SDP

Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie zaprasza dziennikarzy i publicystów do udziału w Konkursie o Nagrodę im. Seweryna Pieniężnego za rok 2015.

Celem Konkursu jest promowanie dziennikarstwa Warmii, Mazur i Powiśla, zachęcanie do dbałości o przestrzeganie zasad etyki zawodowej, wolność słowa, profesjonalizm oraz podnoszenie umiejętności warsztatowych.

Laureat Nagrody Głównej otrzymuje dyplom, statuetkę – „Kałamarz z piórem" oraz nagrodę pieniężną. Kapituła może również przyznać Wyróżnienia Honorowe (od jednego do trzech).

Tegorocznych nominowanych oceniać będzie siedmioosobowa Kapituła Nagrody, powołana 26 września br. Kapituła może również dokonać wyboru antylaureata, czyli napiętnować postawy niegodne, sprzeniewierzające się etyce zawodowej, a tym samym godzące w dobre imię dziennikarzy.

W Konkursie będą brane pod uwagę teksty prasowe, produkcje telewizyjne i radiowe oraz publikacje w mediach elektronicznych, opublikowane lub wyemitowane w 2015 r.

Zgłoszenie powinno zawierać: dane autora oraz tytuły utworów oraz daty i miejsca ich publikacji lub emisji; materiały konkursowe w pięciu egzemplarzach – wydruk komputerowy albo kserokopia zgłaszanego materiału, audycje radiowe i programy telewizyjne zapisane na płytach CD lub DVD; zgodę na przetwarzanie danych osobowych.

Zgłoszenia, wraz z kompletem materiałów konkursowych, należy nadsyłać na adres: Warmińsko-Mazurski Oddział SDP, 11-041 Olsztyn, ul. Hozjusza 12/3. Ponadto samą informację o wysłanym pocztą zgłoszeniu konkursowym, prosimy przesłać drogą e-mailową na adres: sdp.olsztyn@wp.pl.

Ostateczny termin nadesłana zgłoszenia wraz z wymaganymi załącznikami upływa 15 stycznia 2016 roku. Finał Konkursu nastąpi 25 lutego, podczas obchodów Dni Seweryna Pieniężnego.

Przewodniczący Kapituły Nagrody

Z życia elit medialnych, czyli Wielki Test Hipokryzji

Goście z prowadzącym Jerzym Kisielewskim odsłaniają kulisy działania mediów. Do programu są zapraszani dziennikarze, medioznawcy, komentatorzy i wydawcy, dla których media nie mają żadnych tajemnic". Tak reklamowany jest program „Newsroom" w TVP Info i zaiste tak jest, czego dowiódł dobitnie odcinek wyemitowany 26 września. Nadany został o nader godziwej porze, bo w sobotni wieczór. Doczytajcie Państwo tę relację, bo morał będzie i pouczający, i ciut pocieszny.

Redaktor Kisielewski – prowadzący program – zaprosił dwóch nie byle jakich gości. Niejakiego Przemysława Orcholskiego, dziennikarza telewizyjnego, który w 2003 roku otrzymał od Zarządu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich niezbyt chlubną nagrodę „Hieny Roku" (zresztą osobiście nigdy nie byłem jej adoratorem), a po kilkunastoletnim procesie wygrał w sądzie przeprosiny SDP. Oprócz tego, do programu został zaproszony sędziwy „autorytet" dziennikarski, sam z chęcią nim się mieniący, Stefan Bratkowski.

W trakcie programu obaj panowie pochylali się nad krzywdami, które odniósł Przemysław Orcholski. Nad tym, jak paskudny jest obecny, prawicowy Zarząd SDP. A także nad tym, jak oni są sami szlachetni. Orcholski słodził Bratkowskiemu, z „wielką atencją" wsłuchując się w jego głos („jest Pan ikoną"). Bratkowski odpowiadał mu równie pięknie („jest was młodszych więcej", „potrzebne są osoby z autorytetem, uczciwe"), diagnozował, gdzie leży problem (to SDP nie było już tym dawnym). Kisielewski z empatią i przychylnością wsłuchiwał się w głos swoich rozmówców. Całość w aurze troski o jak najwyższe standardy etyczne. Na koniec panowie doszli do wniosku, że trzeba od skompromitowanego towarzystwa z SDP trzymać się jak najdalej itd. No to teraz czas na obiecany finał. Garść informacji, których w programie zabrakło:

Przemysław Orcholski – w 2003 roku dostał „Hienę" i po latach wygrał sprawę w sądzie z SDP, które ma go przeprosić – tu fakty się względnie zgadzają. Można by jeszcze dodać, że jego działalność w TVP budziła wątpliwości nie tylko SDP, ale i choćby Komisji Etyki TVP. Ale nie on jest naprawdę istotny dla naszej opowieści.

Stefan Bratkowski – w 2003 roku, kiedy przyznawano nagrodę Orcholskiemu był (i jest do dzisiaj) prezesem honorowym SDP. Był wówczas w Stowarzyszeniu całkiem aktywny. Między innymi zasiadał w Radzie Konsultacyjnej Centrum Monitoringu Wolności Prasy (kierowanego dziś przez moją skromną osobę), które także potępiało Orcholskiego i TVP. Zasiadał także w jury nagród SDP w 2003 roku. Jakiegokolwiek jego głosu sprzeciwu przeciwko Hienie nie odnotowano.

Jerzy Kisielewski, nasz bezstronny moderator dyskusji – w 2003 roku był członkiem i wiceprezesem Zarządu Głównego SDP. Dla przypomnienia, antynagrodę „Dziennikarskiej Hieny Roku" przyznaje Zarząd Główny SDP i w 2003 roku był tylko jeden taki Zarząd.

To już koniec historii. Może jeszcze przytoczmy obserwację redaktora Bratkowskiego o tym, że osoby przyznające Hieny nieraz same na nie zasługują. I tu – w pewnych przypadkach – pełna zgoda.

WIKTOR ŚWIETLIK

Nie to oblicze

Jak mogłem się spodziewać w październikowym numerze „Debaty" ukazała się kolejna negatywna publikacja ks. Jana Rosłana na mój temat. Nie zamierzam jednak więcej komentować jego wystąpień, wszystko bowiem już wyjaśniłem w swojej publikacji zamieszczonej w poprzednim numerze „Bez Wierszówki" (9-10, s. 54-55). Chcę tylko zaznaczyć, że pisząc tam o różnych obliczach prawdy miałem jedynie to na myśli, iż prawda na pewno nie ma oblicza ks. Jana Rosłana.

Ale też oblicza... Jolanty Bieruli, która na portalu internetowym „Debaty", w swym wpisie pod publikacją ks. Jana Rosłana, sugeruje jakobym „wymusił otwarcie Zbiorów specjalnych" w Ośrodku Badań Naukowych, aby dotrzeć do materiałów, które wcześniej tam zdeponowałem. Czy to oznacza, że się włamałem, użyłem siły fizycznej? Widać jak wielkie jest jej zacietrzewienie w wojnie jaką prowadzi z dyrektorem OBN, że próbuje mnie wciągnąć w tę sprawę. Faktem jest że w wyniku tej wojny przez wiele tygodni nie mogłem skorzystać ze zbiorów OBN, gdyż pani Bierula zamknęła je na klucz i czytelnia była nieczynna. Nawet dyrektor był wówczas bezradny.

W końcu udało mi się z nich skorzystać, ale przecież nie siłą, lecz w sposób cywilizowany, przewidziany regulaminem. Wpisałem się jak zawsze na listę korzystających z czytelni i wypełniłem specjalny rewers, a wtedy pani pracująca w bibliotece OBN-u udostępniła mi do wykorzystania na miejscu zapis rozmowy jaką przed laty przeprowadziłem z ks. Janem Rosłanem. Sugestie Jolanty Bieruli są więc mocno niestosowne. Kłamliwa jest też jej informacja, że w swojej książce publicystyczno-historycznej wydanej w 2000 roku *„Solidarność" olsztyńska w latach 1980-1981* niejako przywłaszczyłem sobie jej tekst, to jest kalendarium dotyczące powstania i działalności NSZZ „Solidarność" w Olsztynie, gdyż – jak pisze – jej nazwisko gdzieś „zniknęło". Szybko zajrzałem do egzemplarza książki, którym dysponuję i patrzę, a tam na stronie 209, na końcu tekstu zatytułowanego: „Kalendarium olsztyńskiej «Solidarności» 1980-1981", jest wydrukowane nazwisko autorki – Jolanta Bierula. Odetchnąłem – szczęśliwie u mnie nie zniknęło.

Przy okazji pragnę dodać, że w chwili gdy ta książka była wydawana przez Ośrodek Badań Naukowych zaproponowałem pani Jolancie umieszczenie jej nazwiska obok mojego na okładce książki. Ona wówczas zrezygnowała. W środku książki jednak, pod jej tekstem, nazwisko to zaistniało i nadal istnieje.

Cóż, pozostaje mi radzić moim adwersarzom aby nie zacietrzewiali się zbytnio, gdyż to im nie przysparza splendoru, a przy okazji staje się pożywką dla hejterów.

ZENON ZŁAKOWSKI

Wierna rzeka

FOT. © TOMASZ GZELL / NAUKAWPOLSCE.PAP.PL

Od wieków cierpliwie płynie środkiem naszego kraju. WIERNA RZEKA. Nasza najważniejsza. I choć nieuregulowana, niewykorzystana przez transport, ponieważ ma piękne, ale blokujące drogę wodną piaszczyste łachy i mielizny. Jest jednak dla nas najważniejsza, polska. To oczywiście Wisła.

Ciepło o niej myślimy nawet gdy skuta lodem. Martwimy się, ale nie złorzeczymy, gdy wylewa. I oto, ta wierna rzeka rewanżuje się swoim ludziom. Pokazuje wprost jak to było z naszą historią, wrogami i rabusiami.

W tym roku przyschła, opadła i pokazała Polakom jak brutalnie nas w XVII wieku potraktowano gdyśmy z zacietrzewienia i nieporadności zostali poddani „potopowi". Był on szwedzki. Wszyscy to wiedzą, bo większość czytała jednak Sienkiewicza. Ale dopiero rzeka pokazała nam, jak bezwzględni byli rabusie. Przeładowane, płynące w dół Wisły barki tonęły. Zachłanni złodzieje wywozili nie tylko mniejsze skarby i przedmioty. Młotami wybijali i kradli ciężkie arkady ozdobne, marmurowe schody, wielkie kamienne fontanny.

Po latach wydało się więc! Wprawdzie wiadomo było o tych grabieżach. Ale co innego słyszeć, a co innego zobaczyć na własne oczy. Należałoby proponować wycieczki płytką Wisłą dumnym i bogatym Skandynawom. Popatrzcie sobie...

Za czasów Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego zorganizowano wystawę szwedzkich muzealiów w naszym Królewskim Zamku. Jednak na wystawie tej pokazano broń polską, ozdobne tkaniny i precjoza zrabowane w naszym kraju w XVII wieku. Pamiętam tę wystawę, zwiedziłem ją i krew mnie zalewała ze złości i ze zdumienia. Jak można było tak bezczelnie podtykać Polakom pod nos: „to było wasze, ale już nie jest".

Pamiętam, że na otwarcie zjechała do Warszawy szwedzka para królewska. Pamiętam też, że pod jakimś pretekstem nieobecny był wówczas w stolicy Prezydent (to chyba jest jedyna rzecz za którą Kwaśniewskiego bym pochwalił). Honory czynił Marek Borowski jako ówczesny Marszałek Sejmu. Chyba nie najlepiej się wówczas czuł. Ale ktoś musiał! Tak chyba rozumował Marszałek wystawiony w tej niewdzięcznej roli jako przedstawiciel naszych władz. Ten pan też nie jest z mojej bajki, więc nie będę nim się specjalnie przejmował. Kto to był jednak, kto wpadł na pomysł, by kłuć w oczy Polaków tym, co im bezpowrotnie ukradziono.

Może teraz – wierna rzeka – obnażając zbrodnie z przeszłości uzmysłowi, co jest ważne dla narodu: to umieć się obronić.

Teraz uważamy Niemców, Szwedów i innych unijnych kolesi za partnerów. Ba, przyjaciół nawet. Ci dobrodzieje zlikwidowali nam wprawdzie przemysł stoczniowy, statki i kutry rybackie, ukradli handel i przetwórstwo. Zapełnili za to półki... swoimi towarami. Teraz dodają nam ludności – przecież nasi tłumnie wyjechali szaleć nad londyńskimi zmywakami, hostessować albo podcierać bogatych staruszków. Oczywiście, że żadna praca nie hańbi. Uczciwiej tyrać na Soho niż żerować na babcinej rencie.

Wyludniły się wioski i miasteczka, najbardziej Polski wschodniej i północnej. Wędrujemy nadal za chlebem. Dobrodzieje z Zachodu nie rozumieją więc dlaczego nie chcemy przyjmować przybyszów z Dalekiego Wschodu. Przecież to bardzo religijni, choć religijni inaczej, ludzie. Elegantka Merkel tak bardzo, i chyba z wzajemnością, polubiła naszego eks-premiera, że gotowa jest wszystko dla niego zrobić. On – jak się okazuje – również.

Może kiedyś wyschnie berlińska Szprewa i wylezą na wierzch tajne materiały. Dowiemy się jak to było z planem anektowania Polski. Jak sprytni byli Niemcy, a głupi Polacy.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

P.S. Oczywiście o tym w polskojęzycznej regionalnej, aczkolwiek niemieckiej własności, prasie – nie napiszą. **ST**

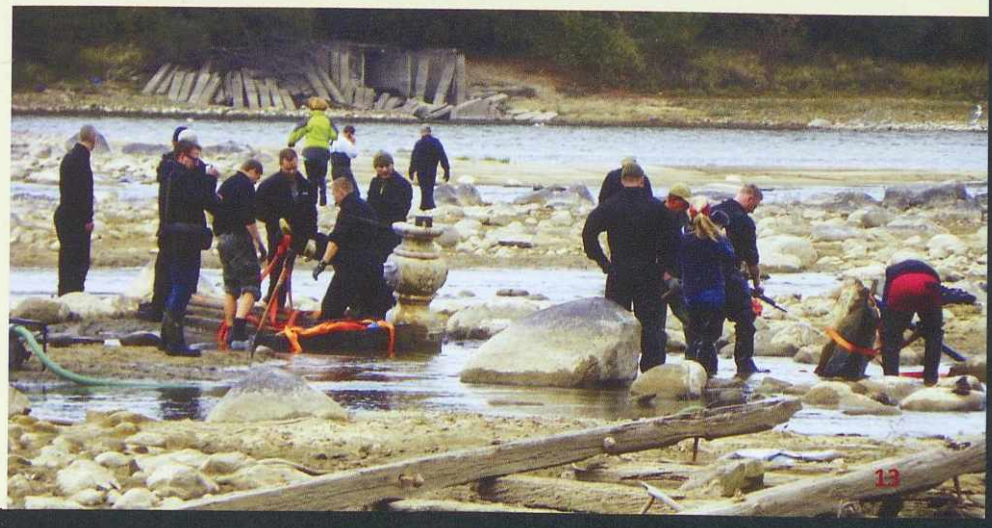

Kongres Stowarzyszeń i Towarzystw Naukowych i Kulturalnych

8 października w siedzibie Ośrodka Badań Naukowych odbył się I Regionalny Kongres Stowarzyszeń i Towarzystw Naukowych i Kulturalnych, w którym wzięło udział kilkadziesiąt osób reprezentujących organizacje z terenu województwa warmińsko-mazurskiego.

Towarzystwa i stowarzyszenia naukowe i kulturalne biorące udział w Kongresie zaprezentowały swoje wydawnictwa. Wśród uczestników byli m. in. przedstawiciele towarzystw: Ziemi Rudzienickiej, Ziemi Iławskiej, Ochrony Dziedzictwa Kurpiowszczyzny, Miłośników Ziemi Zalewskiej, Miłośników Ziemi Działdowskiej, Mazurskiego Towarzystwa Naukowego z Ełku, Stowarzyszenia Kulturowego „Sasinia" z Ostródy, jak również organizacji ze stolicy regionu: Towarzystwa Ratowania Dawnych Cmentarzy, Miłośników Olsztyna, Wspólnoty Kulturowej „Borussia", Towarzystwa Naukowego „Pruthenia" i Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze".

Podczas Kongresu prof. Janusz Jasiński odebrał przyznaną mu przez Stowarzyszenie „Dom Warmiński" statuetkę „Przyjaciela Warmii".

W pierwszej części spotkania wygłoszone zostały dwa referaty (prof. Wojciecha Łukowskiego z Instytutu Nauk Politycznych UW – „Region w transnarodowej przestrzeni społecznej: wyzwania dla Warmii i Mazur" i prof. Stanisława Achremczyka, OBN Olsztyn – „Stan i perspektywy działalności Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie").

Głównym celem organizatorów Kongresu, współfinansowanego przez olsztyński Urząd Marszałkowski, było ukazanie stanu organizacyjnego stowarzyszeń kulturalnych i naukowych działających na terenie Warmii i Mazur, prowadzonej przez te organizacje działalności statutowej i planach na przyszłość. Sprawy te omówiono w drugiej części Kongresu, podczas której wystąpienia zaprezentowali przedstawiciele poszczególnych stowarzyszeń. Wywiązała się też dyskusja, dotycząca spraw ważnych dla lokalnych środowisk angażujących się w działalność kulturalną i popularyzujących dzieje regionu.

Osoby reprezentujące regionalne stowarzyszenia, prócz prezentacji własnych dokonań, wskazywały na dolegliwości trapiące lokalne środowiska naukowo-kulturalne województwa. Najczęściej wspominano o ograniczonej edukacji szkolnej odnoszącej się do przeszłości tego obszaru i niechęci nauczycieli do podejmowania takich tematów. Pojawiły się głosy o potrzebie większego regionalizmu w działalności lokalnych towarzystw i stowarzyszeń, w tym o popularyzację walorów turystycznych regionu oraz o podejmowanie badań nad przenikaniem kultur w powojennych realiach Warmii i Mazur. Zwrócono też uwagę na zdarzające się przypadki braku współdziałania między poszczególnymi ośrodkami w terenie. Osobnym problemem, na który wskazali dyskutanci był niejednokrotny brak zrozumienia dla działań regionalistów ze strony lokalnych samorządów oraz trudności z pozyskiwaniem wsparcia od prywatnych sponsorów. Sposobem na to – jak zauważono – powinny być działania do prowokowania aktywności różnych środowisk społecznych, też władz samorządowych i lokalnych przedsiębiorców.

Nawiązując do, zasygnalizowanej przez prowadzącego Kongres, potrzeby zachowania pamięci o ludziach w przeszłości związanych z regionem (mając przy tym na uwadze tutejszą wielokulturowość), mówiono o potrzebie zaangażowania lokalnych środowisk w upamiętnianie osób ważnych dla regionu w przeszłości np. poprzez fundowanie tablic pamiątkowych. Ważnym kierunkiem działań powinno też być gromadzenie, opracowywanie i wydawanie wspomnień świadków wydarzeń z historii regionu po 1945 roku.

W toku dyskusji sformułowano wiele postulatów, m. in. organizację (co dwa lata) cyklicznych spotkań przedstawicieli stowarzyszeń oraz towarzystw naukowych i kulturalnych regionu, utworzenie pisma społeczno-kulturalnego podejmującego tematykę regionalną, przygotowywanie bibliografii dotyczącej współczesnego piśmiennictwa Warmii i Mazur, podjęcie działań w celu uporządkowania przestrzeni historycznej miast województwa, wsparcie dla realizacji planów zmierzających do zagospodarowani Pól Grunwaldzkich, udzielanie wsparcia stowarzyszeniom regionalnym w pozyskiwaniu funduszy z grantów, umożliwienie członkom stowarzyszeń publikacji na łamach „Komunikatów Mazursko-Warmińskich" wydawanych wspólnie przez organizatorów Kongresu – Ośrodek Badań Naukowych i Towarzystwo Naukowe im. Wojciecha Kętrzyńskiego.

JERZY KIEŁBIK, RYSZARD TOMKIEWICZ

Olsztyński Instytut Pamięci Narodowej 17 września br. zainaugurował cykl wykładów historycznych w ramach przedsięwzięcia o nazwie „Przystanek historia". Miejscem ich prezentacji jest m. in. Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Olsztynie. 24 września swoje wystąpienie miał dr Piotr Kardela (SDP), uczestnik projektu naukowego IPN „SB wobec środowisk twórczych, naukowych i dziennikarzy", który zaprezentował także szereg własnych publikacji na temat agentury komunistycznej na Warmii i Mazurach. Publikujemy skrót jego wystąpienia.

Służba Bezpieczeństwa wobec olsztyńskich mediów w latach 1970-1990

Ukazanie działań Służby Bezpieczeństwa wobec olsztyńskich mediów i stowarzyszeń dziennikarskich w PRL możliwe jest poprzez analizę akt spraw obiektowych olsztyńskiej SB, teczek osobowych źródeł informacji i sprawozdań komunistycznego aparatu represji.

Przed 1970 rokiem, pomimo że bezpieka nie rozpracowywała kompleksowo środowiska dziennikarskiego Olsztyna, posiadała wśród ludzi mediów swoje osobowe źródła informacji. Dziennikarze współpracujący z komunistycznym aparatem represji byli przeważnie wykorzystywani do zabezpieczenia kontrwywiadowczego, tylko częściowo służąc SB informacjami na temat macierzystych czy innych redakcji. Tak przykładowo było z redaktorami powstałej w 1957 roku „Panoramy Północy". Jej twórca Henryk Święcicki, przed zaangażowaniem się w dzieło powołania pisma, jako starszy cenzor zatrudniony był w olsztyńskim Urzędzie Kontroli Prasy do 1965 roku, a zatem, już jako redaktor naczelny pisma, współpracował operacyjnie z Grupą Specjalną Departamentu I MBP. Ludmiła Gutkowska z „Panoramy" – pozyskana w 1961 roku jako TW ps. „Lemska" zdobywała dla komunistów informacje podczas służbowych podróży zagranicznych, np. na festiwalu sztuki filmowej w Moskwie. Przed rokiem 1970, również w innych redakcjach, SB posiadała swoich OZI. Przykładowo dziennikarz Józef Mickiewicz – TW ps. „Iskra", związany z pismem „Warmia i Mazury" był wykorzystywany do inwigilacji olsztyńskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Wśród ludzi olsztyńskich mediów były też osoby, które zanim zostały zatrudnione w mediach, współpracowały z UB czy SB wykonując całkiem inny zawód. Takich osób z konfidencjonalną przeszłością, często sprawujących po 1970 roku odpowiedzialne funkcje redaktorskie

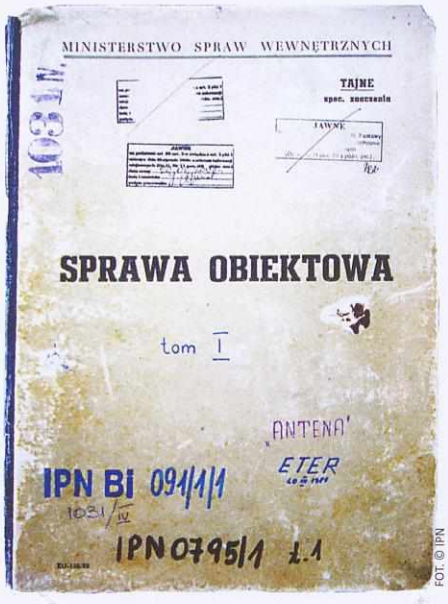

FOT. © IPN

w poszczególnych tytułach prasowych czy olsztyńskiej rozgłośni, tudzież w obsłudze technicznej, administracji czy pionach pomocniczych, było kilkanaście, a nosili pseudonimy: „Puzik", „Julek", „Orzeł", „Kruk", „Parasol".

SB do penetracji środowiska olsztyńskich dziennikarzy przed 1970 rokiem wykorzystywała tylko i wyłącznie z takim określonym przeznaczeniem jednego tajnego współpracownika. Był nim zwerbowany 22 kwietnia 1969 roku Roland Kiewlicz – TW ps. „Lemiesz". Zatrudniony w „Głosie Olsztyńskim" i „Ekspresie Wieczornym", Kiewlicz współpracował z SB stosunkowo długo, bo od 1969 do 1982 roku. Informował zarówno o sytuacji wśród dziennikarzy prasowych, jak i radiowych.

Początek szerszego rozpoznania SB w omawianym zakresie przypadł na jesień 1970 roku, kiedy to bezpieka założyła dwie sprawy obiektowe: pierwszą – na prasę wydawaną przez Olsztyńskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich oraz drugą – na olsztyńską rozgłośnię radiowo-telewizyjną. Sprawę obiektową krypt. „Prasa" wszczęto 23 października 1970 roku. Kontroli poddano łącznie Olsztyńskie Przedsiębiorstwo Wydawnicze RSW „Prasa" i wydawane przez RSW pisma oraz olsztyński Oddział SDP. Celem rozpoznania były tu redakcje trzech pism: dziennik „Gazeta Olsztyńska" – organ PZPR, tygodnik społeczno-kulturalny „Panorama Północy" i tygodnik rolniczy „Nasza Wieś". W celu kontroli olsztyńskiej rozgłośni radiowo-telewizyjnej 23 października 1970 roku SB wszczęła prowadzenie sprawy obiektowej krypt. „Antena".

Podstawą do poznania działań SB w stosunku do środowiska dziennikarskiego Olsztyna są m. in. zachowane tzw. charakterystyki obiektu. Pierwszą w nich, w odniesieniu do mediów prasowych, 17 kwietnia 1971 roku sporządził kpt. Wiesław Wójcik. SB w ramach kontroli redakcji pism wydawanych przez OPW RSW „Prasa" zawsze dokonywała – co powtarzało się w kolejnych latach – analizy tzw. upartyjnienia kadr, który w kontrolowanych mediach był zawsze wysoki, co oceniano jako „zjawisko pozytywne". Na czele poszczególnych redakcji stali w zasadzie do końca trwania PRL działacze partyjni, rekrutujący się z byłych kadrowych pracowników aparatu wojewódzkiego i miejskiego PZPR. Charakteryzując w 1971 roku SDP, bezpieka działaczy Stowarzyszenia postrzegała jako gremium niechętnie komentujące aktualną rzeczywistość. Wyjściowym dokumentem dotyczącym rozgłośni radiowo-telewizyjnej w Olsztynie jest charakterystyka obiektu krypt. „Antena" z 21 kwietnia 1971 roku sporządzona przez kpt. Wiesława Wójcika. Ogólnie całe środowisko radiowe oceniano „pozytywnie", w tym sensie, że w określonych sytuacjach polityczno-gospodarczych zajmowało ono – jak pisano – „właściwe stanowisko w odniesieniu do polityki partii i rządu".

W zakresie zabezpieczania poszczególnych tytułów prasowych i SDP bezpieka od początku prowadzenia sprawy krypt. „Prasa" skrupulatnie rejestrowała wyjazdy olsztyńskich redaktorów za granicę i przyjazdy do Olsztyna dziennikarzy zachodnich, spekulując w tym miejscu o możliwościach ewentualnej penetracji środowiska przez „zagranicznych wrogów i dywersantów".

Rozpoznanie operacyjne w odniesieniu do środowiska olsztyńskich mediów prasowych w 1971 roku SB w dalszym ciągu dokonywała tylko przy pomocy jednego TW, czyli „Lemiesza", ale też kontaktów operacyjnych (KO) i służbowych (KS). Źródła te SB poszerzała. Przez nowo pozyskanych TW ustalano potem kontakty dziennikarzy z osobami lub grupami z miast centralnych o większym – jak to ujmowano – „nasileniu działalności rewizjonistycznej", wokół których koncentrowano pracę operacyjną. W prowadzonym rozpoznaniu środowiska SB wykorzystywała osoby bliskie jej ideowo oraz utrzymywała kontakt z kierownictwem administracyjnym i partyjnym środowiska. W 1971 roku w czasie sporządzania charakterystyki obiektu „Antena", SB inwigilację pracowników olsztyńskiej rozgłośni prowadziła jedynie przy pomocy KO i KS.

W styczniu 1973 roku w ramach sprawy „Prasa" przeanalizowano zasób kadrowy każdego z tytułów wydawanych przez RSW, a zatem „Gazety Olsztyńskiej", „Naszej Wsi" i „Panoramy Północy", ale również i „Warmia i Mazury", które to czasopismo decyzją gremiów partyjnych rozbudowane w tym czasie w olbrzymi koncern RSW przejęło od olsztyńskiego Wydawnictwa „Pojezierze". Stopień upartyjnienia w działach redakcyjnych czasopism wyliczono wówczas na 80 proc. Sytuacja w mediach prasowych była w pełni kontrolowana i SB nie notowała działań godzących w politykę partii i rządu. W 1973 roku czyniąc rozeznanie pod kątem osób zatrudnionych w olsztyńskim RSW, SB ustaliła, że na ogólną liczbę 146 osób w przeszłości i aktualnie rejestrowanych miała 21 osób. Powody rejestracji były rozmaite. W „Gazecie Olsztyńskiej" odnotowano z jednej strony kierownika działu oświaty i nauki red. Stanisława Wieczorka jako byłego oficera rezerwy WSW, a z drugiej – publicystę działu społeczno-politycznego, jednego z najwybitniejszych dziś pisarzy mazurskich, Erwina Kruka zarejestrowanego ze względu na wprowadzenie do wydawanych powieści akcentów mówiących o prześladowaniu Mazurów przez władzę. Później Kruka rozpracowywanego w ramach sprawy krypt. „Mazur".

Podobną analizę przeprowadzono w redakcjach „Naszej Wsi" i „Panoramy Północy". Generalnie ze strony wymienionych osób (poza E. Krukiem) SB nie stwierdzała wykorzystywania łam prasowych do prowadzenia niekorzystnej dla partii propagandy. W olsztyńskich redakcjach zatrudnionych było wtedy 11 byłych TW, wyeliminowanych w przeszłości z uwagi na brak możliwości wykorzystania. Była to istotna konstatacja, tym bardziej, że w 1973 roku stan agentury w mediach prasowych SB oceniała w dalszym ciągu za niewystarczający. „[Z]achodzi konieczność zwiększenia źródeł informacji wywodzącej się z działów redakcyjnych i technicznych" – pisał kpt. Ziółek. Opracowując plan werbunku, funkcjonariusz konsultował się z kierownictwem służbowym RSW „Prasa", jak też z kierownikami działów redakcyjnych, korygując w ten sposób informacje uzyskane drogą operacyjną. Ważnym elementem była tutaj współpraca SB z olsztyńską cenzurą, która pomagała w wyłonieniu tych dziennikarzy, którym najczęściej kwestionowano oddawane do druku publikacje, by później stawiając takim dziennikarzom „propozycje nie do odrzucenia" werbować ich lub eliminować z mediów.

Działania olsztyńskiej SB miały na celu zapobieżenie kilku z punktu widzenia aparatu partyjnego niekorzystnym zjawiskom. Ich pełny katalog opracowano na poziomie Departamentu III MSW, którego Wydział III „ochraniał operacyjnie instytucje masowej informacji i propagandy", jak określano w dokumencie SB media. Z góry zakładano, że występowanie „zagrożeń" musiało łączyć się z akcją dywersyjną wrogich ośrodków na Zachodzie. Przede wszystkim wskazywano tu na Radio Wolna Europa. SB chciała walczyć m. in. z dywersją: ideologiczną – „przejawiającą się w postaci nacisków intelektualnych na aparat frontu ideologicznego", polityczną – „obliczoną na aktywizowanie i współdziałania sił wrogich socjalizmowi oraz wzbudzenie w nim nastrojów opozycyjnych", moralną – „lansującą zachodni styl życia w celu demoralizacji społeczeństwa polskiego, głównie młodzież" czy dywersją ekonomiczną – „wyrażającą się w lansowaniu burżuazyjnych modeli gospodarki rynkowej i burżuazyjnej strategii wzrostu gospodarczego". Działania podejmowane przez SB miały chronić interesy polityczne i gospodarcze PRL. Wśród działań ofensywnych wykorzystywano operacyjnie dziennikarzy wyjeżdżających na Zachód, gdzie celem było m. in. rozeznawanie emigracji politycznej i osób do niej docierających. Olsztyńska SB rejestrowała zatem wszystkie podróże zagraniczne dziennikarzy i innych pracowników mediów. W marcu 1973 r. dysponowano już konkretną wiedzą odnośnie kontaktów osobistych i korespondencyjnych poszczególnych dziennikarzy z krewnymi i innymi osobami mieszkającymi na Zachodzie. Niemalże wszystkim takim osobom założono perlustrację korespondencji i podsłuchy telefoniczne (PT) i pokojowe (PP).

Realizacja planów wytyczonych w marcu 1973 roku przez centralę i szczebel wojewódzki PZPR znalazła swoje odzwierciedlenie m. in. w szeregu rozmów indywidualnych, jakie przeprowadzono pod koniec tego roku z dziennikarzami z Olsztyna. Rozmowy te, przy współpracy z SB, organizowała specjalna komisja partyjna powołana przez POP OPW RSW „Prasa". Ich przebieg był zgodny z instrukcją dostarczoną przez Wydział Propagandy Prasy i Wydawnictw KC PZPR. Przedmiotem rozmów był szeroki wachlarz spraw – od wykształcenia i kompetencji dziennikarskich po obecność na szkoleniach politycznych prowadzonych dla zespołów redakcyjnych przez aparat partyjny.

Służba Bezpieczeństwa pod koniec 1973 roku w środowisku dziennikarzy prasowych Olsztyna w działaniach operacyjnych wykorzystywała 2 KS i 4 TW. Poza Kiewliczem SB miała już kilku nowych OZI. 15 grudnia 1972 roku pozyskano cennego TW, który przyjął pseudonim „Klaudiusz". Był to przedstawiciel Polskiej Agencji Prasowej w Olsztynie. W ewidencji SB przy pseudonimie „Pleban" figuruje red. Leszek Strycharski, który po ożenku z córką wysokiego dygnitarza sowieckiego, w latach 80. był korespondentem Radia Olsztyn w Moskwie. W grudniu 1973 roku do współpracy, jako TW ps. „Teresa", pozyskano kadrową olsztyńskiej rozgłośni radiowej Edytę Wojno. „Teresa" była pierwszym TW pozyskanym do sprawy obiektowej krypt. „Antena". Drugim informatorem w olsztyńskim radiu był Tadeusz Barzdo – TW ps. „Student", który po przeniesieniu się do Warszawy, gdzie podjął pracę w „Życiu Warszawy", współpracował z SB jako TW ps. „X" . Do końca lat 70., a czasem i dłużej, wśród osób wykorzystywanych przez SB do inwigilacji dziennikarzy byli jeszcze TW o pseudonimach: „Elżbieta", „Puzon", „Magda" i „Las".

Od kwietniu 1976 roku w ramach sprawy krypt. „Prasa" bezpieka swoim rozpoznaniem obejmowała tylko redakcję czasopisma „Warmia i Mazury", wyłączając z niej pozostałe olsztyńskie tytuły prasowe i środowisko SDP. Niezależnie od tego, w zachowanych aktach sprawy nadal przechowywano dokumenty odnoszące się do różnych tytułów prasowych byłego województwa olsztyńskiego.

Stosunkowo dużo dokumentów z lat 1976-1980 zachowało się w przypadku olsztyńskiej rozgłośni radiowej, w której kontrolą objęte było dosłownie wszystko

z treściami programowymi w szczególności. W czasie „Solidarności", 30 sierpnia 1980 roku, na polecenie zastępcy Komendanta Wojewódzkiego MO ds. SB płk. Kazimierza Dudka, bezpieka w porozumieniu z dyrektorem rozgłośni Tadeuszem Ostojskim (który był KS) ustaliła sposób unieruchomienia radiowych urządzeń nadawczych. W tym celu wytypowano dwóch pracowników technicznych radia, którzy mieliby to uczynić – jak zapisano – „w przypadku takiej konieczności", w celu – a był to Sierpień '80 – uniemożliwienia „emisji wrogich programów". Chciano tu wykorzystywać Mikołaja Daniluka z pionu technicznego rozgłośni, elektroakustyka, zajmującego się też obsługą wozu transmisyjnego. Nic jednak z tego nie wyszło, bo wprawdzie Daniluk 4 lipca 1980 roku, został formalnie pozyskany na TW, podpisał zobowiązanie do współpracy, przyjął nawet pseudonim agenturalny „Malarz", a SB założyła nawet jego teczkę personalną jako agenta, ale osoba ta realnej współpracy nigdy nie podjęła, co SB tłumaczyła sobie potem niekorzystnym dla siebie rozwojem sytuacji społeczno-politycznej, czyli ofensywą „Solidarności".

20 marca 1981 roku SB zmieniła kryptonim sprawy prowadzonej na olsztyńską rozgłośnię z „Anteny" na „Eter". W miesiąc później ppor. Zenon Łukaszewicz sporządził plan przedsięwzięć operacyjnych, zalecając m. in. „niedopuszczenie do zbiorowych wystąpień ze strony zespołu pracowniczego oraz zabezpieczenie obiektu przed opanowaniem go poprzez elementy antysocjalistyczne w celu wykorzystania do wrogich celów". W planowanych przedsięwzięciach esbek postulował zwiększenie stanu TW i KO „głównie wśród personelu technicznego i publicystycznego". Łukaszewicz uważał za wskazane „prowadzenie rozpoznania członków [radiowo-telewizyjnej] „Solidarności". SB zatem rozpracowywała tych pracowników olsztyńskiej radia i telewizji, którzy zasili szeregi związku, w tym (w ramach sprawy krypt. „Hermes") szefa związku Wiesława Gawinka, późniejszego teścia red. Igora Janke.

26 listopada 1981 roku zamknięto sprawę „Prasa". Nie oznaczało to bynajmniej końca esbeckiej kontroli. Na redakcje SB pozakładała – jak to ujmowano – „odrębne segregatory". O inwigilacji olsztyńskich redakcji prasowych świadczy wykorzystanie pozyskanego 11 maja 1981 roku TW ps. „Artur", autora szeregu charakterystyk dziennikarzy z „Gazety Olsztyńskiej", „Naszej Wsi", „Warmii i Mazur" czy „Panoramy Północy". To m. in. na podstawie dostarczonych przez niego informacji opracowano, a potem zwerbowano TW o pseudonimie „Automobilista". Znacznie

FOT. © KAROL SACEWICZ

szerzej od „Artura" SB wykorzystywała operacyjnie, od 11 sierpnia 1983 roku, red. Bogdana Millera z „Gazety Olsztyńskiej", który będąc agentem sygnalnym, donosił na kolegów dziennikarzy do 1986 roku jako TW ps. „Janusz".

W wyniku przeprowadzonej przez SB analizy „stanu bezpieczeństwa" w olsztyńskiej rozgłośni radiowo-telewizyjnej, 28 grudnia 1983 roku por. Marek Szczerbicz sporządził dokument, gdzie napisał, iż w rozgłośni zatrudniającej 69 osób, w tym 23 dziennikarzy, było 5 TW, 2 kandydatów na TW i 3 KO. Było to już po okrytej złą sławą weryfikacji dziennikarzy, która w Olsztynie trwała od początku drugiej połowy stycznia 1982 roku. Przeglądem objęto kilkanaście osób. Pozytywnie zaopiniowano wszystkich szefów redakcji radiowych, co nie dziwi, gdyż wcześniej SB kontrolowała ich ścieżki awansowe. Oczywiście weryfikację pomyślnie przeszli wszyscy konfidenci. Czynności te prowadzono w Komitecie Wojewódzkim PZPR.

Z radia i telewizji negatywną ocenę otrzymali wówczas m. in. Ryszard Langowski związany z „Solidarnością" i szef związku Wiesław Gawinek, który pracował w redakcji telewizyjnej. Rozmawiano też z red. Romanem Kamińskim z telewizji, co do którego ostateczną decyzję miało podjąć kierownictwo rozgłośni, po osobnej rozmowie. Kamiński nie został usunięty. Z pewnością decydująca tu była jego postawa wobec peerelowskiej rzeczywistości, najbardziej chyba określona tym, że dziennikarz ten od 1981 roku wykorzystywany był przez SB jako TW ps. „Uran". Kamiński w Olsztynie najbardziej był znany z tego, że od 1984 roku był rzecznikiem prasowym wojewody olsztyńskiego Sergiusza Rubczewskiego. Po przejściu do Urzędu Wojewódzkiego nadal należał do SD PRL i naturalnie dalej (do 1988 r.). utrzymywał kontakty z SB. Przeprowadzona weryfikacja – według ewidentnie stronniczej analizy Szczerbicza – „pozytywnie" wpłynęła zarówno na „poprawę stosunków międzyludzkich, jak i służbowych w Rozgłośni. [...] Z chwilą zwolnienia z pracy osób zaangażowanych w działalność «Solidarności» – pisał dalej porucznik SB – środowisko pracowników Rozgłośni zmieniło znacznie swe oblicze polityczne". Nie wszystko jednak szło po myśli komunistycznego aparatu represji. 14 listopada 1983 roku zmarł red. Stanisław Pawliczak kierownik redakcji telewizyjnej, znany komentator sportowy. Pawliczak był stosunkowo świeżo pozyskanym źródłem. W charakterze TW ps. „Staniol" wykorzystywano go zaledwie kilka miesięcy, bo od 27 kwietnia 1983 roku.

Po przeprowadzeniu weryfikacji dziennikarzy, SB nie stwierdzała prób zakłócenia funkcjonowania ośrodka radiowo-telewizyjnego w Olsztynie czy – jak pisano – „podburzania nastrojów w sensie negatywnym". Szczerbicz z wyraźną satysfakcją podawał, iż w 1983 roku w rozgłośni powstał dziesięcioosobowy komitet założycielski branżowych związków zawodowych. Wśród jego członków znaleźli się 1 TW i 2 kandydatów na TW. „W wyniku

podjętych działań operacyjnych – napisał esbek – te osobowe źródła informacji zostały wybrane do władz Związku Zawodowego Pracowników Komitetu ds. Radia i Telewizji Rozgłośni PR w Olsztynie". Z kolei kiedy w czerwcu 1983 roku w Warszawie odbywał się I Krajowy Zjazd SD PRL, w obradach uczestniczyła delegacja z Olsztyna. Wśród delegatów znajdował się 1 TW zatrudniony w olsztyńskiej rozgłośni. „W wyniku podjętych wcześniej działań inspirujących – podawano w dokumencie SB – wśród grona delegatów na Zjazd SD PRL, kandydatura naszego TW została zgłoszona i przegłosowana do władz Zarządu Głównego SD PRL".

W 1983 roku bezpieka powiększyła liczbę swoich osobowych źródeł informacji, pozyskując 3 nowych TW i rejestrując 3 nowe KO. Utrzymywała stały kontakt z kierownictwem służbowym radia, o sytuacji którego na bieżąco informowano Wydział XIII Departamentu II MSW w Warszawie. W 1984 roku koncentrowano działania operacyjne zwłaszcza na „prawidłowym – jak to pisano – funkcjonowaniu doboru kadrowego, szczególnie w zakresie obsad personalnych newralgicznych komórek redakcyjnych i technicznych PR i TV". Operacyjnej kontroli towarzyszyły działania zmierzające do „[p]rawidłowego i maksymalnego wykorzystania na antenach środków masowego przekazu bogatego dorobku Polski Ludowej i wkładu organów MO i SB w utrwalanie państwa socjalistycznego, władzy ludowej i osiągnięć klasy robotniczej". SB inspirowała dziennikarzy do „propagowania w sposób rzeczowy i przekonywujący słuszności podejmowanych przez kierownictwo Partii i Państwa decyzji społeczno-ekonomicznych".

Sprawę obiektową krypt. „Prasa", obejmującą ponownie wszystkie gazety i czasopisma wydawane przez RSW w Olsztynie, wszczęto po raz drugi 1 lutego 1984 roku. Wniosek w tej sprawie sformułował były I sekretarz PZPR w MSW w Warszawie ppłk Wiesław Poczmański, w Olsztynie – zastępca WUSW ds. Służby Bezpieczeństwa. W 1984 roku por. Szczerbicz opracował „Analizę stanu bezpieczeństwa" w obiekcie „Prasa", obejmującą redakcje: „Gazety Olsztyńskiej", „Naszej Wsi", „Warmii i Mazur", popołudniówki „Dziennik Pojezierza" i pism zakładowych: „Kormorana" i „Głosu Warfamy". SB posiadała w tych tytułach 9 TW: 3 w „Gazecie Olsztyńskiej", 1 – „Dzienniku Pojezierza", 2 – „Naszej Wsi", 1 – „Warmii i Mazurach", 1 – w administracji RSW i 1 w terenowym przedstawicielstwie RSW.

W 1984 roku bezpieka nie notowała „oznak działania nielegalnych struktur Solidarności". Operacyjnie rozpoznawała za to rozwój branżowego ruchu związkowego. Współdziałała w tym zakresie z dyrekcją RSW, zwłaszcza odnośnie – jak zapisano – „prawidłowego doboru kadrowego w newralgicznych komórkach redakcyjnych". W maju 1985 roku wśród przewidywanych „wrogich aktów politycznych", SB w zasadzie nie spodziewała się możliwości masowego ich występowania. Stan agentury w olsztyńskim środowisku dziennikarzy prasowych był w ocenie bezpieki zadawalający.

Trzy dni po ponownym wszczęciu sprawy obiektowej krypt. „Prasa", w 1984 roku, SB wszczęła też sprawę krypt. „Oddział" dla kontrolowania SD PRL w Olsztynie. Na dzień 13 maja 1985 roku we władzach tego związku bezpieka posiadała czterech TW o pseudonimach: „Klaudiusz", „Gyor", „Czyż" i „Góral". TW ps. „Gyor" był uplasowany w Zarządzie Oddziału, TW ps. „Czyż" działał w Komisji Rewizyjnej, a TW „Góral" i TW „Klaudiusz" byli w Komisji Interwencyjnej SD PRL. Z akt wynika, że SB wiedziała o związku wszystko, nawet to, iloma miejscami na wczasy zagraniczne dysponował Oddział i jak Zarząd podzielił asygnaty na samochody. Kiedy w maju 1987 roku wybrano nowy Zarząd Oddziału SD PRL, SB doliczyła się w nim 3 TW. Ponadto 5 TW było członkami Stowarzyszenia, ale nie wchodziło w skład jego Zarządu. W 1987 roku w odniesieniu do SD PRL nie rejestrowano żadnych oznak działalności konspiracyjnych struktur „Solidarności". W 1988 roku SB notowała jedynie oznaki niezadowolenia na tle płacowym.

W marcu 1988 roku akta sprawy „Oddział" włączono do sprawy „Prasa", którą zakończono 23 stycznia 1990 roku. Zakończenie sprawy „Eter" nastąpiło 8 stycznia 1990 roku. SB kontrolując operacyjnie oficjalnie ukazujące się w Olsztynie gazety i czasopisma, rozgłośnię radiowo-telewizyjną i stowarzyszenia dziennikarskie, nie miała w gruncie rzeczy trudnego zadania. Wszystkie te media stanowiły bowiem oręż propagandowy PZPR i były finansowane z kasy państwowej, a więc od władzy były całkowicie zależne.

W Olsztynie, podobnie jak w całym kraju, środki masowego przekazu były oczkiem w głowie aparatu komunistycznego, a zatem rzadko zdarzało się, by przenikały do nich osoby o poglądach nieprzystających do oficjalnych, a tym bardziej negujące w sposób otwarty podstawy ustrojowe PRL i zawarte przez nią sojusze. Kiedy tworzyła się „Solidarność", część pracowników olsztyńskich mediów zasiliła szeregi związku, ale weryfikacja z 1982 roku niemal doszczętnie je z mediów wyeliminowała. Usunięto niemalże wszystkich, którzy ośmielili się zaprezentować postawę negacji wobec wprawdzie słabnącej, mało przekonywującej, ale mocno jednak wyartykułowanej w stanie wojennym swoiście pojmowanej przez komunistów patriotycznej postawy.

SB w odniesieniu do pracowników olsztyńskich mediów kontrolowała zwłaszcza kadry, co nie mogło skutkować niczym innym jak utrzymaniem zespołów redakcyjnych w pełni dyspozycyjnych wobec partii komunistycznej. Bardzo ważnym elementem esbeckiego rozpoznania było rejestrowanie wszelkich kontaktów dziennikarzy z wolnym światem zachodnim. W zasadzie osoby posiadające takie kontakty stawały się naturalnym celem działań operacyjnych SB, która generalnie albo widziała w takich osobach obiekt werbunku na TW, albo element kwalifikujący się do usunięcia z mediów.

Dziennikarz utrzymujący kontakty z Zachodem, wyjeżdżający za żelazną kurtynę, nie mógł ot tak sobie wykonywać swojego zawodu, a kto z góry w momencie wnioskowania o paszport nie wyrażał chęci współpracy, stawał się wrogiem socjalistycznego państwa, mógł od razu zapomnieć o roli zagranicznego korespondenta. SB musiała zawsze wiedzieć co dzieje się w środowisku, dlatego werbowała wśród dziennikarzy tajnych współpracowników, zabezpieczała kontakty operacyjne i podtrzymywała kontakty służbowe. Wykorzystanie dziennikarza współpracującego z SB, było wszakże dla tejże służby i bezcenne, i wszechstronne.

PIOTR KARDELA

Zasłuchani uczestnicy wykładu w Instytucie Kultury Chrześcijańskiej FOT. © KAROL SACEWICZ

Spotkanie Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP

Klub Publicystyki Kulturalnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zaprasza na comiesięczne spotkanie – w środę, 4 listopada, o godz. 16, w Klubie „Cudzysłów" w Domu Dziennikarza, przy ul. Foksal 3/5 w Warszawie. Tym razem gościem będzie Jacek Karczewski – historyk, inicjator, twórca i dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce.

Jacek Karczewski – urodził się 25 grudnia 1974 roku w Ostrołęce. Jest magistrem historii, z ukierunkowaniem na historię najnowszą. Zaangażowany w liczne inicjatywy o charakterze patriotycznym. Propagator etosu Polskiego Państwa Podziemnego oraz antykomunistycznego podziemia niepodległościowego. Współzałożyciel i prezes Stowarzyszenie Historii Ziemi Ostrołęckiej im. kpt. Aleksandra Bednarczyka „Adama" (jednego z dowódców Armii Krajowej obwodu ostrołęckiego, prezesa WiN poległego w grudniu 1946). Od 2013 roku wiceprezes ŚZŻAK Okręg Ostrołęka. Inicjator, twórca i dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce (od 2015 roku w organizacji).

Zapraszam serdecznie

TERESA KACZOROWSKA

Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce

Pamięć o Żołnierzach Wyklętych, którzy po okupacji niemieckiej postanowili dalej walczyć o wolną Ojczyznę z nowym okupantem sowieckim, jest ciągle żywa wśród Polaków. Na szczęście nie udało się – choć usilnie starano się o to przez kilkadziesiąt lat – całkowicie wymazać z historii tych wspaniałych, wiernych żołnierzy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Niestety, sączone przez lata kłamstwa poczyniły też wiele szkód, wypaczając prawdziwy wizerunek Niezłomnych. Czas na otwarte mówienie prawdy nastał dopiero po 1989 roku...

W kręgach ostrołęckich parlamentarzystów, samorządowców oraz stowarzyszeń historycznych i organizacji społecznych, zrodził się pomysł utworzenia w mieście Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Efektem ich działań była podjęta, 28 lutego 2013 roku, przez Radę Miasta Ostrołęki uchwała o powołaniu do życia Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Muzeum, którego zadaniem będzie gromadzenie pamiątek po Niezłomnych, podtrzymywanie pamięci o nich, pokazywanie ich drogi i bohaterstwa, a także – poprzez działania edukacyjne – przywracanie im należytego miejsca w historii.

Muzeum powstaje w regionie, w którym opór społeczeństwa i działalność ugrupowań antykomunistycznych spod znaku NZW i AK–WiN miały bardzo duże rozmiary. W początkowym okresie w podziemiu zaprzysiężonych było ponad 3,5 tys. żołnierzy, nie licząc kolejnych, którzy przewinęli się przez oddziały w trakcie trwających, aż do końca 1953 roku, walk. Miejsce, w którym tworzymy Muzeum, też nie jest przypadkowe. Główny budynek powstał w 1903 roku. Od samego początku znajdowało się w nim więzienie – najpierw carskie, później wykorzystywane przez Niemców, a po zakończeniu II wojny światowej przez komunistyczny reżim.

Zasadniczym celem działalności Muzeum jest prowadzenie działalności o charakterze naukowo-badawczym i edukacyjnym z zakresu historii zbrojnego podziemia antykomunistycznego oraz dziejów i dorobku tzw. „Żołnierzy Wyklętych", w szczególności poprzez gromadzenie, opracowywanie i konserwację zbiorów dotyczących tej problematyki oraz ich upowszechnianie i popularyzację, a także prowadzenie działalności zmierzającej do wychowania młodego pokolenia Polaków w duchu patriotyzmu i szacunku dla tradycji narodowych.

Wizualizacja projektowanego Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce

FOT. © MUZEUMZOLNIERZYWYKLETYCH.PL

Monika Szczygło – musi być życie pozaradiowe

FOT. © MACIEJ RYNARZEWSKI

Monika Szczygło jest absolwentką Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Swoją przygodę z dziennikarstwem rozpoczęła w Radiu Olsztyn jeszcze w okresie studiów. Dołączyła do zespołu audycji „Dziecinada" skierowanej do najmłodszych słuchaczy. Audycje dla dzieci w Radiu Olsztyn, były także tematem jej pracy licencjackiej. Jako dziennikarka radiowa specjalizuje się w zagadnieniach poświęconych kulturze. Od lutego 2014 roku prowadzi autorską audycję „Przy kawie", w której przeprowadza wywiady z artystami oraz innymi osobami z kręgu szeroko rozumianej kultury i sztuki, które również publikuje na łamach „Bez Wierszówki".

Andrzej Zb. Brzozowski: Zanim pojawiłaś się radiu, radio pojawiło się w Twoim życiu, bynajmniej nie w taki sposób, jak dla większości słuchaczy?

Monika Szczygło: Na trzecim roku studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim postanowiłam napisać pracę na temat audycji dla dzieci w Radiu Olsztyn. W tym celu spotkałam się z Ewą Zdrojkowską, ówczesną szefową redakcji kulturalnej, i zrobiłam z nią kilka wywiadów. Ewa zaproponowała mi coś w rodzaju stażu czy praktyki w Radiu Olsztyn. Moja droga radiowa miała więc naukowe początki (śmiech).

Czy to było Twoje pierwsze profesjonalne spotkanie z radiem?

Od strony praktycznej tak. Wcześniej byłam tylko słuchaczką. Rozpoczęłam pracę w redakcji społeczno-kulturalnej, ale mam także za sobą, jak większość dziennikarzy, szkolenie w newsroomie. Przygotowywałam różne informacje, pisałam krótkie teksty, działałam jako reporter, głównie w czasie wakacji, kiedy starsze stażem koleżanki i koledzy byli na urlopach. Chciałam w ten sposób poznać podstawy dziennikarskiej profesji.

Zaczynałaś w audycji „Dziecinada", czy to jakieś szczególne zainteresowanie tematyką dziecięcą?

Wcześniej przez wiele lat współpracowałam z olsztyńskim aktorem-lalkarzem Tadeuszem Sobczakiem, jeszcze w okresie liceum. Były to programy artystyczne i profilaktyczne skierowane właśnie do dzieci. Ten bezpośredni kontakt z dziecięcą widownią spowodował, że polubiłam to i radiowe audycje dla dzieci były dla mnie naturalną kontynuacją tego działania.

Zawodowo jesteś zmuszona do picia co najmniej jednej kawy dziennie, mam tu na myśli Twoją autorską audycję „Przy kawie"?

Podczas rozmów z artystami nie wypada nie wypić kawy, zwłaszcza kiedy się ich na nią zaprasza. Kawa jest więc codziennie w moim rozkładzie dnia. Poprowadzenie tej audycji zaproponował mi Mariusz Bojarowicz (obecny prezes Radia Olsztyn). Wcześniej realizowałam małe formy rozmów z artystami. Dowiadywałam się, kto w najbliższym czasie przyjeżdża do Olsztyna, robiłam wywiad i potem próbowano gdzieś to upchnąć w programie. Z czasem okazało się, że dobrze by było wprowadzić taki stały, codzienny cykl audycji. I tak powstało „Przy kawie" emitowane od poniedziałku do czwartku o godz. 9.15.

To są wywiady w cztery oczy?

Z tym to bywa różnie. Czasami menadżer gwiazdy spogląda na zegarek i przypomina, że czas rozmowy dobiega końca, ale są też takie spotkania, kiedy można spokojnie i bez stresu przeprowadzić wywiad. Początki nie były łatwe, ponieważ znalezienie tygodniowo czterech w miarę znanych osób w naszym regionie, nie jest takie proste. Latem, kiedy jest dużo koncertów i imprez, można być spokojnym, jesienią i zimą jest trochę trudniej. Dlatego nie skupiam się tylko na Olsztynie, ale jeżdżę np. do Gdańska, Elbląga, Ełku. Mam tam zaprzyjaźnionych ludzi, którzy mnie informują o tym, co się w tych miastach dzieje, jeżeli chodzi o życie kulturalne. W lutym 2016 roku będzie już dwa lata jak się tym zajmuję i na mojej liście wywiadów jest już blisko trzysta osób.

Wychodzi więc na to, że jeżeli chodzi o koncerty i imprezy kulturalne w regionie, jesteś osobą najbardziej zorientowaną?

To jest dość ciekawe. Czasami ludzie narzekają, że w Olsztynie nic się nie dzieje, że nikt tutaj nie przyjeżdża. Jak się człowiek trochę rozejrzy, kiedy jest na bieżąco, ze wszystkimi portalami internetowymi, instytucjami kulturalnymi, to się okazuje, że

jeżeli jestem w stanie złapać co najmniej cztery ciekawe osoby na tydzień z kręgu kultury, to chyba nie jest tak źle. To podbudowuje, że nie jesteśmy takim kulturalnym pustkowiem. Niektórzy twórcy i artyści mają w naszym regionie swoje domy letniskowe. Miałam taką ciekawą sytuację z Wandą Kwietniewską, wokalistką formacji Wanda i Banda, która do mnie zadzwoniła, że wypoczywając na Warmii i Mazurach słuchała Radia Olsztyn. Wysłuchała jednej z moich audycji i zapytała, czy nie chciałabym z nią przeprowadzić wywiad. Czasami więc ta audycja sama się nakręca.

Ze względu jednak na cykliczność audycji musisz mieć to wszystko zaplanowane. Czy zdarzyła się jakaś sytuacja awaryjna?

To jest ciekawe pytanie. Pracuję od samego początku w trybie „dwa, trzy tygodnie do przodu" i udaje mi się to tempo zachować. Daje mi to poczucie komfortu i spokoju. Zdarzył mi się kiedyś tylko tydzień wyprzedzenia i już zaczęło robić się trochę „gorąco". Na razie takich sytuacji skrajnych nie było. Kiedy idę na urlop, puszczam powtórki.

Czy jest jakiś wywiad z którego jesteś najbardziej dumna, czy zadowolona?

Najbardziej przeżywałam rozmowę z Leszkiem Możdżerem. Jest to jeden z naszych najwybitniejszych eksportowych artystów. Na rozmowę z nim miałam tylko dziesięć minut. Menadżerka była obecna podczas rozmowy, a ja szczerze wyznałam, że się boję, że w tak krótkim czasie nie będę mogła porozmawiać o wszystkim. Na co Leszek Możdżer odpowiedział, żebym się nie martwiła i spokojnie pytała o wszystko, co chciałabym wiedzieć.

Miałam też okazję rozmawiać z gitarzystką Michaela Jacksona (zob. „Bez Wierszówki" 2015, nr 7-8, s. 24-25). Koncertowała w jakimś zajeździe w Lubawie. Dowiedziałam się o tym przez przypadek. Bardzo lubię rozmawiać z artystami zagranicznymi. Oni traktują dziennikarza na zasadzie partnerstwa, są bardzo komunikatywni i otwarci.

Czy jest jakiś artysta na świecie, z którym chciałabyś zrobić wywiad, ale niestety już nie zrobisz?

Boję się, że niestety nie zrobię wywiadu z Davidem Lynchem. To jest mój ulubiony reżyser i osoba którą niezwykle cenię za życiową mądrość. Mieszka w Kalifornii i jest tak zapracowany, że nie będzie miał czasu dla dziennikarki z Radia Olsztyn. Chociaż, kto wie?

O Twojej fascynacji Davidem Lynchem słyszałem, ale spodziewałem się trochę innej odpowiedzi, chodzi o pewnego rockowego wokalistę. Skąd ta fascynacją właśnie tym zespołem?

Masz na myśli zespół Queen i Freddiego Mercury, który pojawił się moim życiu od najmłodszych lat. Mój tata miał płyty i kasety między innymi tego zespołu. Ta muzyka znikała na jakiś czas z kręgu moich muzycznych zainteresowań, ale ciągle wracała i cały czas była gdzieś przy mnie. Ktoś kiedyś powiedział, że Freddie Mercury to nie jest gwiazda, tylko konstelacja. I to jest prawda, ponieważ był on artystą w każdym wymiarze. Bardzo wszechstronnie utalentowanym, charyzmatycznym człowiekiem. Jestem nawet w fan clubie grupy Queen. Ich muzyka cały czas jest obecna w moim życiu.

Większość radiowców, nie tylko olsztyńskich, z którymi rozmawiałem twierdzi, że nie istnieje coś takiego jak życie pozaradiowe. Czy Ty też tak masz?

Nie jestem do końca wyznawczynią takiego przekonania. Musi być życie pozaradiowe, żeby było życie radiowe. Energię do bycia radiowcem powinno czerpać się także z zewnątrz. Musi być taki zdrowy dystans.

Podobno Twoją wielką pasją są podróże i marzysz o takiej eskapadzie po Stanach Zjednoczonych?

To się wszystko zawsze będzie sprowadzało do amerykańskiej muzyki i do filmu. Te klimaty zawsze mnie fascynowały. Tylko jest jeden problem. Ja się bardzo boję latać samolotem. Ale jak się już zdecyduję, to nie będę miała wyjścia. Myślę, że kiedyś spełnię to marzenie.

Studiowałaś dziennikarstwo, więc Twój wybór zawodu był świadomy. Czy mogłabyś robić w życiu coś innego?

Nie planowałam dziennikarstwa. Pojawiło się niespodziewanie i jednak mnie ogromnie zafascynowało. Ja chciałam być aktorką! Zdawałam nawet do Akademii Teatralnej w Warszawie. Niestety się nie dostałam. Myślałam, że dziennikarstwo będzie takim sposobem na przeczekanie, ale po roku zmieniłam zdanie. Dziennikarstwo tak mnie pochłonęło, że aktorstwo zeszło na drugi plan.

Na koniec poproszę Cię o jakąś dziennikarską anegdotę, oczywiście z Twoim udziałem.

Z tego względu, że moje spotkania z artystami odbywają się w różnych miejscach, przez te prawie dwa lata poznałam nie tylko wszystkie olsztyńskie kluby i sale koncertowe, ale także i hotele. Właśnie w jednym z hoteli zdarzyła się dość zabawna sytuacja. Pani z recepcji poznała mnie i w dobrej wierze zapytała, na całe szczęście nie przy ludziach... to do kogo dzisiaj?

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Film Zbigniewa Rytela na Festiwalu w Mediolanie

Po raz kolejny doceniono produkcję Redakcji Transmisji i Publicystyki TVP Sport. Film dokumentalny w reżyserii Zbigniewa Rytela **„Sport w TVP – obrazki z wystawy"** znalazł się w programie 33. Międzynarodowego Festiwalu Filmów i Telewizyjnych Programów Sportowych w Mediolanie.

Tegoroczna edycja Festiwalu będzie miała specjalny przebieg z uwagi na patronat trwających od 1 maja Międzynarodowych Targów EXPO. Sześć dni, 130 produkcji z 36 krajów (wybranych z 972 zgłoszeń z 55 państw), 25 premier światowych, 50 dyscyplin sportowych, 30 godzin nie publikowanych przekazów olimpijskich, 12 ekranów w technologii 4k, 200 reżyserów i producentów, 202 telewizje zaangażowane w projekt – tak organizatorzy reklamują najbliższą edycję.

„Sport w TVP – obrazki z wystawy" to dokument, którego scenarzystą i reżyserem jest **Zbigniew Rytel**, a producentem **Tamara Czyż-Kasperek**. Został zrealizowany z okazji 60-lecia Telewizji Polskiej. Od początku istnienia TVP, sport był jednym z najważniejszych elementów jej programu, w niektórych momentach wręcz najważniejszym. Historia sportu i historia telewizji splatają się w tym filmie w nierozerwalną całość, pokazując jak razem wpływały one na życie wielu pokoleń Polaków.

Dużą zaletą filmu jest bogactwo materiałów archiwalnych, dokumentujących sukcesy polskich sportowców i pokazujących kulisy telewizji. Autorowi udało się zebrać wspomnienia wielu wybitnych twórców telewizyjnych, wliczając tych, którzy w latach 50. budowali fundamenty TVP (np. Michał Bogusławski, Wanda Trzebunia-Siwicka). Ich opowiadania po raz pierwszy upublicznione w filmie – pełne anegdot i ciekawostek – pokazują realia telewizji w ciągu 60. lat jej istnienia. Podkreślenia wymaga znakomita jakość zdjęć autorstwa Ładysława Lipkowskiego i montaż Bogusława Koziarskiego.

To nie pierwsze wyróżnienie dla Zbigniewa Rytela. Inne jego filmy dokumentalne (jak choćby „Krzysztof Wiłkomirski – ostateczna walka", „Idolka" o Justynie Kowalczyk czy „PKOl – 90 lat na olimpijskim szlaku") były nagradzane podczas festiwali w Polsce i zagranicą. Film „Dzieci Mniejszego Księcia" pokazywany był na wielu festiwalach na całym świecie. Zwyciężył w Dżakarcie, a w Mediolanie otrzymał honorowe wyróżnienie („Mention d'Honneur").

CI TVP

Dziennikarze czy hejterzy?

Podczas kampanii wyborczej prezydenckiej Ewa Kopacz powiedziała, że Platforma Obywatelska zatrudniła 50 hejterów internetowych, a zatrudni jeszcze następnych stu, aby dbali w Internecie o interesy partii. Dodała jeszcze, że każdy parlamentarzysta PO ma być takim hejterem. Potem pani premier coś mówiła o walce z językiem nienawiści, ale to, że hejterostwo ma z tym ścisły związek, tego już nie skojarzyła.

Pani premier mówiła rzeczy przeróżne, ale dziennikarze powinni być bardziej odpowiedzialni za swoje słowa niż swobodni politycy. Jednak gdy dziennikarze zaczynają się identyfikować z jakąś partią polityczną czy obozem rządowym, wtedy już o żadnej odpowiedzialności za słowo być nie może. O rzetelności już nie wspominam.

Hanna Lis przegrała proces sądowy z Piotrem Dudą, przewodniczącym NSZZ „Solidarność", i jest to wyrok prawomocny. Oto prowadząc „Panoramę" w TVP 2 powiedziała, że Piotr Duda udał się do protestujących rodziców dzieci niepełnosprawnych, aby zbić polityczny kapitał. „Panorama" nie chciała wyemitować sprostowania, gdyż wydawca stwierdził, że to był odautorski komentarz prowadzącej. W rzeczywistości Piotr Duda został zaproszony przez rodziców, a nie poszedł tam z własnej inicjatywy. Metoda komentatorskiej oceny rzeczywistości przez prowadzącego program informacyjny niestety aż nazbyt często przyjęła się w naszych stacjach telewizyjnych. Prowadzący może zrobić komentarz, ale trzeba go wyraźnie odróżnić od informacji. Po drugie, informacja powinna być rzetelna, a różnie z tym bywa. Oto Justyna Pochanke w „Faktach TVN" powiedziała, że wiceprezes PiS „pytał, czy Donald Tusk był agentem Stasi". Od razu ta informacja rozeszła się po innych mediach i była szeroko komentowana przez dziennikarzy i polityków. A jak było naprawdę? Antoni Macierewicz odbywając spotkanie na drugiej półkuli odczytał tylko pytanie zadane na kartce przez jednego z uczestników spotkania nie dając na nie odpowiedzi. Czy to ważne, że pytał uczestnik spotkania, a nie prowadzący? Ważne jest to, że przez trzy dni znów w mediach straszono Macierewiczem.

Wszelkie normy dziennikarskiej manipulacji przekroczył Jakub czyli w mediach Kuba Wojewódzki. W Radiu Rock nagrał rozmowę z Jerzym Zelnikiem, a potem wykasował pytania i domontował inne, aby odbiorca miał wrażenie, że znany aktor dyfamuje swoich kolegów. Zaczął się hejt na aktora rozpoczęty przez Agnieszkę Holland a na Zbigniewie Hołdysie kończąc. Dziennikarka magazynów plotkarskich Karolina Korwin Piotrowska stwierdziła: „Nie wiem, czy to głupota, brak inteligencji, zazdrość zawodowa czy jednak opętanie. A może jednak posunięte do granic cwaniactwo". Natomiast Z. Hołdys napisał: „Jerzy Zelnik w pełnej krasie szmaciarstwa i kapusiostwa, wstrząsające". Wstrząsające są te wpisy, oskarżające aktora o rzeczy, które nie popełnił. Hejt w całej rozciągłości tylko dlatego, że J. Zelnik oficjalnie popierał kandydaturę Andrzeja Dudy na prezydenta. Jedyny głos broniący wykorzystanego przez dziennikarza aktora jaki odnalazłem w sieci należał do Jacka Poniedziałka. Na swoim profilu na Facebooku napisał: „Tzw. «afera» Zelnika jest jedną z najprymitywniej, grubymi nićmi szytą mistyfikacją i manipulacją, jaką pamiętam. Prostacki montaż, ewidentnie pytania i odpowiedzi nie korespondują ze sobą na ucho najbardziej naiwnego dziecka. Nie zgadzam się z Jerzym Zelnikiem prawie w niczym, ale na taką chamską manipulację nie ma zgody". Jednak wypowiedzi Hołdysa, jak też Korwin Piotrowskiej, rozpowszechnił „Super Express", ale o stanowisku Poniedziałka nawet nie wspomniał. Cóż, hejt się bardziej sprzedaje, niż czysta prawda. A jak się tłumaczono w Radiu Rock... że była to audycja satyryczna. Tylko dziwne, że nikt tego tak nie odebrał, a plwociny jakie spadły na Jerzego Zelnika po manipulacji Wojewódzkiego na pewno żartami nie były. Tylko, czy ludzie, którzy uwierzyli Wojewódzkiemu, są teraz w stanie przeprosić za kalumnie, które rzucili na Zelnika? W to wątpię. Po prostu ujawnili swoją skrywaną niechęć do tego aktora.

Różne mogą być metody manipulacji. Oto tygodnik „Wprost" w numerze z 5 września br. zamieścił wywiad z Piotrem Naimskim przeprowadzony przez Pawła Różańskiego. Wywiad był autoryzowany. Rozmowa dotyczyła polityki energetycznej naszego państwa. Jednak redakcja uznała, że niektóre wypowiedzi P. Naimskiego, szczególnie te krytykujące rząd PO i PSL ukazać się nie mogą i po prostu wypowiedzi rozmówcy ocenzurowała. Ba, nawet zweryfikowała niektóre pytania dziennikarza. Jak widać metody Kuby Wojewódzkiego zaczął też stosować tygodnik obecnie kierowany przez Tomasza Wróblewskiego.

„Newsweek" kierowany przez Tomasza Lisa także mógłby startować w konkursie o palmę największego manipulatora w polskich mediach. Okładkowa zajawka: „Andrzej Duda – nowy Lepper, spadkobierca nieudacznika Lecha Kaczyńskiego" mówi wszystko. Ale jak trzeba się starać, aby wykreować własną wyimaginowaną rzeczywistość mocno odbiegającą od tej prawdziwej. Tygodnik T. Lisa posługuje się manipulacją, aby uderzyć w czołowe przedsięwzięcie prezydenta Andrzeja Dudy. Oto w tekście zamieszczonym na stronie internetowej tygodnika opublikowano tekst zatytułowany: „Sondaż Ipsos: Polacy nie chcą proponowanych przez prezydenta zmian w emeryturach", gdzie napisano: „propozycje zmian w emeryturach, które przedstawił w miniony poniedziałek prezydent Andrzej Duda, mają wśród Polaków więcej przeciwników niż zwolenników". Projekt prezydenta przewiduje danie obywatelom wyboru, czy chcą dłużej pracować, czy też przejść na emeryturę wcześniej, ale będzie ona niższa. I taki charakter miało pytanie postawione w sondażu: „Czy zdecydował(a) by się pan/i na wcześniejsze przejście na emeryturę wiedząc że otrzyma pan/i niższe świadczenia emerytalne?". Na to pytanie 45 proc. respondentów stwierdziło, że nie skorzystaliby z wcześniejszej emerytury, 38 proc. by to zrobiło, a 17 proc. było niezdecydowanych. Na inne pytanie odpowiadali ankietowani niż sugeruje dziennikarz „Newsweeka". Ale metoda manipulacji jest podobna: pytamy o coś, a odpowiedź przypisujemy innemu pytaniu. Jest to w celu ośmieszenia rozmówcy albo zmanipulowaniu wyniku sondażu.

Hejt na prezydenta Andrzeja Dudę trwa. Oczywiście liderem w tych zawodach jest Tomasz Lis, ale goni go po piętach Jarosław Kuźmiar. Prezydent został zaproszony do programu Bogdana Rymanowskiego „Kawa na ławę" w TVN, a pracownik tej stacji J. Kuźmiar tak zapowiedział tę rozmowę: „Jutro w TVN24 marionetka będzie mówiła o państwie". A gdy prezydent Andrzej Duda przyjął finalistów konkursu chopinowskiego i powiedział: „W muzyce czuję pragnienie wolnej Polski, to jest w jego muzyce niezwykłe. Każdy tam słyszy głos swego serca", to Kuźmiar skomentował na Twitterze: „Pragnienie wolnej Polski... nawet w muzyce Chopina prezydent Duda słyszy myśli premiera Kaczyńskiego". Nienawiść zabija logiczność myślenia, czego przykładem Jarosław Kuźmiar jest najlepszym. Dziwię się tylko właścicielom TVN, że dziennikarz własnej stacji deprecjonuje i ośmiesza program innego dziennikarza tego samego nadawcy. A może wynika to z zazdrości, że prezydent zaprosił Rymanowskiego do Belwederu na nagranie rozmowy, a nie zaprosił Kuźmiara? Prezydent odmówił Kubie Wojewódzkiemu udziału w jego telewizyjnym programie, bo wcześniej znał jego poczynania, w tym wywiad z Bronisławem Komorowskim, i pamięta co wtedy ze strony prowadzącego padało pod jego adresem. A perfidna manipulacja z Jerzym Zelnikiem najlepiej świadczy, że prezydent wie kogo z celebrytowskiego i hejterowskiego światka unikać.

Siła na jednego. Różnymi sposobami. Nawet tymi niegodnymi, poniżej wszelkiego poziomu. Insynuacje, manipulacje i drwiny. To są metody tych działań. Na portalu Tokfm.pl

ukazał się tekst zatytułowany „Duda i Dubieniecki – jeden prezydentem, drugi siedzi. Podaj 7 szczegółów, które ich różnią". A styl tego tekstu najlepiej oddaje jedno zdanie: „Duda jeszcze nie doznał przyjemności obroży, kagańca, gdy dopuścił się bezprawia". Na drugi dzień redakcja Gazeta.pl zamieściła tekst: „Przepraszamy za wtorkową publikację na portalu Tokfm.pl", a w tekście napisano: „Redakcja Gazeta.pl przeprasza prezydenta Andrzeja Dudę za pokazanie wczoraj na stronie głównej serwisu Tokfm.pl wpisu blogowego, w którym prezydent w sposób nieuprawniony został przedstawiony w negatywnym świetle [...]. Uważamy, że zawarte w materiale porównanie jest niestosowne". Wobec redaktora odpowiedzialnego za stronę internetową obiecano wyciągnąć konsekwencję. Napluć, a potem przeprosić. To jeszcze jest jakaś zasada. Radio Rock i Kuba Wojewódzki na to się nie zdobyli. Napluli, a potem z uśmiechem twierdzą, że to był tylko żart. Jest taki wierszyk Ignacego Krasickiego o chłopcach rzucających kamieniami w żabki pluskające się w stawie. Dla chłopców to zabawa, dla żab to sprawa życia. Taki morał napisał biskup – poeta. Jednak uważam, że chłopcy z Radia Rock znakomicie wiedzą co robią.

Oj, te strony internetowe. Kto je redaguje, wielokrotnie chciałoby się zapytać, bo ilość błędów literowych, ortograficznych i stylistycznych jest przeogromna. Autor sam siebie nie poprawi, a redaktorowi najczęściej albo nie chce się czytać zamieszczanego tekstu, albo po prostu nie ma kwalifikacji, aby tekst poprawić. Nawet doświadczonym dziennikarzom zdarzają się wpadki, nawet tym, których nazwiska pojawiają się w „Gazecie Wyborczej". Oto na portalu „Na Temat" Wojciech Sadurski w tekście zatytułowanym „Od Lenina do Sellina, czyli dlaczego PiS chce przejąć TVP" napisał: „Jak wiadomo, Włodzimierz Lenin powiedział: «Telewizja jest dla Partii najważniejszym medium»". Ciekawi mnie źródło tego cytatu. Na pewno jest to głowa Wojciecha Sadurskiego, choć stosuje tu znany chwyt retoryczny: wszyscy wiedzą... pisząc „jak wiadomo"... ciekawe komu wiadomo? Za czasów Lenina nie było jeszcze telewizji, a Lenin prorokiem nie był, tylko krwawym rewolucjonistą i ideologiem. On jednak stwierdził: „Kino jest najważniejszą ze sztuk". Ale, żeby uderzyć w PiS, można wymyślić każdy cytat. Nawet fałszując Lenina. Wszak nikt się nie zorientuje, bo ludzie mają pamięć krótką, a młodzież jest niedouczona. Dla Sadurskiego Lenin zawsze górą. Lenin zawsze żyje i jest aktualny. Ważne, aby ta sugestia, wspomagania się ideologią Lenina przykleiła się do PiS. I takich mamy dziennikarzy. Hejterów, manipulatorów i nieuków albo wyrafinowanych zwodzicieli. Do wyboru, do koloru.

JAN ROSŁAN

Jubileusz Jerzego Wojciecha Bieleckiego

FOT. © TADEUSZ SKIERSKI

2 października w Salonie Artystycznym w Dobrym Mieście, w ramach Czwartkowych Spotkań za Sztuką, odbył się wernisaż malarstwa wybitnego polskiego artysty Jerzego Wojciecha Bieleckiego, który zajmuje się również grafiką, rysunkiem i ilustracją. Wernisaż zbiegł się z dwiema ważnymi i pięknymi datami – z 40-leciem pracy twórczej i 60. urodzinami Gościa dobromiejskiej Galerii.

Otwierając wystawę dyrektor Centrum Kulturalno-Bibliotecznego zacytował, jakże trafne spostrzeżenia Elżbiety Fabisiak, która w odniesieniu do malarstwa olsztyńskiego artysty pisała: „Bielecki mistrzowsko tworzy autorskie wizje fantasmagorycznych pejzaży i muzycznych portretów ludzi opery. Z tajemnicą i podtekstami budującymi osobiste anegdoty. Z empatią, humorem i celną obserwacją człowieka uwikłanego w metafizykę życia. Artysta dysponuje znakomitym warsztatem nacechowanym precyzją, lekkością i spontanicznością. Maluje też z widoczną przyjemnością, a jego radość i ciekawość udziela się widzom".

Rzeczywiście obrazy Bieleckiego ogląda się z prawdziwą przyjemnością i zaciekawieniem, gdyż pociągają one nostalgią, wspomnieniami na granicy jawy i snu, niedomówieniami, enigmatycznością, zagadkowością, poznawczym zawieszeniem.

Wernisaż zgromadził licznie przybyłych gości, głównie przyjaciół artysty, którzy chcieli oddać hołd Jego talentowi i wspólnie z Nim i Jego rodziną świętować te dwa jubileusze. Uroczystość uświetnił występ młodej śpiewaczki operowej pochodzącej z Dobrego Miasta – Agnieszki Szczuckiej z akompaniamentem Łukasza Jóźwiaka. Wystąpił też, zaprzyjaźniony z artystą, olsztyński zespół Czyści jak Łza, który w Dobrym Mieście ma swój fan club. Szkoda tylko, że niewielu mieszkańców Dobrego Miasta brało udział w tym wielkim wydarzeniu kulturalnym zorganizowanym przez Szefa Salonu Andrzeja Fabisiaka. Stracili bowiem wiele.

ZDZISŁAWA KOBYLIŃSKA

WSPANIAŁY TEATR BEZ NAZWY
zaprasza na premierę
„Wesela" Stanisława Wyspiańskiego
w reżyserii Andrzeja Fabisiaka

11 listopada (środa), godz. 18
13 listopada (piątek), godz. 19
14 listopada (sobota), godz. 19

WSPANIAŁY TEATR BEZ NAZWY • GIETRZWAŁD

W piątek (13 listopada) Wspaniały Teatr zagra w Gminnym Ośrodku Kultury w Gietrzwałdzie na rzecz dofinansowania Tablicy upamiętniającej dr. Władysława Gębika.

Zrozumieć drugiego człowieka

FOT. © FUNDACJA „MIMO WSZYSTKO"

Z Anną Dymną rozmawia Monika Szczygło.

Monika Szczygło: Niezwykle miło rozmawiać z Panią właśnie tu, na Mazurach, w Leśniczówce w Praniu. Dzień Dobry!

Anna Dymna: Bardzo mi miło i od razu przepraszam za to, że mogę mówić nieskładnie, ale jestem właśnie na wakacjach (śmiech). Tu jest tak pięknie, a na dodatek świeci słońce. Muszę się przyznać, że przed chwilą kąpałam się w jeziorze, dlatego mogę być trochę rozkojarzona. Postaram się jednak, jak najlepiej potrafię, odpowiedzieć na Pani pytania (śmiech).

Wiemy, że od wielu lat prowadzi Pani Fundację „Mimo Wszystko". Czasami bywa tak, że artyści, ludzie znani zaczynają się udzielać społecznie, pomagać i wspierać potrzebujących. Jak ta płaszczyzna zaistniała w Pani życiu?

Tak naprawdę nie wiem dlaczego to robię, ani dokładnie kiedy się to zaczęło. Chyba tak było w moim życiu zawsze. Korzenie są w dzieciństwie. Zależy to od tego jak człowieka wychowają rodzice. Jak byłam małą dziewczynką wiedziałam, że mogę gwizdać i krzyczeć, tylko najpierw musiałam sprawdzić, czy mój braciszek nie śpi. Tak mnie wychowała moja mama. Nauczyła mnie, że po pierwsze dookoła nas są ludzie i mam tak żyć, aby im było ze mną miło, a po drugie jak ktoś się przewróci to należy go podnieść, a jak ktoś jest głodny to trzeba go nakarmić. Ja miałam właśnie takie wzorce, zatem jest to dla mnie jak oddychanie. Myślę, że zaczęłam robić to, co robię dlatego, że jestem aktorką. Jak jest się aktorem i traktuje swój zawód poważnie, a ja poważnie go traktuję, bo go po prostu kocham, to całe życie zastanawiamy się nad człowiekiem. Dlaczego jest taki a nie inny, dlaczego jest nieszczęśliwy.

Jest to zawód mający czasami wiele wspólnego z pracą psychologa.

Tak, ponieważ przez całe życie staramy się zrozumieć drugiego człowieka. To mnie tak naprawdę w tym zawodzie najbardziej fascynuje. W tej profesji uczymy się słuchać ludzi, wczuwać się w ich sytuację. Uczyli mnie tego najwięksi mistrzowie polskiego teatru, polskiego kina. Pewnego dnia stanęłam naprzeciw osób niepełnosprawnych i cóż się okazało? Oni co prawda nie mówią, ale wiem co czują dzięki czemu świetnie się porozumiewamy. Poza tym, jak zobaczyłam, że im się dzieje krzywda postanowiłam pomóc. Aż w końcu się z nimi zaprzyjaźniłam.

Gdzie Pani poznała te osoby? W jakich okolicznościach?

Byli to podopieczni księdza Tadeusza Isakowicza-Zalewskiego z Fundacji im. Brata Alberta mieszczącej się w podkrakowskich Radwanowicach. Jej celem jest niesienie pomocy osobom niepełnosprawnym intelektualnie. Trzydzieści osób straciło wówczas prawo do korzystania z warsztatów terapeutycznych. Poproszono mnie o pomoc, o interwencję w tej sprawie. Nie zastanawiając się do końca co robię i co mnie czeka założyłam Fundację „Mimo Wszystko". Bardzo szybko została ona zarejestrowana i rozpoczęła swoją regularną działalność. Tak to się właśnie zaczęło. Myślę, że dzięki temu moje życie nabrało głębszego sensu.

Kiedy przyjeżdżam do ośrodka w moim kierunku zawsze biegnie grupa podopiecznych krzycząc: „Mama, mama przyjechała!". Wyobrazi sobie Pani, że lecą w moim kierunku, całują mnie, przytulają. To właśnie my możemy sprawiać, że Ci ludzie mogą być szczęśliwi, uśmiechnięci. To jest taka radość, że przepraszam, iż to powiem, ale żaden inny sukces nie jest dla mnie większy niż właśnie ten. Może brzmi to niewiarygodnie, ale tak właśnie to odczuwam.

Obok Pani działalności społecznej jest od lat teatr, jest od lat kino. Szeroka publiczność zna Panią choćby z takich filmów jak „Znachor" czy „Trędowata" w reżyserii Jerzego Hoffmana, „Królowa Bona" Janusza Majewskiego czy „Nie ma mocnych" i „Kochaj albo rzuć" Sylwestra Chęcińskiego. W tych ostatnich

zagrała Pani Anię Pawlak i miała przyjemność współpracować z Wacławem Kowalskim i Władysławem Hańczą. Jak Pani wspomina tamten czas?

A jakże można wspominać młodość? Młodość to fascynacje, pierwsze podróże... był cudowny czas. Z jednej strony w Polsce była „komuna", z drugiej udało nam się pojechać do Stanów Zjednoczonych, płynęłam „Batorym" i byłam w Chicago, w Nowym Jorku. Cieszyłam się tym wszystkim jak dziecko... zresztą do tej pory potrafię tak się cieszyć (śmiech).

Były to wówczas tak silne przeżycia, że do dziś pamiętam wszystkie szczegóły. Jednak najważniejsi w tym wszystkim byli faktycznie ludzie. Miałam niezwykłą przyjemność przyjaźnić się właśnie z Władysławem Hańczą. To był niezwykły człowiek, od którego nauczyłam się wielu rzeczy. Był zupełnym przeciwieństwem energetycznym Wacława Kowalskiego, który z kolei był okropnie śmieszny.

Plan zdjęciowy był zawsze ciekawym i pouczającym doświadczeniem. Hańcza mawiał: „Idę sobie na leżaczek, zjem i wypiję herbatkę, a wy obudźcie mnie na pięć minut przed ujęciem". Zawsze powtarzał mi: „Aniu, pamiętaj, że na początku musisz sobie załatwić «czekanie w filmie», bo to jest dziewięćdziesiąt procent Twojej pracy. Musisz mieć wygodny leżaczek z napisem «Dymna», musisz mieć dobre jedzonko i herbatkę, żeby umieć czekać, ponieważ jak umiesz czekać to znaczy, że już jesteś aktorką" (śmiech). W tym samym czasie Kowalski walczył o rekwizyty, spierał się o każde słowo, tu się na kogoś zdenerwował, tam zaraz potem kogoś ucałował. To był człowiek Wschodu, niezwykle energiczny. Zatem jak Pani widzi, to było dwóch moich dziadków, jeden ogień drugi woda, a ja pomiędzy nimi (śmiech).

Jak oni mnie kochali... Jak Hańcza zobaczył, że Kowalski kupił mi batonika w Wytwórni Filmowej we Wrocławiu to podarował mi czekoladę z orzechami z Pewexu. Jak zobaczył to Kowalski to postanowił postawić mi kawę. Miałam z Nimi bardzo dobrze. Zatem jak mogę to wspominać? Coś wspaniałego. Zresztą byłam wówczas bardzo malutka. Często mam wrażenie, że w tym filmie nie gram ja, tylko gra tam moja wnuczka. Te filmy chodzą za mną do dziś, jak takie wierne psy.

A jak dziś odbiera Pani właśnie tamto kino, kino dawnych lat?

W tych czasach bardzo często podczas różnych spotkań, ale także w telewizji powtarzane są filmy jak np. „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny", „Znachor" czy serial „Janosik". Wymaga to ode mnie olbrzymiej odwagi, aby wyjść kolejnego dnia na ulicę. Czasami słyszę: „Jezus Maria, to Pani jeszcze jeszcze żyje?" (śmiech). Miałam zabawną sytuację po emisji „Znachora". Następnego dnia spotkał mnie na ulicy pewien Pan i zapytał: „Pani Dymna?". Odpowiedziałam, że to ja i zapytałam, czy coś się stało, czy może mogę mu w czymś pomóc. A on na to: „Pani Dymna? To jest Pani? Wczoraj widziałem Panią w «Znachorze»... co się z Pani porobiło tej nocy?". A ja na to: „Panie kochany, miałam bardzo burzliwą noc, trwała ona kilkadziesiąt lat" (śmiech).

Były to zupełnie inne czasy. Mieliśmy wtedy inne wartości, z innych rzeczy się cieszyliśmy. Jak oglądam teraz te filmy to mam wrażenie, że robiły je duże, dobre dzieci. Mają one w sobie coś cudownego i niezwykle prawdziwego. Podsumowując mogę powiedzieć, że miałam piękną młodość. Była ona momentami niezwykle tragiczna... ale momentami po prostu piękna.

Dziękuję Pani za czas i za rozmowę.

Dziękuję i pozdrawiam Panią i Państwa serdecznie i ciepło.

Rozmawiała MONIKA SZCZYGŁO

Anna Dymna jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Studia ukończyła w 1973 i rozpoczęła pracę w krakowskim Starym Teatrze, z którym związana jest do dziś. Zadebiutowała na pierwszym roku studiów w 1969 w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie rolą Isi i Chochoła w „Weselu" Stanisława Wyspiańskiego. Popularność przyniosły jej kreacje w wielu filmach między innymi „Nie ma mocnych", „Kochaj albo rzuć", „Janosik", „Królowa Bona". Anna Dymna znana jest także ze swej działalności dobroczynnej. W 2003 roku założyła Fundację „Mimo Wszystko".

Warmiak ze Szczyrzyca

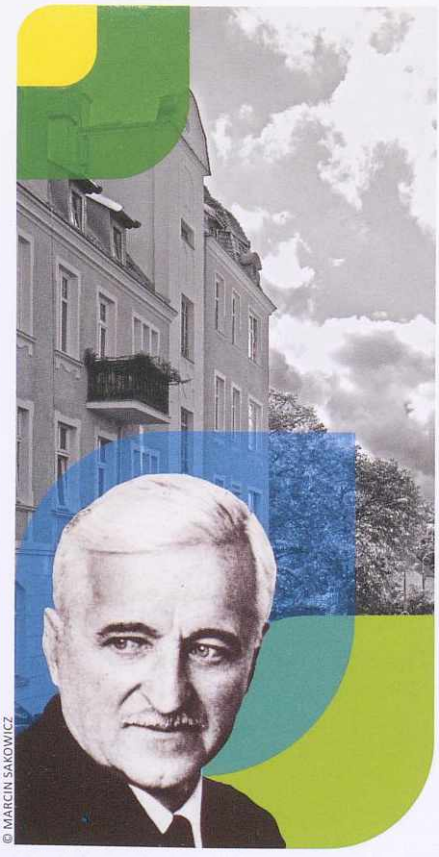
© MARCIN SAKOWICZ

Władysław Gębik był postacią wyjątkową wśród działaczy zaangażowanych w obronę polskiego trwania na Warmii, Mazurach i Powiślu. Urodzony na Podhalu, w Szczyrzycu, po II wojnie światowej wybrał warmińską ziemię.

Gimnazjum ukończył w Myślenicach, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1923-1932 był nauczycielem w Miejskim Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym w Katowicach. Na Uniwersytecie Poznańskim uzyskał tytuł doktora nauka filozoficznych (1932). W 1933 roku został nauczycielem Gimnazjum Polskiego w Bytomiu. W połowie lat 30. powierzono mu kierownictwo powstającego Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie, które uroczyście otworzył 10 listopada 1937 roku.

Czas pracy pedagogicznej na Powiślu nie trwał jednak długo. 25 sierpnia 1939 roku gestapo aresztowało Władysława Gębika, nauczycieli i uczniów Gimnazjum i przewiozło do Tapiau, następnie do Grünhof. 21 września dr Gębik i nauczyciele trafiają do obozu koncetracyjnego w Hohenbruch, następnie do KL Stutthof (IV 1940) i KL Mathausen-Gusen (V 1940). Po wyzwoleniu obozu przez jednostki amerykańskie (5 V 1945), w lipcu 1945 roku powrócił do rodzinnego Szczyrzyca.

W listopadzie 1945 roku przeprowadził się do Olsztyna, gdzie zostaje naczelnikiem Wydziału Szkół Średnich w Kuratorium Okręgu Szkolnego Mazurskiego. Zaangażował się wówczas w działalność Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych. Został członkiem Rady Naukowej utworzonego Instytutu Mazurskiego. Jako członek Komisji Socjologicznej Rady Naukowej dla Zagadnień Ziem Odzyskanych podejmował sprawy wzajemnych stosunków między ludnością autochtoniczną a napływową. W 1947 roku wszedł do Zarządu Polskiego Związku Zachodniego, a w roku następnym Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" zleciła mu zorganizowanie w Olsztynie Inspektoratu Kulturalno-Oświatowego, którego został kierownikiem. W 1950 roku został prezesem Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, a w 1952 – kierownikiem olsztyńskiej Delegatury Państwowego Instytutu Sztuki, placówki zajmującej się zbieraniem folkloru warmińskiego i mazurskiego.

W latach 1946-1964 mieszkał w kamienicy przy ul. Wyzwolenia 9, gdzie 10 listopada br. na jej frontonie, zostanie odsłonięta pamiątkowa Tablica. W tym domu rodziło się wiele pomysłów dr. Gębika, jak choćby: powstanie „Słowa na Warmii i Mazurach" (tworzy zespół redakcyjny, w którym sam będzie pełnił obowiązki kierownika literackiego), założenie Klubu Literatury Regionalnej (1953), utworzenie olsztyńskiego Oddziału Związku Literatów Polskich (1955). Klemens Oleksik, poeta i prozaik, sekretarz ZLP, tak wspomina to miejsce, gdy pierwszy raz zawitał na Wyzwolenia 9: „Mieszkanie było wyścielone gazetami, bo rządzili w nim dwaj malarze: tylko w jednym pokoiku świeżo malowanym stało w środku biurko, a przy nim prezes nowo powstałego Oddziału ZLP. Zapamiętałem to biurko zasłane papierami, chociaż nie urzędował przy nim żaden biurokrata. Doktor nazywał to «podkładem geologicznym». Przez trzydzieści blisko lat naszej znajomości biurko Doktora pełne było korespondencji, akt, różnych papierów i aż dziw, że Doktor w tym się orientował. A stały tak także kwiaty, które zawsze ktoś przynosił" („Posłaniec Warmiński" 1989, nr 6, s. 5).

Władysław Gębik był członkiem zespołu redakcyjnego miesięcznika „Warmia i Mazury", współzałożycielem „Posłańca Warmińskiego". Uczestniczył w pracach Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego oraz należał do Związku Szczyrzyczan. Był człowiekiem o szerokich zainteresowaniach. Wiele pisał i publikował, w tym również pod pseudonimem: Andrzej Borowik i August Krzywięgęba. Pierwsze utwory literackie poświęcił stronom rodzinnym. W 1934 roku ukazała się praca pt. *Wiara Ojców*, w której zawarł materiały pomocnicze dla działaczy spod znaku Rodła. Po wojnie dużo pisał o kwidzyńskim Gimnazjum (m. in. *Burzom dziejów nie dali się zgnieść*, Gdynia 1967), szczególnie jednak podejmował tematykę związaną z przeszłością regionu, w którym zamieszkał i tworzył.

W jednej ze swoich publikacji dr Jan Chłosta zadając pytanie: Czy w działaniach społeczno-kulturalnych Władysławowi Gębikowi wszystko udało się zrealizować?, odpowiada: „Jest to pytanie retoryczne, bo ponosił również porażki. W 1965 roku bardzo zabiegał o przyznanie Janowi Dopatce specjalnej renty, aby powstrzymać tego poetę przed wyjazdem do Niemiec. I to mu się nie udało. [...] Zawiódł Gębika także warmiński poeta Edmund German, bo nie ukończył szkoły w Polsce i wyjechał do Niemiec. Nie przez wszystkich została zrozumiana jego forma utworzenia olsztyńskiego Oddziału ZLP. [...] Również krytycznie odnoszono się do opracowanej przez Gębika koncepcji regionalizmu, w głównych zarysach przejętej od Władysława Orkana, ale napełnionej współczesnymi treściami".

– Władysław Gębik starał się być aktywnym do ostatnich swoich dni. Przez swoje długie życie pragnął kształtować Polaka „mądrego przed szkodą". Temu przeświadczeniu podporządkowane były wszystkie jego inicjatywy, zarówno wtedy kiedy był nauczycielem, jak i w działaniach społeczno-kulturalnych, które doprowadziły do utworzenia olsztyńskiego środowiska literackiego. O tym nie można zapomnieć – dodaje J. Chłosta. Całość jego dorobku została zebrana w *Bibliografii podmiotowo-przedmiotowej Władysława Gębika (1900-1986)*, wydanej w 1994 roku przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Olsztynie. Za swoje zaangażowanie na niwie społecznej, oświatowej i kulturalnej otrzymał Krzyż Oficerski i Komandorski OOP (1962, 1970), tytuł Zasłużonego Działacza Kultury (1963), Nagrodę Wojewódzką za upowszechnianie kultury (1956), Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka (1960), Nagrodę Regionalną im. Michała Lengowskiego (1970). Pośmiertnie, w 1987 roku, przyznano mu Medal Rodła.

Po trudach, jakże owocnego życia, zmarł 23 marca 1986 w Krakowie. Został pochowany na rodzinnym Podhalu. Natomiast w Olsztynie, jednej z ulic Pieczewa nadano nazwę Władysława Gębika. Jego imię nosi również olsztyńskie Policealne Studium Zawodowe TWP oraz I Liceum Ogólnokształcące dawn. Polskie Gimnazjum w Kwidzynie.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Zrealizowano przy współudziale finansowym Samorządu Olsztyna

Władysław Gębik we wspomnieniach tych, którzy go znali

Bytom

Władysława Gębika poznałem w 1935 roku w Gimnazjum Polskim w Bytomiu. Był to tryskający zdrowiem, elegancki, zawsze modnie ubierający się, przystojny mężczyzna, pogodny pedagog, bardzo lubiany przez młodzież. Oczywiście praca w gimnazjum nie zaspokajała Jego ambicji i dążeń życiowych. Szkoła była dla Niego za „ciasna". Związał się z życiem kulturalnym śląskiego ludu – organizował zespoły teatralne i chóry w większych skupiskach ludności polskiej. Tej działalności poświęcał cały swój pozaszkolny czas. W tym okresie w Kwidzynie trwała budowa drugiego polskiego gimnazjum w Niemczech. Władze naczelne Związku Polaków w Niemczech na organizatora i dyrektora tej placówki powołały dr. Władysława Gębika, którego wielką indywidualność zdołano już poznać w Bytomiu.

Dr Gębik zabrał się energicznie do dzieła. Już w Bytomiu zorganizował tzw. klasy kwidzyńskie. Gimnazjum w Bytomiu było jedyną polską szkołą średnią w Niemczech i miało nadmiar uczniów, zwłaszcza w klasach niższych. Uczniów przewidzianych na wyjazd do Kwidzyna umieszczono w oddzielnych klasach. Dr Gębik opiekował się nimi, informował o postępach w budowie Gimnazjum, odpowiadał cierpliwie na nasze przeróżne pytania i pocieszał, że termin otwarcia jest już bliski. I wreszcie nadszedł ten upragniony dzień. Nocą 9 listopada 1937 roku grupa 94 uczniów przyjechała pociągiem z Bytomia do Kwidzyna...

Bernard Czerwiński
uczeń Gimnazjum Polskiego w Bytomiu

Kwidzyn

Miasto tonęło w ciemnościach. Z dala widzieliśmy oświetlony jedyny wielki gmach, który wynurzał się z ciemności jak zamek z bajki. Domyślaliśmy się, że jest to nasze Gimnazjum i że łuna świateł, bijąca z gmachu, przeznaczona jest na nasze powitanie. Wiedzieliśmy, że nas tam oczekiwano z otwartym sercem, a pierwszym witającym w holu Gimnazjum był dyrektor Władysław Gębik w towarzystwie pozostałych pedagogów, pracowników administracji, kucharek i sprzątaczek.

Następnego dnia, na uroczystym otwarciu szkoły dyrektor Gębik w pięknym przemówieniu tymi słowy witał swoich uczniów: „Do was zaś, uczniowie, pragnę zwrócić się w tej uroczystej chwili z apelem, abyście swym zachowaniem i postępami w nauce przynieśli temu zakładowi zaszczyt i honor. Macie pracą i tylko pracą udowodnić, że jesteście godnymi reprezentantami tej nowej uczelni. Pamiętając zaś o troskach swych rodziców, którzy często odejmują sobie od ust, aby dopomóc wam w zdobywaniu wykształcenia, macie zachować dla nich szacunek przez całe życie. Społeczeństwu polskiemu, które umożliwiło wam kształcenie się w tym zakładzie, macie być wdzięczni i ten dług wdzięczności spłacić w przyszłości swą pracą, świecąc przykładem dla wszystkich pokoleń".

Bernard Czerwiński
Kwidzyniak roku '37

Z dr. Władysławem Gębikiem zetknęłam się na początku października 1938 roku, kiedy kierownictwo IV Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech urządziło dla pracowników polskich organizacji w Olsztynie wycieczkę do Kwidzyna. Celem wyjazdu było zwiedzenie dopiero co zbudowanego gmachu Polskiego Gimnazjum. Jako dyrektor tej szkoły dr Gębik przyjął nas z wielka serdecznością, ale też z dumą z tak okazale urządzonego gimnazjum, wyposażonego w pomoce naukowe, internat i zaplecze gospodarcze. Mówił z uznaniem i sympatią o dobranym gronie pedagogicznym, świadomym swych obowiązków. Nie mniej chwalebnie wyrażał się o uczniach, przybyłych z różnych stron Niemiec. Twierdził, że jego wychowankowie muszą posiąść jak największą wiedzę – nie tylko naukową, ale też życiową. [...] Podkreślał, że koncepcje takiej szkoły można realizować przy zespoleniu tego, co podejmowane na lekcjach, z zajęciami pozaszkolnymi. W Kwidzynie było to możliwe, bo wszyscy uczniowie mieszkali w internacie.

Władysława Knosała
nauczycielka i działaczka oświatowa

Pierwsze moje spotkanie z Dyrektorem było w kwietniu 1938 roku, gdy rodzice zawieźli mnie – 9-letniego chłopca – do Kwidzyna na dzień rozpoczęcia roku szkolnego. Szybko wtopiłem się w masę pierwszaków Rzeczypospolitej Kwidzyńskiej. Dyrektor Władysław Gębik był tym, o których opowiadało się szeptem w sypialniach internatu. Opowiadano o Jego zabiegach, dzięki którym mogło powstać nasze Gimnazjum. Z postawy Dyrektora biła odwaga, bezkompromisowość wobec zła, życzliwość wobec osiągnięć i spokój wobec niepewności narastających zagrożeń. Gdy chodził w swoim nienagannym granatowym garniturze w białe paski, zawsze wysportowany, elegancki, gdy nas filmował kamerą, był dla mnie po prostu nieosiągalnym ideałem Polaka-Patrioty. Pamięciowa zbitka Dyrektora Gębika i Prezydenta Mościckiego towarzyszyła mi w latach okupacyjnych. Bowiem prezydent, którego znałem w galowym stroju tylko z portretów, miał tyle cech naszego Dyrektora – wąsik, niebieskie oczy, dostojność postawy. Był on dla nas, Polaków na obczyźnie, też uosobieniem naszej Ojczyzny.

Roch Mackowicz
Kwidzyniak roku '38

Niebezpieczeństwo narastało, aż nadszedł ów pamiętny dla Kwidzyniaków dzień 25 sierpnia 1939 roku. Odrabialiśmy lekcje w swoich klasach, kiedy o godzinie 17 odezwały się wszystkie szkolne dzwonki. Zawołanie z korytarza brzmiało: „Zbiórka w auli". Idąc przez podwórko zobaczyłem, że uzbrojeni SS-mani i policjanci otoczyli teren naszego Gimnazjum. Gdy zajęliśmy miejsca, na salę wszedł Dyrektor w towarzystwie oficera policji. Stanęli przed nami na scenie. Dr Gębik był jak zwykle opanowany, spokojny, lecz tym razem bez uśmiechu. Swoim zachowaniem starał się pomniejszyć niebezpieczeństwo. Chociaż rozumieliśmy polecenie oficera, to Dyrektor przemówił do nas po polsku. Uspokajał i prosił, abyśmy w ciągu 10 minut zabrali z szafek w internacie najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i zeszli na szkolne podwórko. Nasze zaskoczenie było kompletne, kiedy przy ustawianiu się klasami znaleźliśmy się już pod nadzorem, poszturchiwani przez strażników. Przy bramie wyjazdowej zebrał się wrogi tłum, złożony z części z mieszkańców Kwidzyna. Napór tłumu był wielki, że musiał go powstrzymywać kordon policji. Opluwano nas, wznoszono

wrogie okrzyki i pokazywano gestami, co należy z nami zrobić. Dla najmłodszych było to potforne przeżycie. Uspokajała nas wyłącznie postawa Dyrektora i wychowawców.

Dopiero po latach zrozumiałem, że postępowanie Władysława Gębika wynikało z wcześniej ustalonego programu wychowawczego. Nakazywał nam zawsze: „Wierzyć w czyn, a nigdy w słowo". Tą zasadą kierował się On sam i tego wymagał również od innych. Wpajał nam pracowitość, konsekwentne działanie, wytrwałość w dążeniu do upragnionego celu, wiarę w silną Polskę, której trzeba codziennie służyć i nie mówić o Niej źle.

Konrad Piskuła
Kwidzyniak roku '39

Byłam uczennicą Liceum w Kwidzynie – kontynuacji przedwojennego Polskiego Gimnazjum – gdzie w 1955 roku zdałam maturę. Znaliśmy historię naszej szkoły – byliśmy z tego powodu bardzo dumni.

Pewnego dnia, w roku 1954 lub 1955 (jak widać pamięć zawodzi) zawitał do nas dr. Władysław Gębik. Zgromadził nas w holu szkoły, przedstawił się i zaczął nas uczyć śpiewać „Pieśni Kwidzyniaków". Jak się okazało z dobrym skutkiem!

Następne spotkanie miało miejsce w 1957 roku, podczas Zjazdu b. Wychowanków Szkół Polskich w Niemczech i nas, pokolenia powojennego, z okazji 20. rocznicy otwarcia Polskiego Gimnazjum. Dyrektor Gębik osobiście witał nas na dworcu kolejowym w Kwidzynie, zapoznał z programem obchodów, mówił szczegółowo o tym, gdzie odbędzie się Msza św. Był to niespodziewany i niezwykły moment naszego, jako absolwentów, spotkania z naszą szkołą. A w kontekście spotkania z dr. Władysławem Gębikiem moment niezwykle podniosły, i jakże wzruszający.

Janina Romaniewicz-Sosnowska
Kwidzyniak roku '51

Doktora Władysława Gębika poznałem podczas tradycyjnego Zjazdu Wychowanków i Absolwentów Polskiego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kwidzynie. Było to 10 listopada 1977 roku. To spotkanie zapoczątkowało kolejne, już w Olsztynie, gdzie zamieszkałem w 1980 roku.

W naszym życiu jest wiele spotkań, o niektórych zapominamy szybko, inne odciskają swoje niezatarte wspomnienia, pozostają w naszej pamięci długo, często na zawsze. Przykładem tych ostatnich, jest dla mnie to spotkanie z listopada sprzed 38 lat. Po tym spotkaniu pozostał również wpis w pamiętniku oraz pamiątkowy proporczyk, otrzymany z rąk bohaterskiego Dyrektora Polskiego Gimnazjum. Na młodym wówczas uczniu 2 klasy LO, dr Gębik wywarł szczególne wrażenie, tym jak wyglądał, co mówił i jak mówił, oraz jak rozmawiał ze swoimi wychowankami z Polskiego Gimnazjum i uczniami Liceum. Wokół tego Człowieka istniała szczególna aura!

Ireneusz St. Bruski
Kwidzyniak roku '76

Olsztyn

W listopadzie 1945 roku Władysław Gębik przyjechał do Olsztyna. Spotkałam Go w Kuratorium Szkolnym. Pracował tam na stanowisku naczelnika wydziału szkół średnich. Trzy najbliższe lata poświęcił przede wszystkim organizacji szkolnictwa na terenie Warmii i Mazur. Z różnych resztek materiałów tworzył szatnię teatralną, która podjęła pożyteczną pracę szycia kostiumów dla zespołów regionalnych, dając jednocześnie kilku osobom pracę i chleb. Zorganizował ekipę regionalną Państwowego Instytutu Sztuki, do której należałam. Miała ona za zadanie ratowanie resztek polskiej kultury regionalnej na Powiślu, Warmii i Mazurach. W ten sposób ocalały od zagłady tysiące pieśni i bajek ludowych. Szczególnie interesował się sprawami teatru i muzyki ludowej, toteż w 1946 roku założył Oddział Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej w Olsztynie i w jedenastu powiatach województwa. Z Jego inicjatywy powstały cztery teatry kukiełkowe i teatr marionetek, liczne zespoły teatralne i instrumentalne.

Bez dotacji Skarbu Państwa zorganizował Gębik „Rok Warmii i Mazur", spopularyzował w całej Polsce postać Michała Kajki, wydał wiele broszur oraz zainicjował stworzenie Społecznego Funduszu im. M. Kajki, który przeznaczono na stypendia dla badaczy kultury ludowej oraz na cele popierania twórczości literackiej regionu Warmii i Mazur. Gębik był jednym z założycieli i redaktorów „Słowa na Warmii i Mazurach", którego łamy udostępniano pisarzom regionalnym.

Zastanawiałam się nad źródłami popularności dr. Gębika. Myślę, że nie tylko wiedza, inteligencja i oczytanie zjednały Mu tylu przyjaciół. Zyskał ich przede wszystkim dzięki swojej dobroci. Nigdy nie zauważyłam, aby odnosił się inaczej do profesora uniwersytetu a inaczej do robotnika czy chłopa. Wszystkich, bez względu na stanowisko, wiek, zawód, traktował z jednakową serdecznością, dla każdego, kto szukał u Niego pomocy i rady, znajdował zrozumienie i pogodny uśmiech.

Maria Zientara-Malewska
nauczycielka, poetka warmińska

W godzinach wieczornych 31 marca 1949 roku zupełnie niespodziewanie otrzymałam pismo następującej treści: „Ob. Maria Anielska w Olsztynie. Wypowiadam Obywatelce pracę w Oddziale PZWS [Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych] w Olsztynie z dniem 30 czerwca 1949 r. /-/ Dyrektor Oddziału A. Brückner".

Powyższe pismo, które przechowuję do dzisiaj, zapewne było przyczyną, że na mojej drodze życiowej w ogóle zetknęłam się z osobą dr. Władysława Gębika. Pamiętam, jak bardzo przeżywałam to zwolnienie z pracy; uważałam, że było ono wielce krzywdzące, gdyż powodem było to, iż chciałam się uczyć. Zapisałam się bez wiedzy i zgody szefa do Wieczorowego Liceum dla Dorosłych. Nie przypuszczałam nawet, że mógłby być przeciwny moim zamiarom, oczekiwałam raczej aprobaty i nawet uznania z jego strony. Jakże się myliłam! [...] Życzliwi mi ludzie – państwo Elżbieta i Franciszek Jankowscy z Uniwersytetu Ludowego w Jurkowym Młynie, którym zwierzyłam się ze swych zmartwień – poprosili Doktora Gębika o przyjęcie mnie do pracy.

Pan Władysław Gębik był wówczas prezesem Inspektoratu Kulturalno-Oświatowego „Czytelnik" w Olsztynie, placówki SW „Czytelnik" w Warszawie, która prowadziła bardzo szeroką działalność kulturalną na naszym terenie. Pamiętam dzień 1 lipca 1949 roku, gdy po raz pierwszy udałam się do „nowej pracy" pełna tremy i niepewności. Tak niewiele umiałam, tak mizerna była jeszcze moja znajomość języka polskiego. Nie znałam Doktora Gębika i nikogo z grona ludzi tam pracujących. Moje obawy okazały się zupełnie nieuzasadnione. Zostałam przyjęta niezwykle serdecznie przez „Pana Doktora" – bo tak Go tam nazywali – i przez pozostałych pracow-

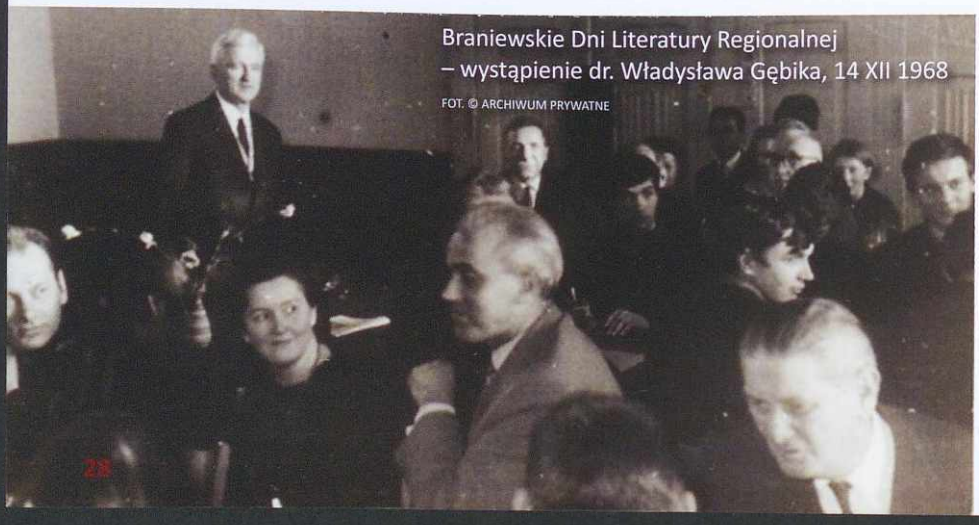

Braniewskie Dni Literatury Regionalnej – wystąpienie dr. Władysława Gębika, 14 XII 1968

FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE

ników Inspektoratu. Zostałam natychmiast zaakceptowana przez wszystkich. Powierzono mi „sprawy finansowe" Inspektoratu, polegające na prowadzeniu bardzo prostych rozrachunków i księgowania.

Od pierwszego dnia byłam oczarowana kulturą bycia tego Człowieka. Jego pogoda ducha i niezwykłą wprost życzliwością dla wszystkich ludzi, z którymi się stykał. Nie wiedziałam dotąd nic o Jego przedwojennej działalności pedagogicznej, o tym, że był dyrektorem Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie, ani że pochodził z Podhala. Nie wiedziałam też, że spędził całą wojnę w obozach koncentracyjnych.

Z czasem zauważyłam, jak wielką troską otaczał poniewieranych często Warmiaków i Mazurów, którzy zwracali się do niego z różnymi bolesnymi sprawami. Domyślałam się ich kłopotów, bo przeżywałam podobne. Smuciło go każde rozstanie z tymi ludźmi, którzy przychodzili się pożegnać z Nim przed wyjazdem na stałe do Niemiec, gdyż nie mogli dłużej znosić poniżenia i przykrości ze strony polskich władz i niekiedy nowych polskich osadników.

Interesował się moimi postępami w szkole i cieszył się razem ze mną po zaliczeniu kolejnego „semestru". Gdy zbliżała się matura, zachęcał do podjęcia studiów, o czym zupełnie nie myślałam choćby ze względów finansowych: mój ojciec był na biednej pocztowej rencie. Uparcie jednak namawiał mnie, obiecując pomoc. I nie zawiodłam się. Przez trzy lata otrzymywałam stypendium z Instytutu Wydawniczego PAX (dziś tak niechętnie się o nim mówi), które załatwił mi – nie wiem, jakim cudem – Pan Doktor.

W każde wakacje podczas studiów (1953--1957) pracowałam w Oddziale ZLP, którego prezesem był wówczas Władysław Gębik. Biuro mieściło się w Jego mieszkaniu przy ul. Wyzwolenia 9. Tu poznałam wszystkich naszych olsztyńskich pisarzy: Marię Zientarę -Malewską, Michała Lengowskiego, Alojzego Śliwę, Teofila Ruczyńskiego i innych. Ci ludzie szukali u Doktora wsparcia, pomocy i zrozumienia. Dom Państwa Gębików był w ogóle otwarty dla wszystkich ludzi potrzebujących. W tym domu szukali pomocy przede wszystkim Warmiacy i Mazurzy, którzy w nowej, często nieżyczliwej dla siebie rzeczywistości byli zagubieni, czuli się opuszczeni i bezradni. [...] Wydeptywał wszystkie możliwe i niemożliwe ścieżki do różnych władz, by załatwić pozytywnie sprawy, uchodzące za niemożliwe do załatwienia i to wszystko po to, by

FOT. © ARCHIWUM I LO, KWIDZYN

tym ludziom, którzy czekali na „wymarzoną Polskę" przywrócić wiarę, że warto pozostać, że tu jest „ich dom". Nie wszyscy pozostali!

Atmosfera pracy w zespole pod kierownictwem Doktora Gębika była wspaniała. Byliśmy jedną wielką rodziną. Sam był przykładem niezwykłej solidności, pracowitości i wymagał tego od innych, toteż każdy z nas starał się, by wypaść jak najlepiej. Po prostu było wstyd „podpaść" Doktorowi.

Był to człowiek wyjątkowej skromności, przepojony głębokim humanizmem, bezinteresownie oddany ludziom będącym w potrzebie. Nigdy już nie spotkałam w moim życiu drugiego takiego człowieka. Chyba takich ludzi dziś już nie ma?!

Gdyby wtedy, po zakończeniu wojny, wśród przedstawicieli władz polskich, którzy przybyli na Warmię, by przejąć tę ziemię, było więcej tak szlachetnych ludzi jak dr Gębik i gdyby tych ludzi dopuszczono wtedy do głosu – to dziś Warmia i Mazury nie byłyby prawie bez Warmiaków i Mazurów, a tak się niestety stało.

Żegnaliśmy Doktora w słoneczne przedpołudnie na stoku cmentarza w Szczyrzycu. Na czele orszaku pogrzebowego szła kapela góralska. Żegnały Go tłumy. Delegacja ziemi warmińskiej była skromna. A szkoda, bo ziemia ta bardzo wiele Mu zawdzięcza i pozostała Mu dłużna.

Maria Anielska-Kołpa
Warmianka z Szafałdu

Zebrane wspomnienia o Władysławie Gębiku potwierdzają niezwykłość tego człowieka, Jego prawość, wiedzę i życzliwość.

Wielu badaczy zajmujących się przeszłością Warmii i Mazur zawdzięczało dr. Władysławowi Gębikowi pomoc i zachętę do dalszej pracy. Często wskazywał tematy i ludzi, którymi zależało się zainteresować. Swoim bogatym doświadczeniem wspomagał też działalność organizacji i instytucji autentycznie zaangażowanych w upowszechnianie kultury w regionie. Najwięcej zawdzięcza mu środowisko skupione wokół regionalnego dodatku do „Słowa Powszechnego" – „Słowo na Warmii i Mazurach" oraz olsztyńskiego Oddziału Stowarzyszenia PAX. To On zbliżył do tego pisma poetów regionalnych czynnie zajmujących się zbieraniem folkloru z ramienia olsztyńskiej Delegatury Państwowego Instytutu Sztuki. Znaleźli w nim możliwość drukowania swoich utworów.

Z inspiracji dr. Gębika doszło do ufundowania przez Stowarzyszenie PAX [obecnie przyznawanej przez Stowarzyszenie „Civitas Christiana"] regionalnej nagrody im. Michała Lengowskiego za działania twórcze z kręgu zainteresowań patrona nagrody oraz za dzieła zainspirowane światopoglądem chrześcijańskim. Pierwszymi laureatami przyznanej po raz pierwszy 17 grudnia 1967 roku nagrody byli: pisarz Janusz T. Dybowski, redaktor Leon Wernic z Warszawy i zespół redagujący kwartalnik naukowy „Komunikaty Warmińsko-Mazurskie". W roku 1970 nagrodę tę otrzymał również Władysław Gębik.

Jan Chłosta
biograf dr. Władysława Gębika

Większość wypowiedzi zaczerpnięto z publikacji dr. Jana Chłosty pt. *Mądry przed szkodą*, wydanej przez Stowarzyszenie „Civitas Christiana".

Wyboru dokonał IRENEUSZ ST. BRUSKI

Wszystkich, którzy pragną włączyć się we współfinansowanie projektu upamiętnienia dr. Władysława Gębika w Olsztynie, prosimy o wpłaty w ramach zbiórki publicznej na konto: Warmińsko-Mazurski Oddział SDP w Olsztynie Bank Pekao S. A. nr 40 1240 5598 1111 0000 5031 6164 z dopiskiem: DR WŁADYSŁAW GĘBIK Informacje o Donatorach opublikujemy w wydawnictwach okolicznościowych. Szczegółowe informacje: Ireneusz St. Bruski, tel. 531 507 527, e-mail: bezwierszowki@wp.pl

Ostródzkie media Część VIII

Pierwszy dzwonek dla szkolnych redaktorów.

Powszechnie wiadomo, że pierwszy szkolny dzwonek, który zabrzmiał 1 września obwieścił rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Jednak już tylko nieliczni wiedzą, że po wakacyjnych miesiącach wracają do pracy redaktorzy szkolnych pism. Przybędą także nowi, którzy zastąpią redaktorów-absolwentów. W każdym roczniku zawsze znajdują się chętni przeżycia dziennikarskiej przygody. Ich pierwszymi tematami tradycyjnie będą wspomnienia z letniego wypoczynku.

Po wprowadzeniu w arkana pracy szkolnego dziennikarza („Bez Wierszówki", 2014, nr 12, s. 35) rozpoczynam zapowiadany spacer po ostródzkich szkolnych pismach. Na początek postanowiłem udać się do szkół podstawowych, następnie do gimnazjów, aby swą podróż zakończyć w szkołach ponadgimnazjalnych.

Wśród sześciu szkół podstawowych w Ostródzie, szkolne pisma wydają trzy szkoły. Lepiej jest w gimnazjach. Na trzy gimnazja przypadają dwa pisma. A jak jest w szkołach ponadgimnazjalnych? Jak radzą sobie szkolni redaktorzy w pierwszych dniach nowego roku szkolnego?

Czasopisma szkół podstawowych

Na początek odwiedzam zespół redakcyjny „**Wieści z Kornelówki**" w Szkole Podstawowej nr 6 im. Kornela Makuszyńskiego. Małgorzata Brzeska, współpracująca z redakcją, chętnie odpowiada na wszystkie pytania. Dowiaduję się, że „Wieści..." są miesięcznikiem. Pierwszy numer pisma ukazał się we wrześniu 2005 roku pod kierunkiem redaktor naczelnej Elżbiety Jakubiak. Do czerwca 2008 roku kolportaż prowadził samorząd uczniowski szkoły wraz z opiekunkami redakcji Małgorzatą Brzeską i Izabelą Rynkowską. Od września 2008 roku pismo zostało przekazane pod opiekę bibliotece szkolnej. Skład redakcyjny: redaktor naczelna Elżbieta Jakubiak, współpraca Małgorzata Brzeska oraz uczniowie redagujący poszczególne działy z klas IV-VI: Martyna Car, Natalia Kalinowska, Sebastian Kaliszczak, Klaudia Krzyżaniak, Zuzanna Majewska, Alicja Piechocka, Matylda Szymczak i Kamil Śliwiński (dane ze stopki redakcyjnej numeru 8 [80], VI 2015).

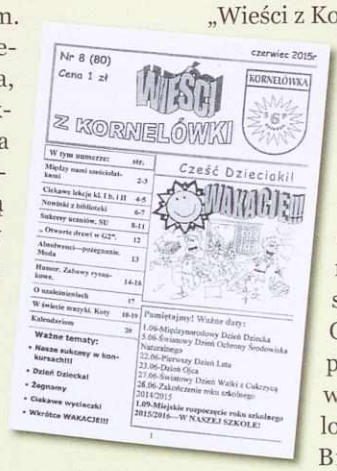
Nr 8 (80) czerwiec 2015r
Cena 1 zł
WIEŚCI Z KORNELÓWKI
KORNELÓWKA
Część Dzieciaki
WAKACJE!!!

W zależności od składu oraz zainteresowań sekcji redakcyjnych, prowadzone są stałe lub okazjonalne działy: sportowy, moda, kącik smakosza, dział o zwierzętach, humor, konkursy, horoskop, informacje z życia szkoły. Na łamach „Wieści..." zamieszczane są także ciekawostki, relacje z ważnych uroczystości, informacje o Ostródzie i regionie. Okolicznościowo dołączana jest wkładka-dodatek (np. relacje z realizacji projektów szkolnych: święto misia, święto bibliotek, święto szkoły, pasowania na ucznia klasy I). Uczniowie nabywający pismo za jedyne 1 zł mają możliwość wzięcia udziału w konkursach językowych, gramatycznych (wypełniają otrzymane kupony przy zakupie pisma). Spośród prawidłowo wypełnionych kuponów losowane są trzy nagrody, ponadto młodzi czytelnicy otrzymują dodatek do każdego numeru – cukierek. Redakcja pisma chętnie uczestniczy w konkursach dziennikarskich. W V Międzyszkolnym Konkursie Gazetek Szkolnych zorganizowanym przez Szkołę Podstawową nr 29 im. J. Liszewskiego w Olsztynie redakcja „Wieści z Kornelówki" zajęła III miejsce.

Żegnam „Kornelówkę" i udaję się do Szkoły Podstawowej nr 4, która wydaje nieregularnik „**Życie Czwórki**". Krótka rozmowa z Małgorzatą Dziedziul, opiekunką redakcji, pozwoliła na uzyskanie najważniejszych informacji. Oto co zebrałem: pismo wydawane jest w formacie A5, w kolorze. Adres redakcji: Biblioteka, Szkoła Podstawowa nr 4, 14-100 Ostróda, ul. T. Kościuszki 14; tel. sekretariatu Szkoły: 89 646 55 63; e-mail: bibliotekasp4ostroda@wp.pl. Skład redakcyjny: Anna Samujło (redaktor naczelna), Wiktoria Bąk i Daria Lichtańska (zastępcy redaktora naczelnego), Daria Bochno, Damian Czarnowski, Katarzyna Dziedziul, Magdalena Gudaczewska, Aleksandra Hanycz, Klaudia Kleber, Ida Klimaszewska, Julia Majewska, Aniela Potorska, Patrycja Rogala, Kacper Skolmowski, Weronika Staniszewska i Magdalena Ślazińska. Opracowaniem komputerowym zajmuje się zespół redakcyjny. Cena egzemplarza 0,50 zł, objętość: 24 strony.

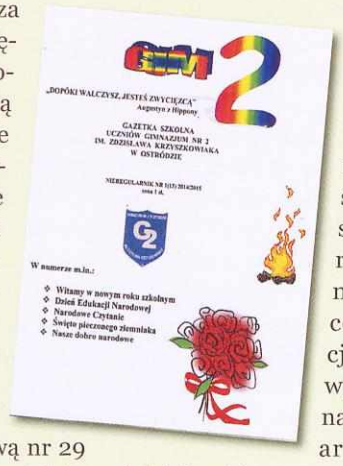
GIM 2
„DOPÓKI WALCZYSZ, JESTEŚ ZWYCIĘZCĄ"
Augustyn z Hippony
GAZETKA SZKOLNA UCZNIÓW GIMNAZJUM NR 2 IM. ZDZISŁAWA KRZYSZKOWIAKA W OSTRÓDZIE
NIEREGULARNIK NR 1(1) 2014/2015 cena 1 zł.
W numerze m.in.:
- Witamy w nowym roku szkolnym
- Dzień Edukacji Narodowej
- Narodowe Czytanie
- Święto pieczonego ziemniaka
- Nasze dobre narodowe

Trzeciego pisma wydawanego przez Szkołę Podstawową nr 1 im. Armii Krajowej, niestety, tym razem nie udało mi się poznać.

Czasopisma szkół gimnazjalnych

Odwiedziłem Gimnazjum nr 2 im. Zdzisława Krzyszkowiaka, które wydaje kolorowy nieregularnik „**GIM 2**" w formacie A5. Miła rozmowa z Janiną Jagodą Niedźwiecką, nauczycielką-bibliotekarzem, opiekunką redakcji, jednocześnie zajmującą się składem komputerowym, pozwoliła na uzyskanie wielu cennych informacji o „GIM2", które wykorzystałem na napisanie odrębnego artykułu. Przykład działalności tego zespołu redakcyjnego zasługuje bowiem na odrębne zaprezentowanie.

Adres redakcji: Biblioteka Gimnazjum nr 2 im. Zdzisława Krzyszkowiaka, 14-100 Ostróda, ul. T. Kościuszki 22; tel. do sekretariatu szkoły: 89 646 79 32; e-mail: bib153@wp.pl. Redaktorzy: Anna Hinczewska (redaktor naczelna), Ewa Pasiut, Nikola Kowalska, Iza Hatowska, Emily Pusch, Victoria Pusch i Kinga Ciarcińska. Cena egzemplarza to jedyne 1 zł, objętość: 24 strony. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży kolejnych numerów przeznaczane były na zakup karmy dla zwierząt ze schroniska „Biały Kieł" w Ostródzie. Obecnie fundusz ten przeznaczany jest na zakup cegiełek emitowanych przez Polskie Stowarzyszenie na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym

Życie Czwórki
OSTRÓDA SP 4
GAZETKA SZKOLNA UCZNIÓW SZKOŁY PODSTAWOWEJ NR 4 W OSTRÓDZIE
NIEREGULARNIK NR 1(36) 2014/2015 cena 50gr
Jesień
W tem numerze m.in.
- powitanie szkoły
- pierwszy dzień jesieni w szkole
- inspekcj szkolne
- przepis na pyszne babeczki bolerki
- zdrowe szkolne sportowe
- prawie wszystko o jeżu
- W świecie mitów -bogowie

Koło w Ostródzie. W ten sposób redakcja „GIM 2" wspiera inicjatywę Stowarzyszenia – zbiórkę publiczną na adaptację i remont budynku przeznaczonego na Centrum Rehabilitacji, Edukacji i Wsparcia. Chodzi o to – jak mówi opiekunka redakcji – aby wpajać młodzieży gimnazjalnej wrażliwość i chęć niesienia pomocy innym ludziom, szczególnie chorym i niepełnosprawnym.

Z cichych pomieszczeń bibliotecznych Gimnazjum nr 2 przenoszę się do Zespołu Szkół Salezjańskich. Tu spotyka mnie spora niespodzianka. Okazuje się, że Zespół Szkół nie wydaje wersji papierowej szkolnego pisma, lecz wydanie internetowe nieregularnika dla uczniów pod tytułem „**FISHKA**".

Adres redakcji: Zespół Szkół Salezjańskich, Liceum i Gimnazjum im. św. Dominika Savio w Ostródzie, 14-100 Ostróda, ul. św. Dominika Savio 1; tel. 89 646 41 46; faks 89 642 28 43; e-mail: slo.ostroda2@wp.pl, redakcja123@op.pl. Redaktorzy: Aleksandra Kamińska, Marta Kiełkowska, Sara Stanulewicz, Katarzyna Cencelewska, Zuzanna Białkowska, Anna Majewska, Piotr Pawłowski, Weronika Wiśniewska, Aleksandra Zaniewska i Zuzanna Michel. Opiekunką redakcji jest Anna Wróbel. Pismo internetowe redagowane jest w ramach działalności koła dziennikarsko-humanistycznego. Objętość od 10 do 12 stron.

Lecz to nie koniec niespodzianek. Okazało się bowiem, że internetowa „FISHKA" dla uczniów to nie jedyna „FISHKA" w Zespole Szkół Salezjańskich. Redagowany jest również nieregularnik o tym samym tytule jako wydanie internetowe dla rodziców! Niewątpliwie obydwie „FISHKI" zasługują na szersze omówienie. Adres redakcji ten sam; e-mail: fishka2014@wp.pl. Redaktorzy: Anna Wróbel i Małgorzata Dawidziuk-Kafel, Mirosława Wiśniewska, Ewa Warsińska, Ewa Szyłobryt i Joanna Ptaszyńska. „**FISHKA" dla rodziców** ukazuje się od lutego 2014 roku, objętość: od 4 do 6 stron.

Czasopisma szkół ponadgimnazjalnych

Tym sposobem tytułem „FISHKA" przeniosłem do poziomu szkół ponadgimnazjalnych. W Ostródzie jest ich pięć. Odwiedziłem Zespół Szkół Rolniczych im. Wincentego Witosa, gdzie wydawany jest dwumiesięcznik noszący tytuł: „**Zgrzyt**". W wersji papierowej, w formacie A5. W rozmowie z Mirosławą Wiśniewską, od kilkunastu lat opiekunką zespołu redakcyjnego, uzyskałem wiele cennych informacji. Do 1996 roku opiekunką szkolnej redakcji była Magdalena Ulanowska, obecnie dziennikarka Niezależnego Tygodnika Lokalnego Powiatu Ostródzkiego „Nasz Głos". „Zgrzyt" wychodzi od wielu lat. Wcześniej nosił różne tytuły: „Kolaż", „Szkolnik" i „Rolniczówka", a wydawany był w cyklu miesięcznym. I tu spotkała mnie kolejna niespodzianka... od dwóch lat zespół redakcyjny przygotowuje numer specjalny o tym samym tytule z okazji corocznego „Marszu dla Życia i Rodziny" w Ostródzie! Właściwie jest to zespół międzyszkolny, bowiem redaktorzy „Zgrzytu" zapraszają do współredagowania numeru specjalnego (marszowy numer „Zgrzytu") uczniów-dziennikarzy z Salezjańskiego Liceum Ogólnokształcącego, z Zespołu Szkół Zawodowych im. Stanisława Staszica oraz z Zespołu Szkół Zawodowych im. Sandora Petöfi. Kontakt z Mirosławą Wiśniewską: tel. 513 079 288; e-mail: kopernik11@poczta.fm.

Spacer kończę w dobrym nastroju. Odwiedziłem siedem redakcji szkolnych pism funkcjonujących we wszystkich poziomach szkół, w tym dwie stanowiące pewne niecodzienne wyjątki: jedna z nich oddzielnie redagująca pismo dla rodziców, druga natomiast redagując numery specjalne, zaprasza do współpracy dziennikarzy z innych szkół ponadgimnazjalnych. Zupełne novum!

Nauczycielki, najczęściej bibliotekarki opiekujące się zespołami redakcyjnymi, chętnie opowiadają o swojej pracy z uczniami-dziennikarzami i udostępniają numery archiwalne. Udzielają niezbędnych informacji nie kryjąc entuzjazmu i własnego zaangażowania. Nadal chcą kierować zespołami młodych redaktorów. Dobry to przykład dla szkół, które jeszcze nie zasmakowały pracy nad aktywizowaniem twórczości dzieci poprzez redagowanie pisma szkolnego. Nie wiedzą, o czym już uprzejmie doniosłem, że redagowanie szkolnych pism jest cennym narzędziem wychowawczym, umożliwiającym ekspresję i poszerzającym wiedzę o pracy i etyce dziennikarza.

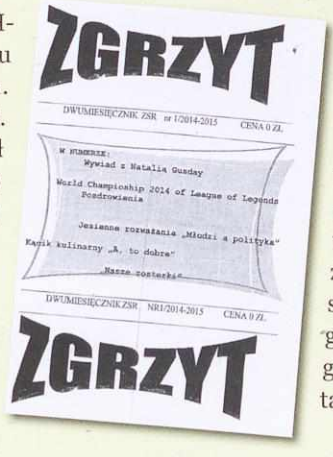
ZGRZYT

DWUMIESIĘCZNIK ZSR nr 1/2014-2015 CENA 0 ZŁ

W NUMERZE:
Wywiad z Natalią Gunday
World Championship 2014 of League of Legends
Podsumowania
Jesienne rozważania „Młodzi a polityka"
Kącik kulinarny „A, to dobre"
„Nasze zosterki"

DWUMIESIĘCZNIK ZSR NR1/2014-2015 CENA 0 ZŁ

ZGRZYT

Nowy rok szkolny to dobry czas, aby gruntownie to przemyśleć. Kształcenie i wychowywanie dobrych dziennikarzy to praca permanentna, wymagająca zaangażowania również szkół szczebla podstawowego, gimnazjalnego i ponadgimnazjalnego. Pamiętajmy o tym.

ZBIGNIEW POŁONIEWICZ

Zasłużeni dla Kultury Polskiej

FOT. © OLSZTYN24

Na wniosek wojewody warmińsko-mazurskiego Mariana Podziewskiego dziennikarze Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie:

Joanna Wańkowska-Sobiesiak – regionalistka, pisarka, doradca wojewody warmińsko-mazurskiego i jego pełnomocnik ds. mniejszości narodowych i etnicznych, rzecznik dyscyplinarny Oddziału SDP w Olsztynie,

Andrzej Zbigniew Brzozowski – satyryk, lider zespołu Kaczki z Nowej Paczki, autor stałego działu „Twarze mediów" i „Okiem satyryka" na łamach miesięcznika społeczno-kulturalnego SDP „Bez Wierszówki",

otrzymali odznaki honorowe Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zasłużeni dla Kultury Polskiej".

Uroczystość wręczenia Nagród odbyła się podczas VIII Forum Kultury Warmii i Mazur, jakie odbyło się w Olsztynie 3 września. W gronie nagrodzonych znaleźli się także: Edward Cyfus – popularyzator gwary i kultury warmińskiej, Krzysztof Stachowski – dyrektor Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie i aktor Robert Kowalski. Przyznano także „Pegazy" – nagrodę wojewody warmińsko-mazurskiego, którą za twórcze osiągnięcia w dziedzinie kultury otrzymali: Jerzy Bończak, Marek Marcinkowski, prof. Artur Milian – obchodzący w bieżącym roku jubileusz 40-lecia pracy twórczej, abp Edmund Piszcz, Piotr Sułkowski, Marcin Wawruk, Zespół Czerwony Tulipan i regionalny Oddział TVP S. A. w Olsztynie, natomiast Radio Olsztyn S. A. – za popularyzację osiągnięć kultury, a Paweł Olechnowicz z Grupy „Lotos" za mecenat kultury Warmii i Mazur.

Odznaka honorowa „Zasłużony dla Kultury Polskiej" przyznawana jest osobom wyróżniającym się w tworzeniu, upowszechnianiu i ochronie kultury, ustanowiona w 1969 roku. Jest wyróżnieniem za szczególne zasługi położone w działalności społecznej stanowiącej istotny wkład w rozwój literatury, teatru, fotografii, malarstwa i innych dziedzin kultury. Odznaka „Zasłużony dla Kultury Polskiej" jest kontynuacją wcześniejszego wyróżnienia „Zasłużony Działacz Kultury".

ANDRZEJ SZTUMSKI

Chomicz i Frelih w Olsztynie

Homo patiens („Człowiek cierpliwy") to tytuł nowej wystawy, jaką 16 października otwarto w olsztyńskiej Galerii Amfilada. Autorami prac zaprezentowanych w Olsztynie jest prof. Małgorzata Chomicz z włoskiej Perugii, której jest to 50 wystawa w dotychczasowej twórczości, i prof. Črtomira Freliha ze słoweńskiej Ljubljany, grafika i malarza.

Małgorzata Chomicz zaprezentowała w Amfiladzie swój projekt zatytułowany „Sukienki". Jak stwierdziła, wykonane z delikatnego papieru „pokrwawione" sukienki mają symbolizować cierpienie kobiet. Ale częścią wystawy są też podświetlone, szklane obiekty, które symbolizują nadzieję.

– Tytuł wystawy został zaczerpnięty z książki austriackiego psychiatry i psychoterapeuty Viktora Frankla, który jedną ze swoich pozycji zatytułował właśnie *Homo patiens* – podkreśliła M. Chomicz podczas wernisażu wystawy. – Frankl przeżył trzy obozy koncentracyjne i doświadczenia związane z zetknięciem się z tak ogromnym cierpieniem, skłoniły go do szukania sensu cierpienia i do nadziei. Te moje „Sukienki" to miał być taki sprzeciw wobec tego, co na całym świecie przydarza się kobietom.

Kiedy jednak artystka spotkała się z grafikami Črtomira Frelicha, które wywarły na niej ogromne wrażenie, postanowiła przygotować ekspozycję o bardziej uniwersalnym charakterze. – Zaprosiłam Črtomira Frelicha do tej ekspozycji, ponieważ chciałam skonfrontować moją wrażliwość, wrażliwość kobiety, ze spojrzeniem mężczyzny z drugiego końca Europy, na temat cierpienia – stwierdziła artystka. – Dzieli nas wiele, ale nasze prace mają też wspólny mianownik, tworzą wspólny klimat tej wystawy.

AS

Małgorzata Chomicz i Marek Marcinkowski (MOK)
FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

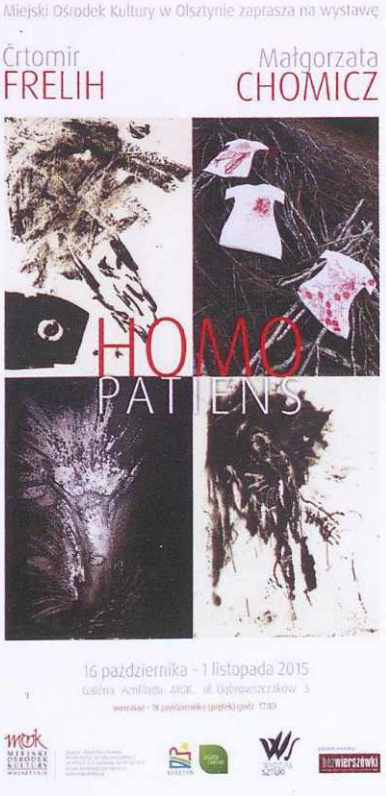

Projekt „Sukienki" FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Słownik ludzi słowa

Dziennikarze jacy są... można łatwo zobaczyć i usłyszeć. Niestety bardzo odnosi się do nich mądre zdanie poety – księdza „Śpieszmy się kochać ludzi – tak szybko odchodzą".

Aktora przypominają filmy, pisarza – książki z półki, a dziennikarz znika ze świadomości powszechnej bardzo szybko. Nawet ci popularni mogą liczyć tylko na krótką pamięć. Dlatego reporterów i publicystów trzeba przypominać. Szczególnie nam wypada to robić. I SDP siłami kolegów z Gdańska, a kasą z centrali – tak właśnie zrobiło.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział Gdański i Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczpospolitej Polskiej Oddział Morski w Gdańsku wspólnie (to ważne!) wydały kolejny już *Słownik dziennikarzy i publicystów Pomorza 1945-2015*. W Gdańsku przypominają kolegów ekumenicznie – to znaczy razem w jednym książkowym wydaniu znaleźli się dziennikarze należący do SDP i SDRP. Na co dzień organizacje właściwie nie współpracują – jedynie na forum zagranicznym uzgadniamy stanowiska w czasie kongresów i seminariów międzynarodowych. Z reguły reprezentuje nas tam Agnieszka Romaszewska-Guzy, a kolegów z SDRP – Andrzej Bilik. W Warszawie ZG SDP, który dysponuje budynkiem przy ul. Foksal, udostępnia za darmo pomieszczenia kolegom z SDRP na spotkania środowiskowe i wybory władz. Tak jest od wielu lat. Podział środowiska nastąpił po 13. pamiętnego grudnia. Niestety trzeba stwierdzić, że nasi koledzy mają tę datę i cały stan wojenny nadal żywo w pamięci. I trudno nam się dziwić. Ponieważ wielu wówczas wiele straciło. Jednak do tego tematu trzeba wracać, ale już nie w tej krótkiej informacji o *Słowniku*. Można jeszcze tylko zauważyć, że w Gdańsku próbują te „rowy zasypywać".

To podręcznik, który dziennikarze powinni mieć w swojej bibliotece. Podobne słowniki warto też wydać w innych środowiskach dziennikarskich naszego kraju. Jeśli już przypominamy wszystkich, którzy odeszli i tych którzy działają na niwie żurnalistów nadal – to być może niektórych podziwiać i wychwalać się nie

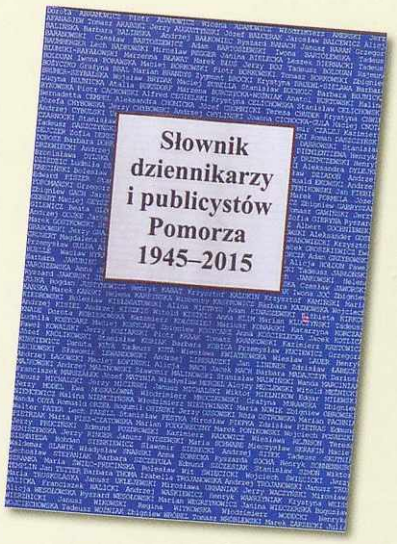

da. Niemniej warto poznać lub przypomnieć kolegów.

Dlatego gratulacje należą się zespołowi redakcyjnemu *Słownika* z Pomorza. A tego dzieła dokonali: Grażyna Bral, Marzena Burczycka-Woźniak, Janusz Deręgowski, Henryka Dobosz-Kinaszewska, Jerzy Model (szef zespołu), Grażyna Murawska, Tomasz Krankowski, Janusz Wikowski, Tadeusz Woźniak.

Przerzucam kartki nie bez wspominania. Krótkie życiorysy oczywiście nie zawierają pogłębionych analiz przedstawianych osób i ich dokonań. To biogramy encyklopedyczne i takie tylko mogą być jeśli chodzi o słownikową formę. Tylko tych, którzy pracowali na Pomorzu w latach 1945-2015, a już odeszli, jest 266. Lista redaktorów naczelnych jednego z dwóch największych w tym rejonie dzienników obejmuje 19 osób. 1945-2015 to 70 lat – kawał czasu. Przypomnienie całych zespołów redakcyjnych gdańskiej prasy, zespołów radia i telewizji jest ciekawe i wartościowe. To już drugie, uzupełnione wydanie pomorskiego *Słownika*, ale na pewno nie zawiera jeszcze wszystkich nazwisk z Pomorza. Być może zgłoszone zostaną jeszcze inne osoby. Tak czy owak czytając lub nawet przerzucając tylko kartki z biogramami rodzą się refleksje różnego rodzaju, np. – to ten działacz był również dziennikarzem, szkoda że o kolejnym lub kolejnej nie napisano nic o jego/jej kontrowersyjnych działaniach i wyborach. Przyjemniejsze są jednak myśli: to nic dziwnego, że tak dobrze Ona/On pisze i odważnie przez tyle lat działa – mają bowiem, jak się okazuje, bardzo bogate życiorysy i wiele dokonań.

Nie wymieniam nazwisk bohaterów *Słownika*, ponieważ znam wielu z nich i trudno byłoby się zdecydować, a wszystkich przytoczyć tu się nie da. To naprawdę bardzo wielka rzesza zasłużonych i często bardzo dzielnych dziennikarzy. Niech pracują, ku chwale, jak najdłużej!

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Grechuta po raz dziesiąty

Tomek Krzymiński, Magdalena Łowkiel-Klimek i Daniel Rupiński FOT. © MAJA SZNIRLING

Miłośnicy twórczości Marka Grechuty (1945-2006) spotkali się 10 października w Olsztynie. Był to już dziesiąty z kolei koncert zorganizowany przez Krzysztofa Lewandowskiego.

Pomysłodawca tego muzycznego wydarzenia, a jednocześnie autor scenariusza i wykonawca, do współpracy zaprosił zarówno zawodowców, jak i amatorów. Na scenie, wypełnionej po brzegi sali olsztyńskiego Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych, wystąpili m. in. Joanna Bąkowska, Magdalena Łowkiel-Klimek, Basia Raduszkiewicz, Łukasz Jędrys, Tomek Krzymiński, Daniel Rupiński, Jan i Jagoda Staruch, Chór im. Elżbiety Gołębiowskiej z Klewek pod dyrekcją Adama Wąsika i Grupa TAK. Występującym towarzyszyli muzycy: Jan Kordaczuk i Marek Salej (fortepian), Irena Łesiów, Paweł Kotarski, Jagoda i Jan Staruch (skrzypce).

Koncert zatytułowany „Dziesięć ważnych słów" nawiązywał do cyklu pieśni Marka Grechuty. Tych „dziesięć słów" to: Ojczyzna – Wolność – Władza – Miłość – Solidarność – Praca – Wiedza – Natura – Sztuka – Prawo. Dwugodzinny występ zakończył się wielkimi brawami i bisem. Piosenki Marka Grechuty mają nadal wielką siłę, przyciągają ludzi wrażliwych na słowo i szukających wzruszeń.

MAJA SZNIRLING

II Festiwal Sztuki Czytania

Centrum Kulturalno-Biblioteczne w Dobrym Mieście i Towarzystwo Kultury Teatralnej Warmii i Mazur zapraszają do udziału w oryginalnym projekcie promującym kulturę żywego słowa – II Festiwalu Sztuki Czytania. Teatr, literatura, czytelnictwo stanowią wspaniałą i naturalną możliwość porozmawiania na poziomie problemowym, ideowym, estetycznym. To wyzwanie artystyczno-edukacyjne, które staje się ważnym wydarzeniem na mapie kulturalnej województwa warmińsko-mazurskiego. Festiwal odbędzie się w dniach 26-28 listopada br. w Dobrym Mieście.

Festiwal Sztuki Czytania to realizacja idei propagowania kultury języka polskiego jako naczelnej wartości dziedzictwa kulturowego i tożsamości narodowej. Czytelnictwo, kreatywność, artystyczna interpretacja tekstów literackich to główne atrybuty spotkania miłośników literatury. Ogłoszony konkurs na najlepszą interpretację czytanych utworów poetyckich, prozatorskich, scen z dramatów jest adresowany do dzieci, młodzieży i dorosłych z Warmii i Mazur. Różne konwencje teatralnej wizji czytania literatury oceni profesjonalne jury. Podczas Festiwalu przeglądowi konkursowych form czytania towarzyszyć będą spotkania z pisarzami, prezentacje teatru czytanego przez wybitnych aktorów polskich, warsztaty sztuki czytania.

Serdecznie zapraszamy do udziału

ANDRZEJ FABISIAK

Listy do św. Mikołaja

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Przed nadchodzącymi Świętami Bożego Narodzenia w Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" panuje pełna mobilizacja. Każdy chce pomóc św. Mikołajowi w spełnianiu marzeń najmłodszych.

Co roku przygotowujemy uroczystości w kilku miastach Polski. Tym razem odbędą się one w Gdyni, Poznaniu, Krakowie, Warszawie, Łodzi i Białymstoku.

W Teatrze Muzycznym w Gdyni dzieci obejrzą „Pchłę szachrajkę", w Białostockim Teatrze Lalek „Cudowną lampę Aladyna", w warszawskim Teatrze Syrena „Kota w butach", w Łodzi zapraszamy do Teatru Arlekin na „Krawca Niteczkę". W Krakowie odbędzie się seans filmowy z Małym Księciem w roli głównej, a w Poznaniu na sportowo – turniej bowlingowy. Nie zabraknie prezentów i słodkości. W organizowaniu świątecznych imprez od lat finansowo wspiera nas PFRON.

Po raz piąty odbędzie się „Choinka Marzeń". Jest to wyjątkowa akcja, podczas której zbieramy indywidualne listy od podopiecznych i wyręczając św. Mikołaja, kupujemy prezenty, o jakich marzą dzieci. Najbardziej rozczuliły nas list napisany alfabetem Braille'a oraz list z odrysowanymi rączkami, w którym dziecko prosi o rękawiczki w swoim rozmiarze. Poza tym nasi podopieczni marzyli o sankach, różowym mikrofonie, a nawet zestawie do mycia zębów z kosmetyczką, kubeczkiem, szczoteczką i pastą. Zagadkowe było zamówienie na „coś z sową".

Tym razem „Choinka Marzeń" odbędzie się w Krakowie. W poprzednich latach była w Toruniu i Warszawie. Akcję prowadzimy wraz z firmą Schneider Electric, której pracownicy kupują prezenty dla podopiecznych naszej Fundacji.

Książka pod choinkę *Dziewczynka, której było wszystko jedno* Alberta Lichanowa

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" wydała ten tytuł w serii „Poznając język – poznajesz świat". Z książką *Dziewczynka, której było wszystko jedno* można się uczyć języka rosyjskiego. Po jednej stronie mamy tekst po polsku, a obok – tekst w oryginalnej wersji językowej.

Książkę napisał rosyjski pedagog, założyciel i prezes Rosyjskiej Fundacji na rzecz Dzieci, Międzynarodowego Stowarzyszenia Fundacji Dziecięcych i Instytutu do Spraw Dzieci. Albert Lichanow jest działaczem społecznym zaangażowanym w takie programy jak „Ciepły dom", „Biblioteka Dziecięca", „Głuche dzieci", „Dar życia". Opiekuje się domami dziecka, wspiera je finansowo. Otrzymał siedem doktoratów *honoris causa*. Został uhonorowany amerykańskim Medalem Wolności za wyjątkowy wkład praktyczny do światowej skarbnicy dobra oraz Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Janusza Korczaka.

Jego książki dla dzieci i młodzieży ukazały się w ponad 100 krajach i 34 językach. Jest to proza zorientowana społecznie, skupiająca się na problemach dotykających dzieci i młodzież.

Dziewczynka, której było wszystko jedno opowiada o losie wychowanki domu dziecka, która została w przeszłości skrzywdzona i żyje pod ciężarem wielkiej traumy. Do jej smutnego świata pozbawionego jakichkolwiek pozytywnych wartości wkracza studentka pedagogiki. Czy młoda, pełna pomysłów i nadziei wychowawczyni skruszy pancerz chroniący dziewczynkę przed złem i dobrem? Czy uda się jej przekonać bohaterkę, że nie warto wciąż powtarzać „wszystko mi jedno"?

Albert Lichanow, *Dziewczynka, której było wszystko jedno*, przekład Walentyna Mikołajczyk-Trzcińska, ilustracje Robert Sokołowski, Warszawa 2015, ss. 176, format 165 x 235 mm, cena 20 zł. Książkę można zamówić przez Internet – www.bremo.pl, tel.: (+48) 881 938 055, e-mail: fundacja@dzieciom.pl.

Polecamy pod choinkę!

Wydawnictwa Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą"

Kupując książki i kalendarze, sprawisz radość swoim bliskim i udzielisz pomocy podopiecznym Fundacji

Zamówienia można składać

- przez internet: www.bremo.pl • mailem: fundacja@dzieciom.pl
- telefonicznie: 881 938 055 • faksem: 22 833 31 00
- pocztą: Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", ul. Łomiańska 5, 01-685 Warszawa

Chorym i niepełnosprawnym dzieciom można pomóc poprzez wpłacenie darowizny na konto **92 1060 0076 0000 3210 0019 6507**

FUNDACJA DZIECIOM ® WSPÓLNOTA „ZDĄŻYĆ Z POMOCĄ"

BREMO
POMAGANIE PRZEZ KUPOWANIE

www.dzieciom.pl • www.bremo.pl

Prezes Fundacji Dzieciom kawalerem Orderu Świętego Stanisława

Stanisław Kowalski, prezes Zarządu Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Świętego Stanisława Biskupa Męczennika. Uroczystość miała miejsce 10 października br. w Bazylice św. Michała Archanioła i św. Stanisława Biskupa w Krakowie na Skałce.

Order Świętego Stanisława jest historycznym orderem ustanowionym w 1765 roku przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Odznaczenie było nadawane w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Księstwie Warszawskim, Królestwie Polskim. W 1831 roku zostało włączone do znaków zaszczytnych Cesarstwa Rosyjskiego.

Po roku 1918 nie było restytuowane przez władze II Rzeczypospolitej. Za jego kontynuatora uważany jest Order Odrodzenia Polski. Pomysł reaktywowania Orderu Świętego Stanisława zrodził się w środowisku polskiej powojennej emigracji politycznej w Anglii. W 1990 roku Wielki Mistrz Orderu Juliusz Nowina-Sokolnicki wydał dekret, którym wydzielił Order Świętego Stanisława spod jurysdykcji Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie i utworzył własny, Suwerenny Order Świętego Stanisława jako międzynarodowe odznaczenie rycerskie, poświadczające braterstwo mężów wszystkich wiar i ras.

Order został przyznany Stanisławowi Kowalskiemu przez IX Wielkiego Mistrza Jana Zbigniewa hrabiego Potockiego w uznaniu zasług w sferze działalności dobroczynnej.

Odznaczenia Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

3 października br. w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie odbyła się jubileuszowa gala Polskiego Towarzystwa Lekarskiego połączona z wręczeniem odznaczeń i medali. Stanisław Kowalski, prezes Zarządu Fundacji, otrzymał odznaczenie „Zasłużonemu – Polskie Towarzystwo Lekarskie".

Wybitnych reprezentantów środowiska lekarskiego uhonorowano medalami Gloria Medicinae i godnością Medicus Nobilis. Przyznano także tytuły Bene Meritus. Wyróżniony nim został między innymi prof. Marcin Roszkowski, neurochirurg z Instytutu „Pomnik Centrum Zdrowia Dziecka" w Warszawie. Odznaczenie „Zasłużonemu – Polskie Towarzystwo Lekarskie" trafiło do rąk prezesa Stanisława Kowalskiego za ochranianie wartości najwyższej, jaką jest życie ludzkie.

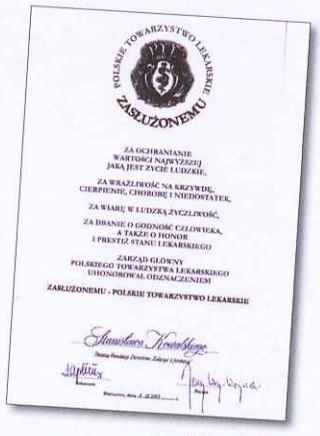

Przyznano także tytuły Bene Meritus. Wyróżniony nim został między innymi prof. Marcin Roszkowski, neurochirurg z Instytutu „Pomnik Centrum Zdrowia Dziecka" w Warszawie. Odznaczenie „Zasłużonemu – Polskie Towarzystwo Lekarskie" trafiło do rąk prezesa Stanisława Kowalskiego za ochranianie wartości najwyższej, jaką jest życie ludzkie.

Uroczystości patronowali m. in. prezes Polskiej Akademii Nauk prof. Michał Kleiber oraz prezes Naczelnej Rady Lekarskiej dr Maciej Hamankiewicz. W gali uczestniczyli marszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska i wojewoda mazowiecki Jacek Kozłowski.

Spytany czy jest głęboko wierzący, odpowiedział: „Nie"

Szukałam czegoś innego, gdy w serwisie „Polityka Warszawska" z 26 lipca 2015 roku pojawiły się zdjęcia z antyimigranckiej manifestacji na Placu Zamkowym. Widok planszy z napisem: „Multi-kulti to idiotyzm" sprawił, że odszukałam brulionowe zapiski z lat 2002-2005 zogniskowane wokół osoby Khalida (imię fikcyjne) i pozostawione do wykorzystania... kiedyś. Podjęłam je impulsywnie, pod nagłym wpływem przeświadczenia, że wkrótce już go nie będzie i że powinnam łowić wydarzenia, które nadchodzą.

Miał na przedramieniu dwie wąskie, równoległe blizny, których pochodzenia nie chciał wyjaśnić. Czy pochodziły od uderzeń rozpalonym prętem?

Z dokumentów przygotowanych dla adwokata z biura w Amsterdamie wynikało, że był – jako aktywista partii UMMA – aresztowany i torturowany. Jednak na pytanie o program tej partii usłyszałam lekceważące: „Zbyt skomplikowane, abym wyjaśniał". Na przestrzeni kilkunastu miesięcy tak zbywał każdą z prób rozmowy na tematy polityczne lub religijne. Miałam wiedzieć j a k n a j m n i e j, bo gdy on był ryzykującym życie wychodźcą, ja tylko imigrantem i ponadto kobietą, a kobiety – z ich skłonnością do egzaltacji i bezmyślnej paplaniny – uważał za niegodne zaufania.

Kategorycznie odmówił mi wypowiedzi dla pisma „MCMulticultureel" angażującego się w problemy wychodźców, ale zaczął do mnie przychodzić. Zawsze na krótko – pół godziny, dwadzieścia minut. Wchodził i wychodził zalękniony, jak ktoś kto musi się upewnić, że nie jest śledzony. Niekiedy telefonował z mojego telefonu, a wtedy odczytywał numer odwijając szeroki na centymetr pasek papieru, który nie wiadomo jak w jego ręku się pojawiał i nie wiadomo jak znikał.

Gdy dzwonił do matki oboje musieli mówić głośno, gdyż boczna linia z Chartumu nie była zbyt pewna. Czasem słyszałam jej głos, spokojny i stanowczy (domem rządziła niepodzielnie i w sposób zdecydowany). Rozmawiali w języku arabskim z wtrąceniami anglojęzycznymi. Raz połączenie zostało przerwane i Khalid krzyczał rozpaczliwie do słuchawki: „Maam!".

Cechująca go milcząca posępność malała kiedy pytałam o matkę. W jakim jest wieku? Nie wiedział. Przypuszczał, że może być młodsza ode mnie, jeśli wyszła za mąż zgodnie ze zwyczajem w wieku 15 lat. Miał w Sudanie brata, ale go nie cierpiał za tradycyjność poglądów, uległość. Na temat nieżyjącego od kilku lat ojca milczał całkowicie. Dużo później, od innego sudańskiego wychodźcy, dowiedziałam się, że ojciec Khalida był właścicielem wielkiego dziennika.

Zdjęć z dawnego życia nie miał żadnych; uważał, że lepiej ich nie mieć. Raz przyjrzał mi się uważnie i powiedział: „Moja matka też jest b i a ł a, ale inaczej". Zamyślony dodał: „Nigdy nie widziałem jej włosów; może kiedyś, kiedyś, kiedy byłem mały...".

Choć perspektywa jaką przyjmował była niezmiennie perspektywą świata arabskiego nie starał się mnie przekonać, że jest to świat z jakichś względów l e p s z y. Polska interesowała go głównie jako kraj ze strefy, w której niegdyś „budowano komunizm".

Własnego kraju z całą mocą nienawidził. Określał Sudan jako miejsce analfabetyzmu, chorób, śmierci; jako straszliwy kraj bez przyszłości, w którym mężczyzna żyje po to tylko, aby w wieku trzydziestu pięciu lat umrzeć. Gwałtownie reagował na jakąkolwiek wzmiankę o mieszkańcach sudańskiego Południa. Używał określenia „ONI". Gdy spytałam o AIDS odpowiedział pogardliwie: „Oni mają zdaje się z tym pewne problemy". Na pytanie o dostępność wody usłyszałam: „Oni mają zdaje się dosyć wody". „Oni" czyli czarne dzikusy, przestępcy. Nie odważyłam się przyznać do opublikowania w „MCMulticultureel" wypowiedzi młodej Holenderki od trzech lat związanej z Sudańczykiem z plemienia Dinka. Był dzieckiem-żołnierzem, wszyscy jego bliscy zginęli lub się rozproszyli i dopiero w Holandii zyskał prawdziwą rodzinę.

Khalidowi jako wychodźcy, który występując o azyl dwukrotnie otrzymał negatywne orzeczenie z IND (Instytutu ds. Imigracji i Naturalizacji) podległego Ministerstwu Sprawiedliwości, przysługiwała ostatnia możliwość: odwołanie się do sądu. Rozprawa Khalida przed sądem w Amsterdamie została wyznaczona na 10 lipca, a jej przedmiotem miały być dwa orzeczenia IND, z kwietnia 2000 i lutego 2002 roku. Drugie, ostateczne, kończyło się sformułowaniem: „narodowości sudańskiej, IND numer [...] zobowiązany zostaje do opuszczenia terytorium Holandii w wyznaczonym terminie. Zgłoszony przezeń wniosek o udzielenie azylu politycznego uznany zostaje za bezpodstawny".

Kluczowym argumentem przeciw udzieleniu Khalidowi prawa azylu była niespójność jego pierwszych zeznań złożonych tuż po przybyciu na terytorium Holandii. Senior-współpracownik IND na dziesięciu stronach z irytacją negował wiarygodność jego zeznań w całości: „Pierwszy statek opisany został przezeń jako czerwono-pomarańczowy z nadbudową i kontenerami. Co do drugiego, na który jakoby się przesiadł (na pełnym morzu?!), nie był w stanie podać żadnych szczegółów [...]". Jeśli zaś chodzi o jego działalność w partii UMMA, „w której miałby piastować odpowiedzialną funkcję w odniesieniu do 98-osobowej grupy, nieprawdopodobnie brzmią jego stwierdzenia o najściu funkcjonariuszy na posiadłość należącą do rodziny, gdzie miały się odbywać zebrania partyjne i gdzie mieli znajdować schronienie członkowie partii ścigani przez władze. Stwierdzenie o jego ucieczce, dzięki której uniknął aresztowania również nie wydaje się prawdopodobne".

Tekst oświadczenia seniora-współpracownika umacniał przekonanie o bezsilności jednostki wobec biegu wydarzeń, który wytyczają potęgi: polityczna, wojskowa, administracyjna... Jednak co do zeznań, Khalid rzeczywiście nie przybył do Holandii statkiem, ale – jak kiedyś wspomniał – samolotem. Tylko czy na pewno była to Holandia? Zatrudniający Khalida dorywczo właściciel firmy budowlanej przypuszczał, że był on już przedtem w jakimś kraju w Europie, i były to Niemcy.

Mieszkający po sąsiedzku adwokat, który w ramach tzw. adwokatury społecznej prowadził też sprawy wychodźców, dwukrotnie zgodził się przyjąć Khalida. Zapoznawszy się z dokumentami od razu zauważył: „Oni panu nie ufają". Szansę, niewielką, uniknięcia deportacji upatrywał w tym, że ogarnięty wojną domową Sudan znajdował się na liście krajów wysokiego ryzyka. Jednak za drugim razem bezradnie rozłożył ręce.

Po pierwszej wizycie u adwokata Khalid niespodziewanie postanowił, że zrobi obiad. W supermarkecie (drogim) kupił kurę i dwie cytryny. Przyrządzał posiłek skoncentrowany, milcząco pochylony nad kuchenką. Obok talerza z upieczoną kurą postawił dwie miseczki: jedną z mięsnym sosem, drugą z sokiem z cytryny. Jedliśmy ujmując delikatnie cząstki mięsa palcami. W niewytłumaczalny sposób to mnie dostawały się lepsze kawałki. Lekkość i zarazem podniosłość tego obiadu wydawała się niewiarygodna.

Był Nubijczykiem z bardzo starej rodziny, której początki mogły sięgać królestwa Nubii, a która w związku z budową tamy

Asuańskiej została do Sudanu przesiedlona z Egiptu, z miejscowości Wadi Halfa. Pokazał mi ją w historycznym atlasie mówiąc dumnie: „Tam są moje korzenie".

Wychodźstwo uczyniło spustoszenia w jego psychice. Stał się d z i k i. Lękliwy z natury, w dzieciństwie rozpieszczany przez matkę, dorastający w uprzywilejowanej, zamożnej rodzinie, znosił sytuację wychodźcy jak najgorzej. Nie powinien był wyruszać w drogę!

Czy nie wyruszył po to tylko, aby pomóc matce? Oczekującym na decyzje proceduralne nie wolno pracować, a on wydawał się tą przymusową bezczynnością nad wyraz zirytowany. Nienawykły do pracy fizycznej, aby móc wysyłać pieniądze i potrzebne rodzinnemu przedsiębiorstwu komputery, zarobkował nielegalnie w firmie budowlanej. Kwoty wypłacane mu tygodniowo przez rząd holenderski określał jako „kieszonkowe".

Gdy raz wspomniałam, że przez cztery lata pobytu w Holandii nie zbudował sobie dobrego dossier, które teraz być może przemówiłoby na jego korzyść (obierając taktykę bycia nikim szczególnym zataił uniwersyteckie wykształcenie), żachnąwszy się odparł, że nie zamierzał i nie zamierza w jakikolwiek sposób wykazywać Holandii swojej przydatności. Już cztery lata oczekuje tutaj, że jego sytuacja stanie się stabilna.

Z notatek...

20 czerwca 2003

Telefon o 22.15. Otrzymał list. – Jaki list? – Z sądu w Amsterdamie, wezwanie na rozprawę.

Rozprawy sądowe wychodźców, rozprawy na „tak" albo „nie" odbywają się teraz taśmowo. Podobno „nie" także jest taśmowe.

Mój sąsiad, uduchowiony stroiciel fortepianów spytał mnie mimochodem, czy Khalid przebywa w Holandii legalnie. Pytanie nie było zaskakujące gdyż wskutek ogromnej liczby napływających uchodźców wielokulturowość – duma Holandii, weszła w okres zmącenia.

22 czerwca 2003

Zostało niewiele dni do posiedzenia sądu. Khalid zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, ale ma nadzieję. Widocznie zawsze się ją ma, do ostatniej chwili.

Po przyjściu oznajmił bardzo spokojnie, że sytuacja skłania go do opuszczenia Holandii, że gotów jest podjąć taką decyzję i że będzie się starał opuścić ten kraj już niedługo.

Długie minuty siedział nieruchomy i milczący, jakby nie chciał, by cokolwiek rozpraszało jego energię. Ale nie miał już tych strasznych, ogarniętych paniką oczu osaczonego, z okresu tuż po otrzymaniu drugiej odmowy.

23 czerwca 2003

Podczas mego dyżuru w galerii sztuki pojawiły się dwie nieznane osoby: Ukrainka lat piętnaście i młody mężczyzna z Moskwy. Chodziło o szybkie znalezienie schronienia dla trzech osób z Ukrainy, matki (chorej) i dwóch córek. Wielokondygnacyjny budynek, w którym tymczasowo zamieszkały, będzie wyburzony. Pytałam: „Jakie macie dokumenty?".

– Nie mamy żadnych.

– Ukraińskie paszporty?

– Też nie, zresztą ona jest na ukraiński paszport za młoda.

– Może Kościół by wam pomógł? Czy jesteście prawosławni?

Mężczyzna zaśmiał się: „My jesteśmy komuniści!". Dodał, że Holandia nie jest już tak gościnna jak niegdyś, bo nawet premier nawołuje do bycia bardziej uspołecznionym. – To tak – śmiał się – jak komunistyczne centralne planowanie: teraz macie robić to, a teraz tamto!

Na czole Ukrainki pojawiły się poniżej czarnej grzywki kropelki potu.

Khalid przyszedł wieczorem aby telefonować. Od progu wyjaśnił: „W sprawie, o której mówiłem". Numer miał jak zawsze zapisany na centymetrowym pasku papieru. Rozmowa toczyła się w języku arabskim. W pewnym momencie zaczął podawać rozmaite dane. Wymawiał poszczególne wyrazy bardzo powoli, tak jakby osoba po drugiej stronie notowała. Swoje nazwisko i imię przeliterował. Był bardzo skoncentrowany i bardzo spokojny.

7 lipca 2003

Nigdy dotąd nie mówił tak wiele jak tego wieczora, jakby nagle chciał powiedzieć wszystko co wcześniej już zamierzał. Zwrócił mi uwagę w dobroduszny, ojcowski nieco sposób, że nie powinnam tyle pracować, że powinnam żyć nieco spokojniej. Przed wyjściem nie milczał jak zwykle lecz spojrzawszy na zegarek powiedział, że w Chartumie jest o tej godzinie 35 stopni, a o północy będzie 28, a potem wyjaśnił w jaki sposób turban chroni czaszkę przed gorącem.

Jego kraj pojawił się... i zniknął.

Rozprawa Sudańczyka z plemienia Dinka odbędzie się w tym samym czasie co rozprawa Khalida, ale przed sądem w innym mieście, który ma opinię łagodniejszego niż sąd w Amsterdamie. Młoda Holenderka i jej rodzice systematycznie kontaktujący się z adwokatem mieli więc odrobinę nadziei. Zamierzali stawić się na rozprawie w charakterze świadków, co Khalid uznał za bezsensowne. Określił rozprawy wychodźców jako „show" i dodał, że jeden z Sudańczyków wziął na rozprawę Holenderkę oraz jej i swoje dziecko, a i tak został wyrzucony.

8 lipca 2003

Pytałam, czy kontaktował się już z adwokatem z Amsterdamu. Nie, ale to niepotrzebne, bo adwokat spotyka się z klientem na pół godziny przed rozprawą.

Był w biurze oddziału COA (Centralnego Urzędu Opieki nad Azylantami) po bezpłatny bilet kolejowy do Amsterdamu. Pracownica COA wypełniała wspólnie z nim kwestionariusz ankiety. Gdy na pytanie czy jako muzułmanin jest głęboko wierzący odpowiedział: „Nie", wykrzyknęła spontanicznie: „*Prima*!" („Świetnie!").

Śmialiśmy się z tego „*Prima*!"

10 lipca 2003

Za dziesięć dwunasta. Rozgłośnia TV5 nadaje reportaż z paryskiej dzielnicy Belleville przekształcającej się w dzielnicę chińską. Reporter rozmawia z przeszmuglowanym do Francji młodym Chińczykiem pracującym w nielegalnej wytwórni obuwia. Na pytanie dlaczego tu przyjechał pada odpowiedź: „Bo rodzice są już starzy, a ja jestem jedynym synem".

Rozprawa jest wyznaczona na godzinę drugą.

Jest wpół do trzeciej.

Jest czwarta. Więc już po rozprawie.

Jest siódma. Telefon. Khalid znajduje się gdzieś w otwartej przestrzeni. To dworzec, dworzec w Amsterdamie. Podenerwowanym głosem pyta kogoś po angielsku o właściwy peron, dziękuje także po angielsku, a potem zwraca się do mnie i mówi, że zadzwoni z pociągu. Właściwie nie musi tego robić. W jego głosie wyczuwalne było oburzenie.

Dziewiąta. Jest w pociągu. Mówi, że adwokat okazał się wspaniały, ale potem była kobieta-sędzia z „bla-bla-bla", więc wszystko razem...

12 lipca 2003

Twarz ma zmienioną. Mówi na swój zwykły ściszony sposób, że był w stanie zorganizować sobie tu spokojne, normalne życie, ale nie dano mu szans.

Prawdą jest, że niezbyt się angażował w przedsięwzięcia integrujące wychodźców ze społecznymi instytucjami tego kraju. Ale teraz nie ma już znaczenia, że zaniechał przedzierania się przez semestry w szkole języka niderlandzkiego i że z licznych zawodowych kursów dla wychodźców ukończył tylko jeden.

Jak przebiegła rozprawa Sudańczyka z plemienia Dinka? Nie wiadomo. Na orzeczenie sądu trzeba czekać sześć tygodni. Khalid ma czekać trzy.

8 sierpnia 2003

Odbiera telefon na ulicy. Jest w pobliżu domu z innym Sudańczykiem, wychodźcą sprzed piętnastu lat, który ma holenderskie obywatelstwo. To w jego domu COA wynajmuje pokój dla Khalida.

Pytam czy była poczta. Tak, list od adwokata oznajmujący, że jego klient nie ma już żadnych szans na pozostanie w Holandii i że sprawa została definitywnie zamknięta.

Październik 2003

Nie znam i nigdy nie poznam okoliczności ucieczki Khalida (zwykle czeka się na wezwa-

nie, a kiedy ono następuje należy wyruszyć natychmiast, zostawić wszystko). Byłam prawie pewna, że go już nie ma gdy przez kilka dni w telefonie odzywał się tylko *voice-mail*.

Po kilku tygodniach zadzwonił. Był w miejscu, w którym panowała c a ł k o w i t a c i s z a.

W pierwszym zdaniu przestrzegł, że nie wolno mi pod żadnym, ale to żadnym pozorem wymawiać jego prawdziwego imienia. Podał czternastocyfrowy numer, na który miałam oddzwonić. Na podstawie tego numeru odtworzyłam później kraj, miasto, część miasta.

2005

Sudańczykowi z plemienia Dinka także pozostał wybór między ucieczką a deportacją. Próba ucieczki samolotem zakończyła się dlań fatalnie, uwięzieniem. Powiodła się druga, samochodem. Znalazł się w Norwegii, w schronisku dla azylantów, ale był tam w bardzo złym stanie. Dokonał samookaleczenia, leczono go. Potem był we Francji gdzie czuł się dobrze, ale planował wyjazd do Afryki Południowej. A potem zgubił czy też mu skradziono, telefon komórkowy.

To dla młodej Holenderki ostatnia o nim wiadomość, sprzed kilku miesięcy. Chciała mieć dziecko, ale teraz uważa, że dobrze, że go nie miała. Nie wie, czy je kiedyś będzie miała.

Na mocy ministerialnej decyzji 26 tys. uchodźców musi opuścić Holandię, kraj tymczasowego, czasem nawet dziesięcioletniego osiedlenia. W dworcowym przejściu podziemnym pojawił się napis: „W latach 1940-1945 wyrzucaliśmy Żydów. Kogo teraz wyrzucimy?".

Deportacja może odbywać się tak, jak to pokazano w telewizyjnej migawce. Przytwierdzony na siedząco do krzesła mężczyzna wjeżdżał po wznoszącej się taśmie wprost do samolotu.

W Chartumie trwają zamieszki po zagadkowej katastrofie helikoptera, w której zginął wiceprezydent Sudanu reprezentujący zrewoltowane Południe. Telewizyjne obrazy z kraju Khalida: grupki biegnących mężczyzn, uderzają żelaznymi drągami w stojące samochody, których szyby rozpryskują się w drobinki. Postacie pojedyncze, chyże, przygarbione ciągną worki z ryżem, mąką, cukrem. Mówi się o około 140 zabitych i 800 rannych. Według opinii lekarza szpitala w Chartumie rany pochodzą głównie od uderzeń kamieniem lub drągiem.

Zamieszki ustały.

– Na jak długo? – spytałby zirytowany Khalid gdyby tu jeszcze był.

JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS

P.S. W roku 2015 liczbę przebywających w Holandii wychodźców szacuje się na 200-250 tys. JP-J

Kos Oblężona twierdza Joannitów

W starożytności ciągnęli na Kos Grecy z całej Hellady, by leczyć się w Asklepiejonie. Od lat przyjeżdżają tu tryskający zdrowiem Europejczycy, aby surfować na przybrzeżnych wodach, a od niedawna ten skrawek Grecji stał się bramą dla uchodźców i migrantów pragnących dostać się do europejskiego „raju".

Z tureckiego *exodusu* to przecież tak blisko. Na horyzoncie widać tę drugą co do wielkości, po Rodos, wyspę archipelagu Dodekanez. Wpław z Turcji, z Akyarlar na półwyspie Bodrum, do Kos to zaledwie 3 mile czyli niecałe 5 kilometrów. I między innymi tą drogą przez Morze Egejskie do północno-wschodnich wybrzeży Kos docierają kolejni przybysze w poszukiwaniu lepszego życia.

Dziś portowe Kos nie wygląda tak, jak w poprzednich miesiącach, gdy świat obiegły zdjęcia z potężną liczbą szturmujących te południowo-wschodnie drzwi Europy. Imigranci są również, przybywają codziennie, ale w mniejszej ilości. Największe ich skupisko jest obok siedziby policji, nadbrzeża portowego oraz pod murami dawnej twierdzy Joannitów, gdzie rozbito prawie 100 namiotów. Ma się wrażenie jakby „najeźdźcy" oblegali ten XIV-wieczny kompleks Castello di Neratzia.

Na początku października w gronie imigrantów trudno było znaleźć prześladowanych chrześcijan z Syrii. Zarówno rozmowa z imigrantami, jak i oficjalne informacje przekazywane przez miejscową policję, wskazują głównie na muzułmańskich imigrantów z Bliskiego Wschodu (Irak, Syria) i kontynentu azjatyckiego (Afganistan, Bangladesz, Nepal, Pakistan, Sri Lanka, Republika Związku Mjanmy).

Przybyli na wyspę, spokojnie czekają na decyzję władz greckich odnośnie ich statusu i otrzymanie zezwolenia na dalszą podróż do miejsc, które sobie wymarzyli. Spotkać ich można również na uliczkach Kos. Dla niewytrawnego oka wtapiają się w rzesze turystów, zwiedzających to piękne miasto. – Obecne grupy imigrantów są raczej spokojne, nie sprawiają istotnych kłopotów, oprócz tego, że tam gdzie przebywają o porządek trudno – podkreśla wielu mieszkańców tego greckiego kurortu. W wodach przybrzeżnych i na samym nadbrzeżu nadal znajdują się porzucone kamizelki ratunkowe, fragmenty zniszczonych łodzi, pontonów, które po dotarciu do celu okazały się już niepotrzebne.

W parku za komisariatem policji, na terenach przylegających do starożytnego Forum, międzynarodowa organizacja Médecins Sans Frontières zorganizowała punkt pomocy. Rozbito sześć dużych namiotów dla imigrantów. Lekarze i wolontariusze zapewniają podstawową opiekę zdrowotną, medyczną i psychologiczną, a także ofiarnie służą pomocą w przystosowaniu kulturowym, choć z tym ostatnim idzie najtrudniej.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Kos, 10 października 2015

Nadbrzeże portu Kos

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Damaszek, 7 IV 2015
FOT. © JOHNSON / MP

Czy Państwo Islamskie zagraża Polsce?

Bomby dżihadystów mogą wybuchnąć podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie – mówi dziennikarz Witold Gadowski w rozmowie z Baśką Pajchert.

Baśka Pajchert: Czy Polska powinna interesować się Państwem Islamskim?

Witold Gadowski: Tak. Świat się globalizuje. Dziś bomby wybuchają w Paryżu czy Londynie. Ale to nie znaczy, że pewnego dnia nie wybuchną w Warszawie czy Krakowie.

Straszysz, że te bomby mogą wybuchnąć już w lipcu 2016 roku podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie. Niektórzy twierdzą, że robisz czarny pijar wokół ŚDM.

Czarny pijar wokół Światowych Dni Młodzieży wybuchnie wtedy, gdy to się zdarzy. Lepiej stosować prewencję. Islamiści wyraźnie twierdzą w swoim propagandowym magazynie „Dabiq" (Dabiq – miejscowość w Syrii, gdzie ma się odbyć ostateczna bitwa; miejsce ostatecznej apokalipsy – przyp. RED.), że ich celem jest uderzenie w Rzym i zabicie papieża. Papież będzie na ŚDM w Krakowie, więc nie trzeba być wybitnie inteligentnym, żeby wywnioskować, że pojawi się zagrożenie.

Czy Państwo Islamskie ma swoich ludzi w Polsce?

Tak. Są komórki ISIS w naszym kraju. Interesuję się tymi strukturami od dawna, mam kontakty wśród islamistów, czytam prasę, którą wydaje ISIS. Eskalacja działań islamistów w Polsce przypadnie właśnie na lipiec 2016 roku.

Czy polskie służby specjalne zdają sobie sprawę z zagrożenia i są odpowiednio przygotowane?

Nie. Instytucja, która jest do tego powołana, czyli Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zajmuje się szukaniem haków na opozycję polityczną. Tam nie ma specjalistów od współczesnego terroryzmu.

Ostatnio ABW ogłosiła, że ma informacje o Polakach walczących w strukturach Państwa Islamskiego.

To brednie. Nie złapali jeszcze ani jednego terrorysty, którego nie dostarczyłyby im służby innych krajów. Te wiadomości są podawane tylko po to, by przykryć nieudolność ABW.

Rzecznik ABW chwalił się informacjami o niejakim Jacku S., który zginął w samobójczym ataku na rafinerię w irackim Bajdżi, na początku czerwca tego roku.

To nie są żadne nowe informacje. Całą wiedzę o Jacku S. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma od niemieckich służb. A niemieckie gazety pisały o tym zaraz po zdarzeniu. Poza tym Jacek S. był obywatelem niemieckim.

Jesteś pierwszym polskim dziennikarzem, który nagrał rozmowę z Polakiem – dżihadystą. Kim on jest?

Adrian Al. N., który przyjął imię Abu Bakr Al Sham jest polskim obywatelem, który walczy po stronie dżihadystów. Jego ojciec jest Palestyńczykiem z Jordanii, a matka Polką. Przeszedł na islam w wieku piętnastu lat. Poprzez Internet nawiązał kontakt z islamistami. Działał w kilku terrorystycznych organizacjach. W tej chwili walczy w siłach zbrojnych Państwa Islamskiego.

Czy Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wiedziała o jego działalności?

On robił w Polsce, co chciał. Agenci ABW dopiero po informacji od niemieckich służb przesłuchali go i zrobili przeszukanie w jego domu. Wszczęto sprawę w prokuraturze Warszawa – Praga, ale nie o terroryzm, nie o prowadzenie propagandy islamistycznej na terenie Polski, ale o służbę w obcych formacjach wojskowych.

Witold Gadowski w irackim Kurdystanie
FOT. © ARCHIWUM WG

A jak wygląda działalność kontrwywiadowcza ABW na Bliskim Wschodzie?

Polskie służby mają tam tradycyjnie swoich ludzi, ale są to oficerowie wojskowi, którzy zajmują się głównie piciem wódki i robieniem lewych interesów. To są pozostałości po WSI. Poza tym ABW nie ma żadnego kontrwywiadu na Bliskim Wschodzie.

Jak w takim razie możemy przeciwdziałać zagrożeniu terrorystycznemu?

Nie należy przyjmować uchodźców ze środowisk podejrzanych o działalność islamistyczną. Do Światowych Dni Młodzieży nie powinniśmy przyjmować żadnych muzułmańskich uchodźców. Trzeba spenetrować kontrwywiadowczo wszystkie aktywne środowiska islamistyczne w Polsce. W tej chwili w Krakowie, w okolicach hotelu Novotel powstaje restauracja, którą zakładają islamiści z Pakistanu, czyli najbardziej radykalni.

Czy w świetle tego, co mówiłeś już o kondycji polskich służb, to w ogóle możliwe?

Konieczna jest reorganizacja ABW. Ludzie, którzy nic nie robią, na niczym się nie znają powinni odejść. Oczywiście do Światowych Dni Młodzieży pozostało niewiele czasu i nie da się wszystkiego zrobić. Dlatego trzeba głośno mówić o zagrożeniu, żeby zmusić ich do jakiegokolwiek działania.

Rozmawiała BAŚKA PAJCHERT
pl.blastingnews.com

Pamiętny rok 2015

Tej daty nie będzie trzeba zapamiętywać, bo będzie tkwić w naszej pamięci, w życiu Europy jak zadra. A może odmieni ją nie do poznania?

Oto sceny jak z Apokalipsy, albo z krajów Trzeciego Świata po wojnie domowej czy kataklizmie. 4 września tysiące przybyszów z Afryki i Bliskiego Wschodu uformowało pochód, który wyruszył z Budapesztu i skierował się w stronę odległej o 150 kilometrów granicy z Austrią i z Niemcami. A potem przejęły ich pociągi i jedna grupa wylądowała w Monachium, inna w Wiedniu, jeszcze inna pojechała do Sztokholmu. W sumie około 15-16 tys. ludzi. Na wszystkich trzech dworcach na przybyłych czekali mieszkańcy Niemiec, Austrii i Szwecji, z szeroko otwartymi ramionami i banerami „*Willkomen*" i „*Welcome*", woda mineralna, żywność i odzież. A do Budapesztu przybywają kolejne tysiące, z Grecji, z całego Półwyspu Bałkańskiego. Biskup Wiednia z entuzjazmem opowiada o chrześcijańskich obowiązkach, twierdzi, że są to z pewnością *refugees*, uchodźcy, choć niemal 100 proc. przybyłych nie ma żadnego ID, więc nie wiadomo jak się nazywają, skąd pochodzą, a więc czy są uchodźcami czy imigrantami zarobkowymi, czy raczej zasiłkowymi. Bo przecież nie mówią po angielsku/niemiecku/szwedzku, nie mają wykształcenia ani zawodu, i liczą głównie na zasiłki. Zresztą, gdyby chodziło tylko o ucieczkę z kraju, gdzie toczy się wojna, zostawaliby w Czechach czy na Węgrzech – ale dobrze wiedzą o skromnym systemie opieki socjalnej w krajach postkomunistycznych, a zasobnym w zachodnich demokracjach.

Biskup Wiednia cieszy się: „To słynne europejskie wartości, wolność i poszanowanie praw człowieka, sprawiają że przyjeżdżają tak gromadnie – a nie tylko nasza relatywna zamożność". Pomarzyć, dobra rzecz. Ale kiedy zaczyna rezonować: „To nie jest najważniejsze, czy Europa może wchłonąć takie ilości ludzi...", zaczynamy się zastanawiać, a co mianowicie jest dla niego najważniejsze, i czy biskup Wiednia nie postradał z tej radości zmysłów. Bo jeśli przypomnieć, że Afryka liczy sobie około 1.1 mld mieszkańców, Bliski Wschód około 500 mln, a Europa także 500 mln, i przypomnieć, gdzie w Afryce czy na Bliskim Wschodzie toczą się wojny, panują niepokoje spowodowane operacjami dżihadystów, włos się jeży! Algeria, Libia, Mali, Nigeria, Pan Bóg raczy wiedzieć, co dzieje się w Nigrze i Czadzie, Somalia, Etiopia, Erytrea, i dalej – Afganistan, Pakistan, Syria, Irak, Liban, Palestyna, jak nie wojna, to zamieszki i próby opanowania działań islamistów przez wojska rządowe, oczywiście jeśli jeszcze takie istnieją. A więc ile milionów uchodźców możemy się spodziewać? 10, 30, 50?

We wszystkich krajach docelowych – Niemcy, Francja, Szwecja, Wielka Brytania – widać wielki rozdźwięk między oficjalną serdecznością i przyjaźnią w stosunku do przybyszów a reakcją „milczącej większości". W Niemczech spłonęło 27 ośrodków dla uchodźców, sprawcy nieznani. Z przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii badań wynika, ze 30 proc. obywateli w ogóle nie chce udzielić gościny większej liczbie uchodźców, niż ci którzy już na Wyspach są. 17 proc. nie zgadza się na zaproponowaną przez premiera Camerona kwotę 15 tys., twierdząc, że podatników na to nie stać, a 44 proc. zgadza się na taką liczbę, ale ani tysiąca więcej. Niektórzy posłowie konserwatywni pozwalają sobie na nieśmiałe protesty, a Daniel Hannan z okręgu Basingstoke powiedział w BBC nie bez racji: „Cóż, im więcej ludzi przygarniemy, tym jaśniejszy damy sygnał dla reszty szykującej się do drogi, żeby podjęli tę samą podróż". A w programie BBC Radio 4, Today, pewien radny z małego niemieckiego miasteczka powiedział z widocznym pesymizmem: „To trwa już dziesiątki lat. Kiedy to się wreszcie skończy? I gdzie jest Europa, bo ja przestaję ją widzieć?" (7 IX 2015).

A David Cameron popisuje się swoim lewicowym liberalizmem i właśnie oznajmił: „Wielka Brytania będzie działała, kierując się głową i sercem" – i zapowiedział przyjęcie 15 tys. refugees. Ale tylko z obozów uchodźców syryjskich na granicy Syrii i państw sąsiedzkich, „prawdziwych uchodźców", a nie „imigrantów zarobkowych". Zapowiedział także, iż na kryzys humanitarny przeznaczył 1 mld funtów, „największa dotacja ze wszystkich krajów Unii". Twierdzi, że „jego plan jest lepszy niż unijny" i ostrzega przed niebezpieczeństwami realizacji innych planów pomocowych. „Przyjmowanie wszystkich kandydatów na imigrantów z otwartymi ramionami, tylko zachęca innych do podjęcia tej samej, bardzo niebezpiecznej drogi. No i nie daje żadnej gwarancji, że przybysze to *refugees*, a nie imigranci zasiłkowi". Widać tu wyraźną niechęć Camerona do kooperacji z państwami Unii, po drugie Wielka Brytania – prócz okolic Channel Tunnel – nie jest jak Francja i Niemcy narażona na bezpośredni „marsz nieuprzywilejowanych", no i jako państwo wyspiarskie, może sobie na pewną nonszalancję pozwolić. Zapytany o ewentualne włączenie się w działania zbrojne przeciw Państwu Islamskiemu, twierdzi ostrożnie, że „sytuacja jest rozwojowa, będzie się bacznie przyglądał i reagował adekwatnie" – cokolwiek by to miało znaczyć. I dodał „no i jeśli osiągniemy w Izbie Gmin generalny *consensus*". A generalnego *consensus* nie będzie, bo najprawdopodobniej liderem Labour Party zostanie reprezentant Jeremy Corbyn (poglądy polityczne: „lewica kawiorowa"), i utrupi ten pomysł, jak Partia Pracy zrobiła to już 10 sierpnia.

Jedynie w Niemczech w tym roku spodziewanych jest około 800 tys. imigrantów. Ogromna większość z nich to muzułmanie. Kiedy Maurowie w VIII wieku zagnieździli się na Półwyspie Pirenejskim, Hiszpanie nie mogli się ich pozbyć przez 700 lat. Tyle trwała rekonkwista. W XIII wieku my sami z trudem odparliśmy inwazję Tatarów pod Legnicą, a Jan III Sobieski pod Wiedniem w wieku XVII. A teraz witamy ich z otwartymi ramionami i chcemy dzielić się przestrzenią życiową, naszymi europejskimi osiągnięciami socjalnymi – które im się podobają, i wartościami – które podobają się mniej, albo wcale. A zaczęło się całkiem niewinnie – od rewolucji kontrkulturowej, przesunięcia na lewo myślenia o państwie, prawie, wartościach moralnych i mniejszościach etnicznych. A potem lewica liberalna zrobiła wszystko, żeby ten trend nie tylko utrzymać, ale i rozwijać. Labour Party, liberalni demokraci, BBC, „Guardian" i „Independent", opanowane przez lewicę samorządy miejskie i wiejskie w Wielkiej Brytanii – a podobny proces przebiegał w Niemczech, Francji i Szwecji, etc. I za każdym razem, kiedy lewica sprawowała władzę, pakowała więcej pieniędzy w system zasiłków, dodatków i przywilejów dla „nieuprzywilejowanych", także mniejszości etnicznych. A że w czasach Internetu, Twittera i Facebooka wieści szybko się rozchodzą, zapewne dlatego największe powodzenie pośród „*refugees*" mają Niemcy, Wielka Brytania i Szwecja. Budapeszt opustoszał, ale nie na długo. Wkrótce wymaszerują stamtąd kolejne tysiące „uchodźców".

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

8 listopada 2015

VII DZIEŃ SOLIDARNOŚCI Z KOŚCIOŁEM PRZEŚLADOWANYM

SYRIA

NASZA OBOJĘTNOŚĆ ZABIJA CHRZEŚCIJAN W SYRII

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE
www.pkwp.org

300 TYS. tyle osób zmarło na skutek obrażeń odniesionych w wyniku wojny

12 MLN to liczba wewnętrznych i zewnętrznych syryjskich uchodźców

6,2 MLN Syryjczyków głoduje w wyniku konfliktu zbrojnego

5,6 MLN dzieci ucierpiało podczas wojny

91 kościołów zostało zniszczonych

Wyślij SMS o treści RATUJE pod nr 72405

Koszt 2,00 zł + VAT (2,46 zł brutto).
Akcja SMS-owa trwa od 01.11.2015 do 31.01.2016

T · · PLAY orange plus heyah

Pomagać mądrze na miejscu

Z ks. prof. UKSW dr. hab. Waldemarem Cisło, dyrektorem Sekcji Polskiej Pomoc Kościołowi w Potrzebie rozmawia Stanisław Żaryn z portalu wPolityce.pl.

Stanisław Żaryn: W lutym brytyjskie media doniosły, że Państwo Islamskie grozi Europie falą masowych migracji, które zostaną przez ISIS wykorzystane do lokowania terrorystów na naszym kontynencie. Dziś widzimy falę imigracji do Unii Europejskiej, a papież Franciszek wzywa do przyjmowania uchodźców. Jak chrześcijanie powinni się odnosić do tego problemu?

Ks. Waldemar Cisło: Pamiętajmy również o wcześniejszym apelu przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, który został wzmocniony obecnie słowami papieża Franciszka. Jako chrześcijanin te odezwy odczytuję, jako nakaz Ewangelii: głodnych nakarmić, spragnionych napoić, bezdomnych w dom przyjąć. Na pewno chrześcijanie nie uchylają się od tego obowiązku. Jeśli ktoś stanie pod naszym domem, głodny czy spragniony, na pewno pomożemy. Tak przecież już się dzieje, tak było w Erbilu w Iraku, gdzie 100 tys. osób stanęło na ulicach. Miejscowy arcybiskup pisał do naszej organizacji z pytaniem co robić. Otworzono wtedy kościoły i przyjęto uchodźców. Kościół zawsze się tak zachowuje.

Dziś ci ludzie przyjeżdżają z zupełnie innych kręgów kulturowych do Europy, a mieszkańcy krajów europejskich czują zagrożenie. Słusznie?

To druga strona tego problemu. Mamy przecież, jako osoby myślące, świadomość, że należy oczekiwać od rządu, by dbał o nasze bezpieczeństwo. A ci, którzy trafiają do Europy, to nie tylko ludzie, którzy uciekają ratując życie. Ludziom, którzy są zagrożeni należy pomóc – rodzinom, dzieciom, kobietom. Wiemy, że chrześcijan morduje się w Iraku, czy Syrii. Trudno jednak nie mieć obaw związanych z migracjami. Protesty związane z migracjami są już widoczne, obawy również mają Polacy. To trzeba zrozumieć, ludzie mają prawo się obawiać. Przecież wszyscy widzą, co dzieje się w Syrii czy Iraku. My nie chcemy tego u siebie.

Widać coraz mocniejszą presję na Polskę, by przyjmowała uchodźców. Mówi się, że każda parafia może przyjąć kogoś, że to nie powinien być kłopot...

Dziś przekonuje się nas, że mowa o stosunkowo niewielkiej liczbie. Pytano mnie, ile parafii jest w Polsce. A gdy powiedziałem, że około 11 tys., usłyszałem, że w takim razie można spokojnie przyjąć w Polsce około 60 tys. osób. Parafie są rzeczywiście w stanie nakarmić tyle ludzi. Ale co potem? Przecież Kościół czy parafie nie mają środków, by utrzymywać tych ludzi latami. A choćby nauka języka polskiego to sprawa na lata. Bądźmy realistami. Oczywiście trzeba udzielać doraźnej pomocy, bez względu na to, z kim mamy do czynienia. W Holmes, czy Aleppo karmimy każdego potrzebującego, w szpitalach nie pytamy, czy ktoś jest muzułmaninem czy chrześcijaninem. Pomagamy każdemu. Przykro, że nie ma tu wzajemności.

Papież jednak wzywa jednoznacznie do pomocy i przyjmowania uchodźców.

W sensie moralnym spełnimy wołanie papieża. Powiem, że Kościół w Polsce od 2009 roku obchodzi Dzień Solidarności z Kościołem Prześladowanym. Zbieramy pieniądze dla Syrii i Iraku. Przekazaliśmy do tej pory już 6 mln złotych, by tym ludziom pomóc na miejscu. Jak na polskie możliwości to nie jest mało. To bardzo duży wysiłek polskiego Kościoła. My wciąż przekazujemy te pieniądze, pomagamy na miejscu. W Erbilu pomagamy dzieciom wyjść z wojennej traumy. Kościół pomaga mądrze, na miejscu. W Erbilu jest obóz, w którym mieszkało ponad 700 osób. Dziś już tylko 500. W ciągu roku 200 osób się wyprowadziło, znalazło pracę, mieszkanie i pozostało na miejscu.

Czy w księdza ocenie jest dziś możliwość odsiania tych, którzy przybywają do Europy z wrogimi zamiarami? Czy Polska może sprawić, że trafią do nas rzeczywiście jedynie ludzie pewni, którzy uciekają przed śmiercią?

Terroryści to nie są idioci. Jeśli takie armie i służby, jak amerykańskie czy z krajów arabskich nie potrafiły sobie poradzić z tym problemem, to nasze służby sobie mają poradzić? To naiwne.

Rząd Polski jest dziś pod presją i musi podjąć decyzję, czy godzi się na przyjęcie dziesiątek tysięcy uchodźców. Co ksiądz doradziłby władzy w tej sprawie?

Przede wszystkim należy pytać rząd, jak Polsce poszło z Polakami z Donbasu. Czy to samo chcą powtórzyć? Nie mamy przecież ośrodków dla uchodźców, nie mamy przygotowanych służb. Nie ma zrozumienia, na czym polegają różnice kulturowe i co z nich wynika. Słyszeliśmy, co się działo w ośrodkach dla imigrantów. Wiemy, że w Europie imigranci próbowali w tych ośrodkach wprowadzać prawo szariatu. Z takimi ludźmi mamy do czynienia. Musimy brać na poważnie obawy naszych obywateli.

Dziś Unia Europejska mówi o 160 tys. emigrantów. Czy to już koniec? Czy należy się przygotować na znacznie większą falę?

Należy sobie na początek postawić pytanie. Dziś mówi się nawet o fali 5 mln uciekinierów z Syrii. Tyle osób chce się stamtąd wydostać. Kolejnych kilka milionów ludzi chce uciekać z Iraku. Kolejne setki milionów chcą uciec z Afryki. Czy Europa jest gotowa na przyjęcie tych ludzi? Jeśli uznamy, że tak, to działajmy i przyjmujmy ich. Ale rzeczywiście jesteśmy na to gotowi? Bo przygotowani na pewnie nie jesteśmy.

Czy jest szansa pomóc im na miejscu? Czy takie działania mają szanse powodzenia?

Właśnie tak powinniśmy działać. Organizacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie już kilka lat temu zwracała światu uwagę na to, co działo się w Syrii i Iraku. To spotkało się jednak z milczeniem. Unia Europejska nie była nawet w stanie przyjąć stanowiska bardzo radykalnie potępiającego rzezie i pogromy chrześcijan. Dziś ten problem mamy u siebie. Gdybyśmy wtedy reagowali, sytuacja byłaby zupełnie inna. Warto również wskazać na hipokryzję USA w tej sprawie. Amerykanie zdestabilizowali sytuację na Bliskim Wschodzie. A teraz mówią, że życzą Unii Europejskiej pozytywnego rozwiązania problemu migracji. To jest postawa kogoś, kto „namieszał"?

Oni rozwalili Bliski Wschód, umyli ręce, a dziś patrzą jak idioci co się dzieje.

Rozmawiał STANISŁAW ŻARYN

W obronie dobrego imienia Polski

Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom, której jestem prezesem, została założona w 2013 roku w odruchu sprzeciwu wobec tego, co dzieje się z wizerunkiem Polski i Polaków od kilku już dekad – oskarżaniem Polski o sprawstwo Holokaustu, a co w ciągu ostatnich ośmiu lat nasiliło się bardzo, i to nie tylko w świecie, w światowych mediach, ale także w Polsce.

Paradoksalnie, zakładając RDI myślałem, że 100 proc. czasu będę przeznaczać na interwencje za granicą, w mediach amerykańskich czy niemieckich*. Okazuje się jednak, że również trzeba działać w Polsce, ponieważ dla niektórych środowisk, szczególnie w mediach i kinematografii oraz w wymiarze sprawiedliwości dobre imię Polski nie jest wartością. Wystarczy wspomnieć filmy „Ida", „Pokłosie" lub skandaliczne wyroki polskich sądów w sprawie „polskich obozów koncentracyjnych" lub ostatni – że artykuł 133 kk mówiący o zniesławieniu narodu nie obowiązuje na Facebooku.

Przyczyny ataków na Polskę

O przyczynach zniesławiających ataków na Polskę wiemy już sporo. Po pierwsze – Niemcy chcą przerzucić na Polaków hańbę II wojny światowej. Ich dążenie do tego jest wynikiem świadomej pracy nad zmianą negatywnego wizerunku Niemców po II wojnie światowej – i to im się udało.

Po drugie – pewne środowiska żydowskie mają interes w otrzymaniu od Polski tzw. „odszkodowań". Uważamy za oczywiste, że nie może być mowy o restytucji mienia ze względu na pochodzenie etniczne. W Polsce istnieje prawo spadkowe i do spadkobrania potrzebni są spadkobiercy. Nie mogą być nimi żadne organizacje o niejasnej legitymacji. Takim żądaniom przeciwstawiamy się z całą mocą. Jeśli ktoś ma jakieś żądania majątkowe będące wynikiem II wojny światowej niech uda się z nimi do Berlina albo Moskwy.

Po trzecie – świat wielkiego korporacyjnego biznesu, któremu zależy na utrwaleniu tzw. rozwoju zależnego Polski (który jest w istocie neokolonializmem) ma interes w kształtowaniu takiego wizerunku Polski wśród samych Polaków, aby nie mieli dobrego zdania sami o sobie – jest to tzw. pedagogika wstydu. Taka postawa ułatwia zarządzanie Polakami – najlepiej – wykonawcami prostych czynności.

Chciałbym jednakże zwrócić uwagę na czwartą przyczynę, często nie dostrzeganą lub pomijaną, a która dotyka bezpośrednio nie kwestii sentymentalno-patriotycznych, lecz czystej geopolityki – miejsca Polski w sojuszu NATO, zobowiązań sojuszniczych względem Polski oraz trwałości miejsca niepodległej Polski na mapie Europy.

Przypisywanie Polsce zbrodni niemieckich z czasów II wojny światowej, utrwalenie w wyobrażeniach społeczeństw o Polakach wizerunku spadkobierców zbrodniarzy dostarczy pretekstu do unieważnienia zobowiązań sojuszniczych wynikających z art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego, który jest przecież ściśle polityczny i nie ma w nim automatyzmu. Podejmowanie decyzji o pomocy militarnej dla napadniętego członka Sojuszu będzie się wiązało także z politycznymi rozważaniami o politycznej opłacalności takiej pomocy, o odpowiedzialności polityków wobec wyborców. Kto podejmie decyzję o obronie Polski, skoro w powszechnej świadomości będzie to kraj morderców, spadkobierców katów z Auschwitz?

I tu należy szukać tropów kampanii zniesławiającej, która trwa i się nasila. Komu zależy na tym, żeby unieważnić zobowiązania sojusznicze NATO wobec Polski? Chyba wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie.

Dlatego potrzebna jest sprawna, polska, państwowa systemowa polityka historyczna, której istotnym elementem będzie akcja antydyfamacyjna, walka o dobre imię Polski.

Polityka historyczna

Polska polityka historyczna to nie tylko kwestia upamiętnienia wydarzeń, osób i dzieł z przeszłości. To także propagowanie narodowych wartości, polskiego interesu narodowego oraz tego, co wyjątkowe w polskości – umiłowania wolności, solidarności, polskiego demokratyzmu i unikalnego egalitaryzmu – wszystko to jest w polskim dziedzictwie.

Prowadzenie polityki historycznej ma dwa wymiary – wewnętrzny, wewnątrzpolski i zewnętrzny międzynarodowy. W obu wymiarach, musi to być polityka systemowa, to znaczy dążąca do wyznaczonych celów, z wyznaczonymi w czasie priorytetami i z określonymi zasobami do wykorzystania.

Spróbuję w kilku zdaniach nakreślić te cele, priorytety rozłożone w czasie i zasoby.

Przede wszystkim w wymiarze wewnętrznym systemowa polityka historyczna musi doprowadzić do utrwalenia polskiego poczucia tożsamości narodowej w oparciu o polską tysiącletnią tradycję. Tożsamość narodowa nieodłącznie związana jest z dumą z osiągnięć przodków i polskiej cywilizacji. Ta duma z kolei jest niezbędna do tego, żeby skutecznie budować trwałe podstawy budowli państwowej. Nie można zbudować trwałego i silnego państwa, jeśli obywatele Polski będą się czuli gorsi i mniej warci od Niemców czy Rosjan. Niestety, współcześnie powszechne są postawy zawstydzenia czy kompleksów z powodu bycia Polakami, bezkrytycznie przyswajane są obce wzory – zachowania, kultury czy zarządzania.

Trzeba to zmienić i polityka historyczna jest narzędziem tej zmiany. Poczucie dumy narodowej, wewnętrznej mocy Polaków można odnaleźć nie tylko przez przybliżanie współczesnym Polakom naszej bohaterskiej przeszłości (co trzeba robić przede wszystkim poprzez filmy i narzędzia przekazu współczesnej pop kultury) lecz także przez mocny pokoleniowy „przekaz kontynuacyjny" – polskość ostała się pomimo zaborów, wojen, sowieckiej okupacji, bo ma w sobie „to coś", co powoduje, że jest niezniszczalna, że nawet jeśli wydaje się, że jeszcze krok, a przepadnie – to mimo wszystko odradza się.

W wymiarze zewnętrznym polska polityka historyczna musi być narzędziem utrwalającym polską niepodległość i zasadność istnienia państwa Polaków. Narody świata muszą mieć świadomość

nieodzowności istnienia Polski dla pokoju w Europie, muszą mieć świadomość naszego dorobku i skojarzenia z „polskimi obozami koncentracyjnymi" muszą być zastąpione skojarzeniami pozytywnymi, zgodnymi z prawdą historyczną. To jest cel podstawowy i najważniejszy.

Następnym celem polskiej polityki historycznej powinno być podwyższenie statusu Polaków mieszkających w różnych krajach świata. Polityką historyczną trzeba spowodować, że *„polish jokes"* staną się trudne do opowiadania, bo nie można wyśmiewać się z narodu bohaterskiego i tak doświadczonego przez historię i sąsiadów. Narodu, który ocalił cywilizację Zachodu przed najazdem islamu w 17. wieku i bolszewią w wieku 20. I który dał „Solidarność" – uniwersalną receptę na bolączki współczesnego świata.

Droga osiągnięcia celów

Systemowa państwowa polityka historyczna musi mieć swoje priorytety rozłożone w czasie, uwzględniające wielkie rocznice (chociażby 100-lecie Bitwy Warszawskiej) jako jej kamienie milowe. W wymiarze pięciu lat użycie w mediach określeń zniesławiających powinno stać się sporadyczne i wyjątkowe, a wiedza na temat polskiego wkładu w pokonanie niemieckiego hitleryzmu powinna być powszechna. W wymiarze 10 lat – społeczeństwa Europy Zachodniej i USA powinny traktować prawdę o Polsce i polskim dorobku jak coś oczywistego, a określenie „polski" powinno mieć jednoznacznie pozytywną konotację.

Aby te cele razem osiągnąć niezbędne są odpowiednie kompetencje polityczne, fundusze i zespoły ludzi, którzy doprowadzą do osiągnięcia tych celów.

Polska musi przeznaczyć środki na wielopłaszczyznową i stałą kampanię promocyjną, i antydyfamacyjną, aby zakreślone wyżej cele osiągnąć. Zatrudnienie wielkich kancelarii prawnych do ścigania oszczerców kosztuje, tak samo jak kosztuje produkcja filmowa o polskiej historii – i to produkcja hollywoodzka. Organizowanie konferencji, podróży studialnych dla dziennikarzy i autorów podręczników, ogłoszenia prasowe, produkcja gier komputerowych z wykorzystaniem polskich realiów, stypendia dla studentów z całego świata, anglojęzyczny kanał telewizyjny nadający informacje z Polski i Europy Środkowowschodniej – to wszystko będzie kosztować. Lecz jeśli zestawimy te wydatki z korzyściami takimi jak, wzmocnienie pozycji negocjacyjnej polskiego biznesu, wzrost prestiżu państwa, szacunek innych narodów dla Polaków – okaże się, że wydatkowane fundusze zwracają się w dwójnasób – chociażby poprzez zwiększenie polskiego eksportu. A przede wszystkim korzyścią będzie utrwalenie polskiej niepodległości i trwałości państwa, która, pamiętajmy, nie jest taka oczywista dla np. Władimira Putina. A są także tacy, którzy chcieliby otrzymać od Polski jakieś „odszkodowania". Nie ośmielą się, jeśli Polska będzie państwem z prestiżem i mocą.

I na koniec – żeby to wszystko osiągnąć, niezbędne jest skupienie się Polaków wokół tych celów i programu działania. Polaków w kraju i za granicą. Jest nas w sumie 60 milionów. Państwo polskie musi umieć tę szansę wykorzystać. Nie może się odwracać od Polonii, ani też – co gorsza – próbować rozgrywać jedne środowiska przeciw drugim. Jako Polacy mamy obowiązki wobec Polski i żaden partyjny, prywatny czy środowiskowy interes nie jest tu ważny.

Mamy nadzieję, że taka polityka historyczna będzie priorytetem nowego rządu i wiemy, że jest priorytetem dla nowego Prezydenta. Polska jest jedna, nie mamy Polski zapasowej. I praca na rzecz zwiększenia jej prestiżu, praca przeciw zniesławianiu Polski jest naszym zadaniem, z którego rozliczą nas przyszłe pokolenia.

MACIEJ ŚWIRSKI

*** Tekst przemówienia Macieja Świrskiego na krajowym Zjeździe Dyrektorów Kongresu Polonii Amerykańskiej w Waszyngtonie, 25 lipca 2015 r. Śródtytuły pochodzą od redakcji.**

Petycja do Prokuratora Generalnego Andrzeja Seremeta

Szanowny Panie Prokuratorze Generalny!

Fundacja Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom złożyła w dniu 17 XI 2015 roku w Prokuraturze Rejonowej Warszawa Śródmieście doniesienie o popełnieniu przestępstwa przez Jana Tomasza Grossa. Sprawa ta została oznaczona sygnaturą 1DS 911/15/MS. Wiemy też, że zawiadomienia w tej samej sprawie złożyli także inni obywatele.

Jan Tomasz Gross w swoim tekście opublikowanym najpierw na łamach portalu „Project Syndicate", a później na stronach internetowych niemieckiego pisma „Die Welt" napisał kłamstwa na temat Polaków, na temat naszej historii. Pomiędzy różnymi kłamliwymi stwierdzeniami znalazło się zdanie, w którym Gross stwierdza, że podczas II wojny światowej „Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców". Jest to kłamstwo, które opiera się na fałszywych obliczeniach Grossa, niepotwierdzonych przez żadnego z poważnych badaczy. Co więcej – znając prawdziwe wielkości strat niemieckich w wojnie z Polską w 1939 roku odbiorca tego tekstu nabiera przekonania, że to Polacy są winni masowym mordom Żydów, w ilościach przewyższających niemieckie straty. W ten sposób Gross znieważył Naród Polski czyli popełnił przestępstwo opisane w art. 133 Kodeksu karnego.

Panie Prokuratorze Generalny!

Prosimy Pana o objęcie osobistym nadzorem postępowanie toczące się w Prokuraturze Rejonowej Warszawa Śródmieście. Jesteśmy przekonani, że prokuratorzy tej Prokuratury rzetelnie wykonują swoje obowiązki, jednakże waga sprawy i wzburzenie społeczne wywołane czynem J. T. Grosa wymagają, aby sprawa ta była prowadzona ze szczególną pieczołowitością oraz bez nacisków wpływowych środowisk, dla których J. T. Gross jest idolem.

Ochronę przed takimi naciskami może zapewnić tylko autorytet Prokuratora Generalnego, którego zadaniem jest, zgodnie z art. 3 „Ustawy o prokuraturze", z dnia 20 czerwca 1985 r. z późn. zmianami, „podejmowanie środków przewidzianych prawem, zmierzających do prawidłowego i jednolitego stosowania prawa w postępowaniu sądowym, administracyjnym, w sprawach o wykroczenia oraz w innych postępowaniach".

Bez wątpienia Pański osobisty nadzór nad tym postępowaniem przyczyni się do „prawidłowego i jednolitego stosowania prawa" bez względu na osobę sprawcy. Sprawcy, który od lat znieważa Polaków przypisując im niepopełnione zbrodnie lub w sposób nieuprawniony wyolbrzymia jednostkowe zdarzenia, równocześnie ciesząc się osłoną medialną. Próby pytań o metodologię, którą posługuje się Gross lub też wskazanie oczywistych kłamstw w jego publikacjach określane jest przez sprzyjające mu środowiska jako „antysemityzm" lub „ksenofobia". Dlatego też niezbędny jest osobisty nadzór Pana Prokuratora nad tym postępowaniem, aby sprawiedliwości stało się zadość, a prokuratorzy prowadzący sprawę nie byli poddawani naciskom mediów.

Z poważaniem
Maciej Świrski
Prezes Fundacji Reduta Dobrego Imienia
– Polska Liga przeciw Zniesławieniom

Pomnik Walki i Męczeństwa na terenie b. KL Stutthof

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Niemieckie obozy na ziemiach okupowanej Polski w latach 1939-1945

Napadając na Polskę we wrześniu 1939 roku, Niemcy hitlerowskie planowały unicestwić nie tylko państwo, ale także naród polski. Polaków, którzy aktywnie działali na rzecz polskiej państwowości, zamierzano wymordować, pozostałych obrócić w niewolników. W celu realizacji tych planów okupant od samego początku tworzył na ziemiach polskich obozy.

Pierwsze obozy

Jako pierwsze – już w październiku 1939 roku – powstały tzw. prowizoryczne obozy koncentracyjne. Zostały one zorganizowane przez wkraczającą do Polski niemiecką policję bezpieczeństwa w Poznaniu (**Konzentrationslager Posen – Fort VII**) oraz w Łodzi-Radogoszczu (**Konzentrationslager Radogosch**). W obozach tych osadzano Polaków, którzy organizowali lub mogli organizować opór ludności cywilnej przeciwko niemieckiemu najeźdźcy.

Niemal jednocześnie niemiecka policja tworzyła, przeznaczone jako miejsca uwięzienia Polaków, przejściowe obozy dla polskich jeńców cywilnych i obozy dla internowanych. Obozy takie powstały między innymi w Inowrocławiu (Übergangslager in Hohensalza), Działdowie (Durchgangslager für polnische Zivilgefangene in Soldau), Gdyni (Internierungslager Gotenhafen), Gdańsku (Übergangslager Danzig-Victoria), Sztutowie (Zivilgefangenenlager Stutthof), Bydgoszczy (Internierungslager Bromberg).

...osadzono w nich ponad 100 tys. Polaków (...) zostali oni rozstrzelani w 196 miejscach masowych egzekucji

W ciągu kilku miesięcy istnienia prowizorycznych obozów koncentracyjnych, obozów dla polskich jeńców cywilnych i obozów dla internowanych osadzono w nich ponad 100 tys. Polaków. Ich los był tragiczny: po okrutnych przesłuchaniach zostali oni rozstrzelani w 196 miejscach masowych egzekucji, głównie w lasach, na przykład w Lasach Piaśnickich koło Wejherowa, Lasach Szpęgawskich koło Starogardu Gdańskiego, Lasach Kaliskich koło Kartuz, Lesie Barbarka koło Torunia, Lasach Dopiewca koło Poznania, Lasach Łagiewnickich i Lasach Lućmierskich pod Łodzią.

Obozy koncentracyjne

Na okupowanych ziemiach Polski niemiecki najeźdźca organizował także obozy koncentracyjne. Pierwszy obóz koncentracyjny na terenie okupowanej Polski, obliczony na 30 tys. więźniów, założył okupant w maju 1940 roku w Oświęcimiu na Śląsku – był to **KL Auschwitz**. Został on utworzony w związku z masowymi aresztowaniami Polaków, które miały zapobiec rozwojowi ruchu oporu, ogarniającemu coraz szersze kręgi ludności. Do końca 1940 roku w obozie osadzono blisko 8 tys. Polaków podejrzanych o udział w konspiracji. KL Auschwitz miał ponad 40 podobozów, których więźniowie wykonywali prace przymusowe dla niemieckich koncernów.

Mapa niemieckich obozów według Rudolfa Hössa (fragment)

W sierpniu 1941 roku uruchomiono kolejny obóz koncentracyjny – **KL Lublin**, zwany potocznie Majdankiem – od dzielnicy Lublina, w której został usytuowany. Obóz był przeznaczony dla 25-50 tys. więźniów. Również w 1941 roku zaczął funkcjonować obóz koncentracyjny w Brzezince – **KL Birkenau**, do którego przeniesiono więźniarki, przebywające dotychczas w obozie męskim KL Auschwitz, a także obóz koncentracyjny w Rogoźnicy – **KL Gross-Rosen**. Natomiast w styczniu 1942 roku status obozu koncentracyjnego (**KL Stutthof**) uzyskał istniejący w Sztutowie koło Gdańska obóz specjalny policji bezpieczeństwa – Sonderlager Stutthof. Pierwszymi więźniami tego obozu byli członkowie ruchu oporu z Pomorza. KL Stutthof i KL Gross-Rosen miały 119 podobozów na terenie okupowanej Polski i kilkanaście podobozów w Prusach Wschodnich, Czechach i Niemczech. Więźniowie pracowali przeważnie przy budowie dróg oraz w fabrykach zbrojeniowych.

Załogę obozów koncentracyjnych stanowili funkcjonariusze SS. Funkcje w obozowych warsztatach, magazynach i biurach sprawowali niemieccy więźniowie kryminalni, przysyłani z obozów istniejących na terenie Niemiec.

W kolejnych latach wojny i okupacji władze III Rzeszy rozszerzyły zadania obozów koncentracyjnych utworzonych na ziemiach polskich. Poza funkcją przymusowej izolacji, realizowano w nich program zagłady Żydów, a także wyniszczania określonych grup więźniów.

Pierwszą tego typu grupę, skierowaną w końcu 1941 roku do KL Auschwitz w celu wyniszczenia, stanowili jeńcy radzieccy. 10 tys. jeńców zostało zamorzonych głodem.

Do KL Auschwitz zwożono również w celu eksterminacji Romów z całej Europy. Wydzielono dla nich część obozu i tam umieszczano całe rodziny, które następnie mordowano w komorach gazowych.

Niemcy przystąpili do realizacji programu zagłady Żydów (...) w ciągu doby potrafiono zagazować i spalić w krematoriach ok. 9 tys. osób

Od 1942 roku, kiedy Niemcy przystąpili do realizacji programu zagłady Żydów (tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej – „Endlösung der Judenfrage"), do KL Auschwitz zaczęto kierować ludność żydowską z całej Europy. Po przybyciu na miejsce Żydów mordowano za pomocą cyklonu B lub gazów spalinowych. W ciągu doby potrafiono zagazować i spalić w krematoriach około 9 tys. osób. Ludność żydowską z okupowanej Europy kierowano także na zagładę do KL Lublin, KL Stutthof i KL Gross-Rosen.

Obozy zagłady

Oprócz obozów koncentracyjnych, w których realizowano program Zagłady, zostały przez okupanta na ziemiach polskich utworzone w 1942 roku **obozy zagłady w Chełmnie nad Nerem, Bełżcu, Sobiborze i Treblince**. Załoga tych obozów składała się z funkcjonariuszy gestapo oraz Sonderkommando SS. Obozy zagłady utworzył okupant w celu wyniszczenia ludności żydowskiej zamieszkującej Europę. Mordowano w nich także ludność cygańską, jeńców radzieckich oraz Polaków udzielających pomocy Żydom.

Do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem jako pierwsze przybyły transporty z ludnością żydowską z Kraju Warty. Ofiary natychmiast zaganiano do ciężarówek – ruchomych komór gazowych, do których wpuszczano spaliny z rur wydechowych. Zwłoki zamordowanych odwożono do pobliskiego lasu i tam palono na stosach drewna. Następnymi ofiarami były dzieci rodzin polskich z Zamojszczyzny oraz Polacy z zakładów opieki społecznej w Łodzi i Włocławku. W Chełmnie nad Nerem ginęli także jeńcy radzieccy oraz Żydzi z Niemiec, Austrii, Francji, Belgii i Holandii. Ogółem w obozie niemiecki okupant zamordował od 200 do 300 tys. ludzi.

Do obozów zagłady w Bełżcu i Sobiborze, utworzonych we wschodniej części okupowanej Polski, pierwsze transporty przybywały z ludnością żydowską z gett południowych i wschodnich dystryktów Generalnego Gubernatorstwa, to jest z dystryktu krakowskiego, lubelskiego, radomskiego i Galicji. Następne transporty nadchodziły z ZSRR, Austrii, Belgii, Czech, Danii, Holandii, Francji, Niemiec, Norwegii, Rumunii i Węgier.

Do obozu w Bełżcu przywożono także Polaków z dystryktu galicyjskiego, głównie ze Lwowa. Do obozu w Sobiborze przybywały natomiast transporty polskich dzieci z Zamojszczyzny. Ogółem w obozie w Bełżcu zamordowano około 600 tys., natomiast w Sobiborze około 250 tys. Żydów.

Obóz zagłady Treblinka, założony na północnym Mazowszu, służył zagładzie ludności żydowskiej deportowanej z getta warszawskiego oraz gett założonych przez okupanta w innych miastach dystryktu warszawskiego. Przywożono tutaj także Żydów z Niemiec, Austrii, Francji, Belgii, Jugosławii, Grecji oraz ZSRR. Ogółem w obozie Niemcy zamordowali około 750 tys. Żydów.

Obozy zagłady zostały zlikwidowane jesienią 1943 roku i w pierwszych miesiącach 1944 roku. Zniszczono komory gazowe, rozebrano baraki, a tereny, na których stały obozy, zaorano i obsiano trawą.

Pozostałe kategorie obozów

Obozy zagłady, obozy koncentracyjne i inne obozy policji bezpieczeństwa nie wyczerpują listy obozów utworzonych przez niemieckiego okupanta na ziemiach polskich. Poza obozami podległymi policji bezpieczeństwa utworzono tysiące obozów podległych cywilnym organom władzy. Były to przejściowe obozy przesiedleńcze, obozy pracy przymusowej i obozy karne.

Najliczniejszą grupę stanowiły **obozy pracy przymusowej**, służące eksploatacji ludzkich zasobów Polski. Pierwsze powstały na przełomie 1939 i 1940 roku. Były to obozy pracy dla Żydów. Ich likwidacja następowała sukcesywnie w latach 1942-1944, w okresie realizacji zagłady ludności żydowskiej.

Dla Polaków okupant od grudnia 1940 roku organizował odrębne obozy pracy przymusowej. Osadzeni w nich ludzie pracowali przy budowie dróg i obwałowaniach rzek, wykonywali roboty rolne, regulacyjno-melioracyjne i fortyfikacyjne. W obozach tych panowała wysoka śmiertelność spowodowana prymitywnymi, niehigienicznymi warunkami bytu, niedostatecznym wyżywieniem, ciężką pracą i terrorem. Obozy pracy przymusowej dla Polaków funkcjonowały do 1945 roku.

Przejściowe obozy przesiedleńcze służyły wysiedleniom ludności polskiej z terenów polskich, które miały ulec całkowitej germanizacji. Osadzone w tych obozach rodziny były rozdzielane. Młodzi i zdrowi byli kierowani na roboty przymusowe do Rzeszy. Ludzie sędziwi i chorzy oraz dzieci pozostawali w oboza ch. W ciągu pięciu lat akcji wysiedleńczej niemiecki okupant osadził w tych obozach ponad 1 mln 200 tys. Polaków.

Obozy karne należały do odrębnej kategorii obozów. Były miejscami odbywania kary połączonej z wykonywaniem pracy.

MARIA WARDZYŃSKA

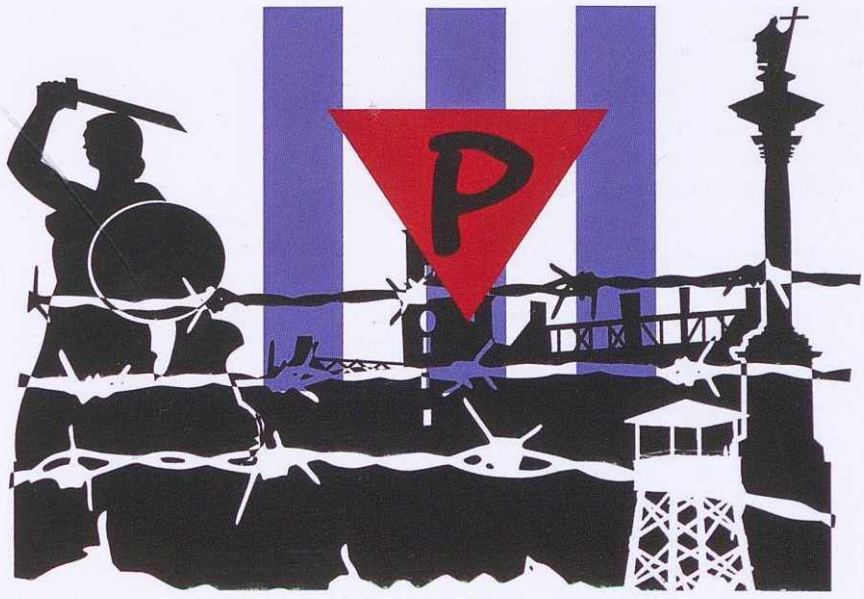

Konzentrationslager Warschau

Piękno kaligrafii w polskiej Konstytucji

FOT. © MARCIN OBARA, PAP / GRAFMAG.PL

Z Ewą Landowską rozmawia Aleksandra Wolska.

Mówi się, że pismo odręczne zanika i jest to trend, który można zaobserwować we współczesnym świecie. Z drugiej jednak strony, otoczeni treściami złożonymi za pomocą komputerów dostrzegamy zalety innych sposobów pracy z tekstem, takich jak na przykład kaligrafia. To ona, oprócz muzyki, jest największą pasją mojej rozmówczyni – Ewy Landowskiej. Okazja jest o tyle wyjątkowa, ponieważ Ewa zajęła się ostatnio wykonaniem wyjątkowego zlecenia – przepisania Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, która ma być ozdobą Polskiego Parlamentu.

Aleksandra Wolska: Przede wszystkim wielkie gratulacje! Zdobycie takiego prestiżowego zlecenia jest nie lada osiągnięciem. Jak udało Ci się je zdobyć? Kto był tego inicjatorem?

Ewa Landowska: Dziękuję, jest mi bardzo miło. Inicjatorem tego przedsięwzięcia była Kancelaria Sejmu, od której otrzymałam telefon z zapytaniem o możliwość wykonania takiej pracy, a potem już konkretną propozycję. Szczerze mówiąc, niczego w tym przypadku nie musiałam zdobywać. Telefon i zapytanie o możliwość „przekaligrafowania" Konstytucji były dla mnie ogromnym, ale jakże miłym zaskoczeniem. Miłym nie tylko dlatego, że od dłuższego już czasu marzyłam o tego rodzaju pracy (mam tu na myśli kaligrafię obszernego tekstu), ale także dlatego, ze pokazuje ono budzącą się (a utraconą gdzieś w czasach powojennych) wrażliwość na piękno formy – w tym wypadku – litery.

Zakończenie Twoich prac i udostępnienie informacji o tej realizacji zbiegło się z zaprzysiężeniem nowego prezydenta, czy taki był cel stworzenia tej kaligraficznej Konstytucji?

Celem stworzenia kaligrafowanego egzemplarza Konstytucji była przede wszystkim potrzeba sporządzenia godnej oprawy formalnej tego konkretnego tekstu. Kaligrafowanych Konstytucji na całym świecie jest kilka, a w wielu krajach kaligrafia – piękne, odręczne pismo – wciąż jest wyrazem największego szacunku i poprawności dyplomatycznej (protokołu dyplomatycznego). My sami również czujemy zgrzyt, gdy wręczamy komuś kartkę z życzeniami wydrukowanymi i raczej staramy się wpisać treść życzeń sami – jeśli nawet nie pięknie, to przynajmniej odręcznie. Wyraża się w tym elementarny szacunek dla drugiej strony. Ktoś może zasugerować, że są to niepotrzebne rzeczy, fanaberie – jak gdzieś usłyszałam – ale nie mogę się z tym zgodzić. Będę bronić przekonania, że wszystkie wielkie i najważniejsze sprawy zaczynają się od małych gestów. Jeśli o nich zapomnimy, lub będziemy je ignorować obudzimy się w końcu w świecie cynicznym i obojętnym. Ja bardzo bym tego nie chciała...

Od początku prac było też wiadomo, że ponieważ taki egzemplarz powstaje, wspaniale byłoby zakończyć prace na czas, aby mógł on się pojawić na zaprzysiężeniu prezydenta (choć termin zaprzysiężenia nie był jeszcze wtedy – w lutym – znany).

Jakim klientem była Kancelaria Sejmu? Czy miałaś wolną rękę, czy prace musiały być akceptowane na każdym etapie?

Od początku pracy wszystkie kwestie, zarówno doboru materiałów, jak i ostatecznego wyglądu treści kaligrafowanej podejmowaliśmy właściwie razem. Wiele rzeczy konsultowałam z Kancelarią Sejmu, ponieważ wymiar czasowy pracy był zbyt ogromny, aby pozwolić sobie na swobodną interpretację różnych decyzji. Uzgodniliśmy, że forma litery ma być oszczędna, czytelna, nie nazbyt ozdobna. Z zaproponowanych przeze mnie krojów została wybrana kursywa humanistyczna, zwana potocznie italiką. Nie chciałam jednak stylizować kroju litery na piętnasto-, czy szesnastowieczną.

Dokument ten nie jest przecież kopią, ani imitacją. Jest odrębnym, obowiązującym współcześnie aktem prawnym, dlatego zależało mi na połączeniu tradycji z nowoczesnością. Kursywa humanistyczna daje ogromną możliwość interpretacji i adaptacji tego kroju pisma do indywidualnego charakteru osoby piszącej, nie bez powodu w latach 60. XX wieku w szkołach amerykańskich dzieci uczyły się właśnie „italiki", z której w XVII wieku wyodrębnił się inny popularny krój pisma – angielskie pismo rondowe, zwane copperplate'm. Z tym ostatnim wiele wspólnego mieli jeszcze nasi dziadkowie, a oba te pisma były źródłowymi dla przedwojennych elementarzowych liter. Wiele dokumentów począwszy od XVI wieku było sporządzanych jednym z tych krojów, lub jakąś ich hybrydą. Trzeba pamiętać o tym, że w dziedzictwie kulturowym Polski nie posiadamy niestety tzw. „narodowego" kroju pisma. Ale to temat bardzo szeroki i skomplikowany, a moja wiedza na ten temat jest niewystarczająca, abym mogła powiedzieć o tym coś więcej.

Co Cię inspirowało podczas prac i przygotowań?

Oczywiście, wspomniana wcześniej kursywa humanistyczna była dla mnie

największa inspiracją. Zaraz potem była to Konstytucja 3 Maja. Chciałam w ten sposób oddać ukłon w stronę historii. Konstytucja 3 Maja była oczywiście sporządzana i pisana w bardzo specyficznych okolicznościach, w wielkim pośpiechu, nie jest to egzemplarz starannie kaligrafowany, ale zależało mi na tym, aby egzemplarz konstytucji kaligrafowany przeze mnie miał ducha tej pierwszej w Europie – jak się powszechnie uważa – konstytucji. Zaczerpnęłam z wielkich liter. Te moje nie są dokładną ich kopią, a inspiracją właśnie.

Czy miałaś dostęp do polskich pism historycznych czy rękopisu Konstytucji 3 Maja, aby lepiej „wczuć się w klimat" i zainspirować się nimi?

Niestety nie miałam możliwości zobaczenia Konstytucji 3 Maja „na żywo", jednak dostępne reprodukcje okazały się bardzo pomocne i wystarczające, aby zaczerpnąć z nich inspiracji.

Za pomocą jakiego narzędzia powstał projekt?

Używałam tradycyjnego narzędzia: stalówki ściętej o szerokości 0,5 mm umieszczonej w obsadce, maczanej w atramencie. Zastanawiałam się nawet przez chwilę czy nie użyć jakiegoś bardziej współczesnego narzędzia, aby skrócić sobie drogę, którą ręka musi co jakiś czas pokonać od kartki do kałamarza, jednak pomysł ten szybko poległ. Ponad wszystko bowiem cenię sobie szlachetność linii jaką pozostawia narzędzie maczane w atramencie. Żadne nowoczesne pióro tego nie ma. Owszem, ma inne zalety, które też czasami doceniam, ale linia przez nie stawiana na szlachetności jednak traci.

A na jaki papier się zdecydowałaś?

Papier, na którym kaligrafowałam treść Konstytucji to papier przywieziony z fabryki papieru Fabriano znajdującego się we Włoszech. Nie jest to papier czerpany, co chciałabym zaznaczyć, gdyż pojawiły się – zrozumiałe zresztą – pytania dlaczego nie był to nasz rodzimy papier z czerpalni papieru w Dusznikach Zdroju. Znam doskonale papier z Dusznik, współpracuję z tym Muzeum od wielu lat i gdyby tylko praca zakładała użycie papieru czerpanego, nie miałabym wątpliwości skąd powinien on pochodzić. Fabriano oraz Muzeum Papieru i Znaków Wodnych odwiedziłam po zakończeniu prac nad Konstytucją, było to przy okazji prowadzonych przeze mnie niedaleko warsztatów kaligrafii – oczywiście italiki oraz copperplate'a – w Perugii organizowanych corocznie przez Fundację Sztuka Kaligrafii.

Czy testowałaś najpierw różne style pisma, czy od razu wiedziałaś co będzie pasowało idealnie? Opowiedz nam nieco więcej o samym procesie tworzenia.

Bardzo szybko ustaliliśmy, że będzie to kursywa humanistyczna. Kandydatem było jeszcze pismo angielskie (Copperplate), ale szybko zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, poza tym już Konstytucja Kwietniowa z 1935 roku jest kaligrafowana właśnie tym stylem pisma.

Wybór kroju to dopiero połowa sukcesu. Ten sam krój inaczej wygląda w języku angielskim, niemieckim, czy łacińskim. Język polski jest naprawdę niełatwym językiem nie tylko w mowie, ale też i w piśmie. Charakterystyczne głoski i niektóre zestawienia liter skutkują specyficzną formą graficzną tekstu. Ale wygląd to nie wszystko. Jest jeszcze coś takiego jak rytm pisania. Jedną z najczęściej występujących liter w języku polskim jest litera „z" – niezwykle trudna, gdy zestawia się ją z innymi literami, sprawia dużo kłopotów nie tylko początkującym kaligrafom... W naszym ojczystym języku spotykamy się z tą literą w następujących głoskach: z, ź, ż, rz, sz, cz, dz, dź, dż – to naprawdę niemało... Często występuje ona w wyrazie po dwa, czy trzy razy. Litera „z" ma inną rytmikę pisania niż pozostałe litery alfabetu, co przekłada się również na wygląd tekstu, ponieważ wygląd tekstu, jego dynamika, uzależniona jest m. in. od płynności pisania. Litera „z" to jednak także nie wszystko. Specyfiką naszego języka jest również fakt występowania dużej ilości długich wyrazów. Zupełnie inny jest rytm pisania, na przykład, w języku angielskim, inny w języku polskim. Już często porusza się temat tzw. szarości tekstu (ostatnio usłyszałam ten piękny zwrot), ale to samo zagadnienie dotyczy samego procesu pisania.

Pojawia się jeszcze trzeci aspekt doboru, a właściwie opracowania odpowiedniego kroju pisma: treść. W treści Konstytucji pojawia się mnóstwo powtórzeń tych samych słów; często w jednym zdaniu to samo słowo występuje po kilka razy. To treść, której celem nie jest piękny literacki język, a stanowienie prawa. I to również trzeba uwzględnić w całym procesie opracowywania formy graficznej litery. Tego wszystkiego jest trochę więcej, te trzy, może najważniejsze, pokazują tylko jak wiele pojawia się zagadnień związanych z doborem odpowiedniej formy graficznej litery książkowej pisanej odręcznie.

Zdarzały się błędy? Ile kartek musiało pójść „do kosza", aby powstało tych magicznych 83?

Błędy zdarzały się przede wszystkim w początkowym etapie pisania, co może być bardzo demotywujące... Wiele razy jednak zdążyłam się przekonać podczas wykonywania innych zleceń, że to właśnie początki są najtrudniejsze i pełne błędów. Gdy wreszcie wchodzi się w odpowiedni rytm pracy, eliminuje się rozpraszające czynniki zewnętrzne ryzyko popełnienia błędu maleje. Najtrudniej jest wystartować i to właśnie wtedy poszło do kosza najwięcej kartek (tak naprawdę nie do kosza, ale do archiwum). Praca była sprawdzana przez kilku zawodowych korektorów. Zostały poprawione najmniejsze błędy. Ostatecznie nie było ich jednak tak dużo.

Ile czasu zajęło Ci stworzenie tego dokumentu?

Praca nad tym dokumentem trwała trzy miesiące od momentu, gdy zostały dobrane odpowiednie materiały do jej sporządzenia. W tym należy uwzględnić opracowanie kroju pisma. Pracowałam niemal codziennie przez kilka, czasami kilkanaście godzin.

Czy można będzie ją gdzieś oglądać?

Jakie są plany wobec tego egzemplarza nie wiem. Myślę, że czas pokaże. Ja obejrzałam sobie tę pracę dokładnie zanim ją oddałam, a „rozstanie" z nią nie było wcale takie łatwe...

Jaki teraz jest Twój Mount Everest?

Rzeczywiście, porównałam tę pracę do mojego prywatnego Everestu idąc za znaną myślą Hugh MacLeod *„Everybody has their own private Mount Everest they were put on this earth to climb"* (Każdy ma swój własny Mount Everest, dla którego zdobycia pojawił się na ziemi). Ale to dlatego, że interesuję się himalaizmem. Teraz musiałabym pomyśleć o moim K2... ;) Nie należę jednak do osób, które zabiegałyby o tego typu przedsięwzięcia, więc pewnie spokojnie sobie poczekam aż to moje K2 samo do mnie przyjdzie, tak, jak to miało miejsce w przypadku Konstytucji...

Rozmawiała ALEKSANDRA WOLSKA
Magazyn Grafmag

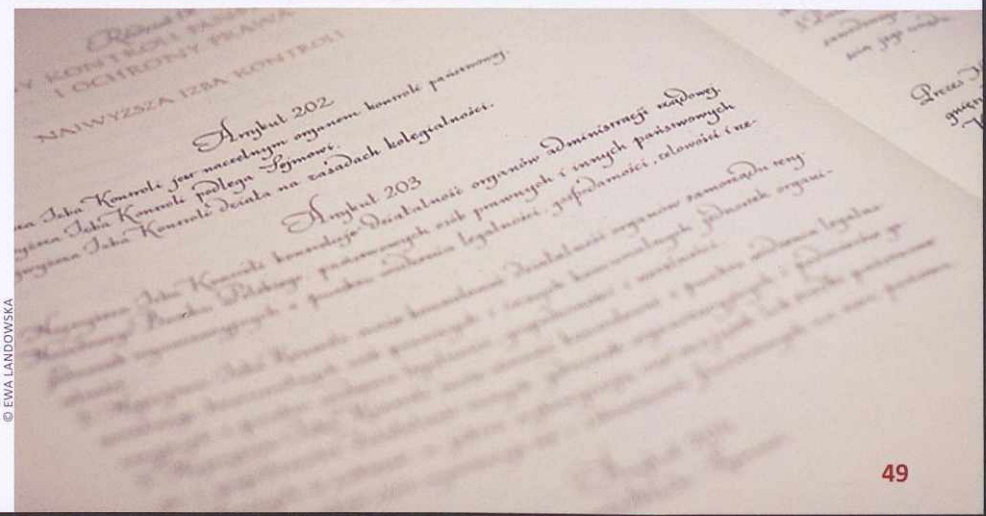

© EWA LANDOWSKA

Kaplica w kościele San Luigi dei Francesi w Rzymie FOT. © RISCRITTURE.COM

Najsłynniejszy malarz Rzymu

Muzea sztuki przytłaczają liczbą wystawianych dzieł. Powodować to może u niejednego odbiorcy odczucie zamieszania, niezdolność koncentracji na wielu dziełach naraz oraz trudność z rozpoznaniem dzieł wybitnych artystów w otoczeniu prac trzeciorzędnych. W żadnej innej kulturze różnica między arcydziełem a dziełem przeciętnym nie jest tak widoczna, jak w tradycji europejskiej malarstwa olejnego.

Połączenie umiejętności i wyobraźni, oraz szczególna zdolność oddawania wrażenia namacalności przedmiotu, trwałości tego, co przedstawiamy, tego co można wziąć do rąk. Ten iluzoryczny potencjał malarstwa olejnego, mimo że są to obrazy dwuwymiarowe, sugerujące obiekty, które posiadają barwę, wypełniają przestrzeń. Sposób widzenia świata znalazł swój wizualny wyraz w malarstwie olejnym. Nie mógł go znaleźć w innym rodzaju sztuki wizualnej dla przekazywania zewnętrznej wizji strony świata w formie arcydzieła. Obrazy Caravaggia, jak to często bywa w wypadku artysty otwierającego nową epokę, namalowane tak zręcznie, że tworzą iluzję, iż patrzymy na rzeczywiste materialne przedmioty.

Pozory rzeczywistości

Cechą malarstwa olejnego jest akcentowanie materialności przedmiotu. Dzieła wielu wybitnych mistrzów często znikają na stulecia, ulegają zapomnieniu. Jeden z najsłynniejszych obrazów w zbiorach Galerii Uffizi – „Bachus" Caravaggia z roku 1596 został odkryty po ponad 300 latach w przepastnych magazynach florenckiej Galerii.

Obraz z wczesnego okresu rzymskiego powstał na zlecenie kardynała Francesco Marii del Monte, jako dar dla księcia Ferdynanda I Medyceusza. W tym okresie Caravaggio mógł uzupełnić swoją edukację, znajomość kultury antycznej. W swobodnej interpretacji klasycznego tematu, postać Bachusa okryta białą draperią na wzór togi, przywodzi antyczne sceny ucztowania. Przedstawia postać młodzieńca z kielichem wina oraz tacę z nadgniłymi owocami, które mają symboliczne znaczenie przemijania życia i nietrwałości rzeczy. Aby wiernie przedstawić postać i przedmioty, Caravaggio prawdopodobnie, tak jak przy innych obrazach, posługiwał się odbiciem w lustrze.

Na tych płótnach widz mógł mieć nadzieję ujrzeć klasyczne oblicze własnej namiętności, własne mniemanie o sobie. Pozory rzeczywistości stwarzane na płaszczyźnie obrazu olejnego, zmuszają niejako widza, by przyjął, że znajduje się bardzo blisko – na wyciągnięcie ręki – każdego obiektu przedstawionego na pierwszym planie obrazu. Jeśli obiektem tym jest

FOT. © GALERIA UFFIZI

osoba, bliskość taka zakłada pewien stopień poufałości.

Mistrzowskie światłocienie

Przed końcem XVI wieku, w jednym z najmodniejszych rzymskich kościołów – San Luigi dei Francesi, Caravaggio namalował obraz „Męczeństwo św. Mateusza" i „Powołanie św. Mateusza". Po upływie czterech wieków można oglądać te dwa wspaniałe dzieła dokładnie w tym samym miejscu, gdzie je kazał umieścić sam mistrz. Był to nowy okres w życiu i pracy artysty, jego pierwsze największe dzieła.

W tym czasie dzieła o tematyce religijnej budziły ogromne zainteresowanie, ludzie godzinami czekali przed kościołem, gdzie je pokazywano. Na dekorację kaplicy zaplanowano freski, ale Caravaggio zapro-

Męczeństwo św. Urszuli
FOT. © PALAZZO ZEVALLOS STIGLIANO, NEAPOL

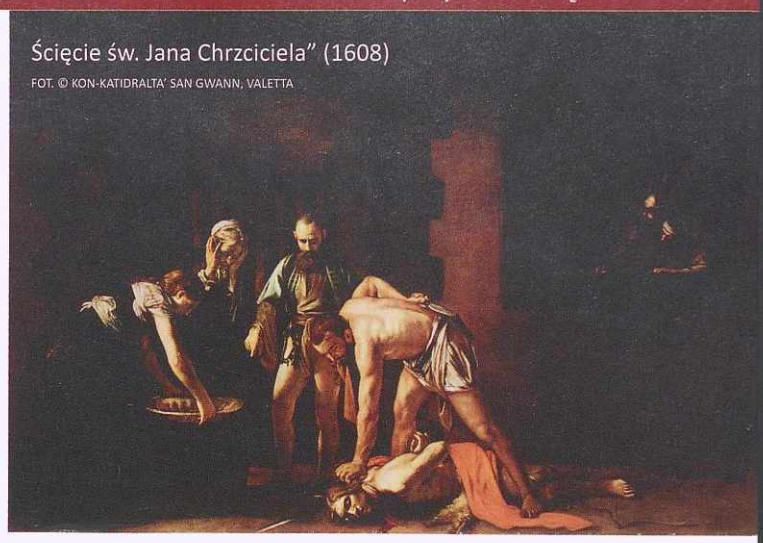
Ścięcie św. Jana Chrzciciela" (1608)
FOT. © KON-KATIDRALTA' SAN GWANN, VALETTA

ponował olbrzymie płótna o wymiarach 340 x 322 cm, co było rzeczą niesłychaną. Kontrakt na namalowanie tych obrazów ma datę 25 czerwca 1599 roku i przetrwał do naszych czasów.

Przy pracy nad obrazem „Męczeństwo św. Mateusza" mistrz zmieniał koncepcję wielokrotnie. Pragnął pokazać swoje prawdziwe możliwości, prześcignąć siebie samego. Scena odbywa się w czasie odprawiania nabożeństwa, gdy król etiopski zabija świętego, z zemsty za przeciwstawienie się jemu. Dramatyczna scena z udziałem wielu postaci, które z przerażeniem i wyrazem nieopisanej grozy są świadkami zaistniałej zbrodni, a z chmur wyłaniający się anioł, z palmą męczeństwa ofiarowaną świętemu. Mężczyzna o zatroskanej twarzy z niewielką brodą, jest autoportretem artysty. Caravaggio starał się, by akcent padał na najważniejsze elementy kompozycji. Mistrzowsko operując światłocieniem, postacie ukazują się w przestrzeni przebitej światłem.

Kilka miesięcy później, w 1600 roku, Caravaggio ukończył kolejne dzieło – „Powołanie św. Mateusza". Scena, przedstawiona przez artystę, odbywa się w ciemnym pomieszczeniu, biurze poborcy podatkowego, który został ukazany w skupieniu przy pracy nad księgami. Światło pada z górnego prawego rogu obrazu, gdzie ukazuje się postać Chrystusa, który wskazuje ręką jednego z mężczyzn. Za pomocą prostych, męskich, uogólniających form monumentalnych, wydobywanych za pomocą ostro skontrastowanych świateł i cieni.

Niezwykłe pociągnięcia pędzla

Z biegiem czasu sposób malowania Caravaggia nabierał lekkości. Nieraz nakładał farbę na płótno warstwą tak cienką, że przeświecał grunt. Szerokimi pociągnięciami pędzla niemal lepił kształty. Udowodnił, że cud można przedstawić jako wydarzenie z życia codziennego, że kaplicę można dekorować scenami malowanymi na płótnach. Sława Caravaggia była ugruntowana mimo słów krytyki ze strony rywali. Otrzymuje kolejne zlecenia, m. in. dekorację ołtarza. Tak powstał obraz „Św. Mateusz z Aniołem" z 1602 roku. Artysta w tym dziele przyjmuje nieco inną interpretację sceny ukazującej Ewangelistę: postać o szlachetnych rysach twarzy, z aureolą. Nad nim unosi się anioł w powiewnej białej szacie, pokazując w języku symboli jak ma pisać. Postacie wyłaniają się z ciemnego tła. Biel szaty anioła i ciepła czerwień szaty świętego.

W tym czasie, Caravaggio był w Rzymie jednym z najsłynniejszych malarzy. Niestety seria niechlubnych wydarzeń i zatargów z prawem oraz skazanie na karę śmierci, zmusza go do ucieczki do Neapolu, a potem na Maltę. Tam otrzymał zamówienie od wielkiego mistrza zakonu Alofa de Wignacourta. Tak powstają obrazy „Św. Hieronim piszący" (1607) oraz „Ścięcie św. Jana Chrzciciela" (1608) w Oratorium katedry św. Jana w La Valletta na Malcie.

Ostatnie dzieła

Artyści z Europy Północnej w następnych latach odwiedzali La Vallette, by podziwiać to ostatnie dzieło mistrza w oryginalnej ramie z herbem Wignacourta. Obraz przedstawia wnętrze więzienia. Święty leży na ziemi, ma związane ręce z tyłu. Oprawca ze sztyletem przygotowuje się do ścięcia głowy. Salome stoi z misą, do której strażnik więzienny włoży ściętą głowę. Stara kobieta stojąca obok wzdryga się z przerażenia. Przez zakratowane okno, egzekucji przyglądają się dwaj więźniowie. Światło oświetla ciało oprawcy z dbałością o szczegóły anatomiczne. Oprawca bestialsko chwyta św. Jana za włosy, co nadaje scenie niezwykle dramatyczną wymowę. Wszystko odbywa się bez zastanowienia. Każdy wykonuje swoje zadanie. Poczucie przygnębienia wynika nie tylko z panującej ciemności w scenie, ale z samego tragicznego wydarzenia. Można przypuszczać, że malarz czerpał inspiracje z własnego doświadczenia, kiedy go przesłuchiwano w Rzymie stosując drastyczne metody.

Na Malcie wybucha kolejny skandal. Caravaggio zostaje uwięziony w twierdzy. Jednak udaje się mu uciec z więzienia Sant'Angelo, po czym wymyka się statkiem na Sycylię. Marzy o rychłym powrocie do Rzymu. Choć był po przejściach, nie pierwszej młodości i chory, nie traci chęci do życia i malowania. Miał już przed sobą tylko rok życia.

W Neapolu napadnięto go, była próba morderstwa. Jeden z ostatnich obrazów „Męczeństwo św. Urszuli" z lat 1609-1610, znajdujący się obecnie w Palazzo Zevallos Stigliano w Neapolu. W żadnym innym obrazie artysty, obecność śmierci nie jest aż tak wyrazista. Widać strzałę wypuszczoną z napiętego łuku króla Hunów, która trafia w pierś świętej pogodzonej ze swoim losem. Wydaje się, jakby przedstawiał własną rychłą śmierć...

Caravaggio zmarł jako człowiek wyjęty spod prawa, na plaży na południe od Rzymu, w czasie kiedy przyjaciele uzyskali dla niego, tak długo oczekiwane, papieskie ułaskawienie.

TADEUSZ BRZESKI

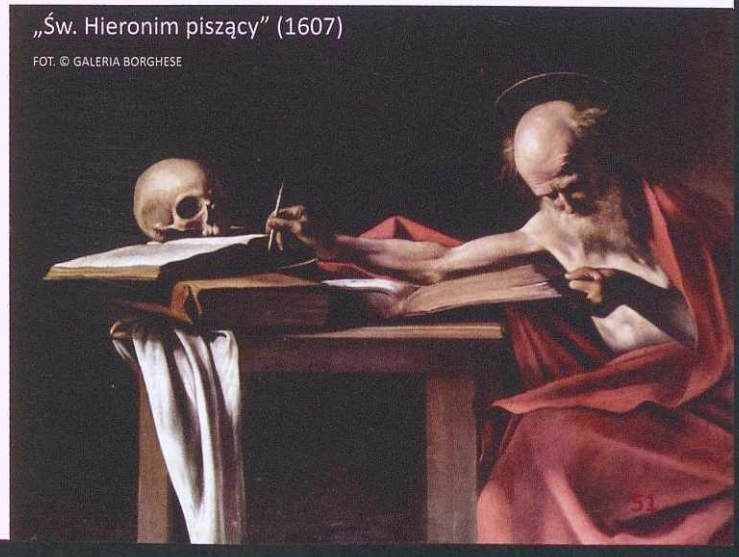
„Św. Hieronim piszący" (1607)
FOT. © GALERIA BORGHESE

Tłumiona miłość

FOT. © WŁADYSŁAW KATARZYŃSKI

Ksiądz Jan Pietrzyk z Butryn, wsi położonej na południowym pograniczu historycznej Warmii, jest poetą. Dziwny to ksiądz. Zamiast nieustannie nasłuchiwać szeptów i natchnień Boga, często słucha wiatru, zgłębia tajemnicę ćmy, przenosi przez drogę żabkę, zastanawia się nad tragedią kamienia. Jego wiersze rodzą się z obserwacji i głębokiego odczucia przyrody, z którą podmiot poetycki całkowicie się jednoczy i utożsamia. Przyroda jest przyczyną nieustannego zadziwienia, a wiersze są jakby zaproszeniem do odkrywania tajemnic całego Bożego stworzenia.

Te tajemnice poeta próbuje dotknąć przez słowo, ale ledwie pojawi się zarys obrazu, ledwie błyśnie okruchem poezji, poeta już go porzuca, pozostawia niedokończonym, jakby bał się dalszej, zbyt brutalnej ingerencji w ten zagadkowy świat. Zdaje się wówczas, że oddala się także Stwórca, którego ślady dopiero, co zaczynaliśmy rozpoznawać. Na szczęście jednak pozostaje pewien smak Bożej tajemnicy. W tomiku *Posłucham wiatru* wiersz „Trzy lilie" kończy się strofą:

.....
Na ławce
małe dziecko
bawi się kamykiem
Spogląda
w nieskończoność.

Według poety nie tylko człowiek, ale całe stworzenie czuje, cierpi, raduje się, ale też pragnie miłości. Ćma, która wieczorem miota się wokół światła lampy nie tylko buduje nastrój zadumy, melancholii czy nostalgii, ale wprost ociera się o metafizykę. Cała przyroda jest pełna znaków, jest językiem Boga. Na pewno poeta mógłby śpiewać za świętym Franciszkiem: mój przyjaciel wiatr, mój przyjaciel słońce, księżyc, wiatr, ale także kwiat, zioło, drzewo, żabka i ćma. Co więcej, poeta próbuje niejako wejść w duszę tych niemych stworzeń, utożsamić się z nimi całkowicie, pragnie być wiatrem, drzewem, wilkiem, puchem mniszka, a nawet soplem lodu. Chce jak najgłębiej i w sposób najczystszy przeżywać tajemnicę istnienia. Wiersz „Sopel" jest tu chyba najlepszą, przejmującą ilustracją:

Jestem zaczarowanym
soplem w którym widać
duszę...
* * *
Milczę... w
objęciach ciszy...

Ten wymiar transcendentny jest obecny w całej poezji Jana Pietrzyka. Czasami Bóg jest tak blisko, że wprost na wyciągnięcie ręki. Tomik *Posłucham wiatru* otwiera wiersz zatytułowany „Pan uczy":

Kłosy zbóż kwitną
Pachnące ziarno
stanie się chlebem
* * *
Pan usiadł na kamieniu
przy drodze
uczy modlitwy...
Apostołowie odpowiedzieli
Amen...

I wiersz następny – „Imię Twoje":

Jasne obłoki
budzą natchnienie
Źródlana woda
nogi obmywa
* * *
Mądrość Boża
przejmująca...
w prostych słowach...
Niech się święci
Imię Twoje Panie...

Ten wymiar transcendentalny i Boży pojawia się również w najnowszym tomiku poetyckim *Muśnięcie anioła*. Te okruchy poezji jakże często kryją w sobie wielki dramat. Ból egzystencjalny odczuwa nie tylko sam podmiot liryczny, ale cała zjednoczona z nim przyroda, która jest powiernikiem najbardziej intymnych wyznań. W najnowszym tomiku znajduje się wiersz „Tęsknota kamienia":

Kamień coraz bardziej
kamienieje...
Bez czułości człowieka
Zakopany w ziemi
cicho płacze
czasami rzuca się
w przepaść
poszukując odrobiny nieba...

W tej wydawałoby się spokojnych lirycznych obrazkach zamknięty jest więc wielki dramat. Czasami zarysowane w pierwszej części wiersza emocje, sentymentalne wzruszenia, w dalszych strofach są nagle brutalnie odrzucane, jakby poeta chciał

przywołać się do porządku, sprowadzić na ziemię. W tomiku *Przed świtem* wiersz „Pytanie" rozpoczynają słowa:

Pytasz
co jest u mnie najważniejsze...
Odpowiadam
miłość i lęk przed śmiercią (...)

To wyznanie jest kluczem, który pozwala zrozumieć głębię dramatu, jaki przeżywa podmiot liryczny. Wiersz „Wizytówka" z tomiku *Nostalgia ćmy* jest tu najlepszym przykładem:

Jestem stąd
mieszkam
w pobliżu
* * *
Cały dzień
stoję na rynku
śmieję się przeraźliwie
nikt nie zwraca
na mnie uwagi...

Tę prawdę o wewnętrznym dramacie poeta wypowiada w wielu utworach, również w wierszu „Biegnę" (tomik *Nostalgia ćmy*):

Biegnę po uczucia
Nowe znajomości
Może po śmierć [...]

A więc ogromne pragnienie miłości – również tej ziemskiej, biologicznej. Pragnienie bliskości kochanej osoby. Oto początek wiersza „Miłość" (tomik *Przed świtem*):

Zakazana miłość
łka na krawędzi
zielonego liścia [...]

lub wiersz „Imaginacja" z tomiku *Nostalgia ćmy*:

Dotykasz ust moich
Żarem... milczą
* * *
Bezradna ćma
spala się w ogniu
Chmury odsłoniły
blady księżyc
Puszczyk z wysokiego drzewa
rozpoczyna pieśń nocy

Szczególnie wiele wierszy o miłości zawiera tomik *Przed świtem*: „Sekret", „Modlitwa", „Powiedz", „Jednorożec", „Nieokiełznane myśli", „Tłumiona miłość", „Kochankowie", „Wyznanie". Te uczucia, choć tłumione, czasami dochodzą do głosu w sposób dramatyczny, jak w wierszu „Pokuta":

Lampy uliczne
ukryjcie mnie
przed samym sobą
* * *
Pójdę na wysoką górę
z workiem kamieni

Miłość dla poety jest niejako ocaleniem przed nicością. Oto wiersz „Boję się" z tomiku *Przed świtem*:

Obroniłaś mnie
przed nicością
* * *
Uspokój mnie
spojrzeniem
usta przyłóż
do skroni
Boję się jak przepaści
tej dalekiej podróży

Myśl o nicości powraca obsesyjnie, najczęściej wzbudza lęk: „Boję się usnąć / pomyślałem o nicości" (*Nostalgia ćmy*). Innym razem jednak podmiot liryczny jej pragnie: „Pragnąłem nicości / zwinąłem się w kłębek / zawstydzony przed samym sobą / szeptałem niezrozumiałe / słowa...".

W krótkiej recenzji nie sposób poruszyć wszystkich ważnych aspektów poezji ks. Jana Pietrzyka zawartej, bagatela, w kilkunastu już tomikach. Warto wspomnieć chociażby o pięknych wierszach poświęconych matce, ale również zawierających opisy rodzinnych krajobrazów. Poeta urodził się w Olecku i tak pisze o tych stronach w wierszu „Jaćwież" z tomiku *Przed świtem*:

Jaćwieżo, mój rodzinny kraju
Kocham twoje pagórki bory,
Lasy, puszcze, polany, knieje,
Bagniska i śpiew
Wiatru przejmujący [...]

Właśnie ten wiersz wskazuje na inną ważną stronę twórczości ks. Jana Pietrzyka. Jest on zafascynowany przeszłością terenów, na których mieszkamy, jej prehistorią, odległymi czasami, kiedy te ziemie zamieszkiwały jeszcze plemiona Prusów, wśród nich Jaćwingowie, których ks. Pietrzyk czuje się bezpośrednim potomkiem.

O historii Prusów ks. Pietrzyk napisał już kilka opracowań historycznych oraz wiele legend, a nawet sztukę teatralną, która została wystawiona w Kandytach. Do tej twórczości także warto sięgnąć. O niej też postaram się napisać, ale już innym razem.

ZENON ZŁAKOWSKI

Jan Pietrzyk – urodził się w Olecku na Mazurach. Obecnie mieszka na Warmii, w Butrynach, gdzie pracuje jako proboszcz tejże parafii. Od 2008 roku należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jest laureatem literackiej nagrody „Erato" przyznanej w 2009 roku przez olsztyńską Fundację Środowisk Twórczych. Jego pasją jest poezja, zabytkoznawstwo, historia sztuki i literatury i młynki, które kolekcjonuje. W dorobku twórczym ks. Jana tomiki poezji: *Dotykając strun* (2002), *Zatańczę z wiatrem* (2002), *Niebieskie koła* (2003), *Pochylone lampy* (2004), *Zdziwienie w chmurach* (2005), *Złamane patyki* (2006), *Niespokojne szuwary* (2007), *Żabi romantyzm* (2009), *Nostalgia ćmy* (2010), *Przed świtem* (2013), *Posłucham wiatru* (2014), *Muśnięcie anioła* (2015), a także poetyckie opowieści z przeszłości Warmii i Mazur... *Słuchając wiatru. Legendy z Warmii i Mazur* (2010), *Szept historii. Opowiadania o Prusach* (2011), *Opowieść pagórków i strumieni. Ziemia Górowska. Epopeja* (2015).

„Brakujące ogniwo”

Choćby dla tych trzech dokumentów warto było przyjechać do Gdyni na Festiwal „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”, „Wolność i Niezawisłość. Ostatnia nadzieja” Sławomira Górskiego, „Jedwabne” Artura Janickiego i „Historia Kowalskich” Arkadiusza Gołębiewskiego i Macieja Pawlickiego. Każdy o zupełnie innej formule, wszystkie ważne. A przecież znakomitych filmów, które wydobywają z mroków zapomnienia fakty, ludzi, zdarzenia – było znacznie więcej.

Właściwie wszystkie 19, które jury wybrało do konkursu. Często już tytuł dokumentu zapowiadał kolejny polski wojenny czy powojenny dramat: „Workuta”, „Obława” (augustowska) czy „Legenda wileńskiej konspiracji”. Przed naszymi oczami, jak w kalkomanii, wyłaniają się bitwy leśne, których jeszcze nie zna historia, bezradne, przerażone twarze starców i dzieci, masowe groby, których nie znaczy krzyż, przybywa rodzin, które komunistyczny terror lat 1945-1956 zniszczył na zawsze. Przeraża bezmiar tragedii. A to wszystko działo się, kiedy „cały naród budował swoją stolicę”, był to czas Zjazdu Literatów w Szczecinie, hucznych 1-majowych pochodów i Kongresu Pokoju we Wrocławiu, który miał sygnalizować światu powrót Polski do powojennej normalności i rodziny państw demokratycznych.

Gdybyśmy mieli ministra edukacji, któremu leży na sercu polityka historyczna i wychowanie w duchu patriotycznym, film **„Wolność i Niezawisłość...”** byłby pokazywany w szkołach na lekcjach historii czy wychowania obywatelskiego. Zwarta, znakomicie skonstruowana lekcja poglądowa o legendarnej organizacji WiN, losach przywódców Komendy Głównej i ich żołnierzy. Z jednej strony – sędziowie, a właściwie przedstawiciele sowieckiego aparatu terroru, odczytujący wyroki przesłane z Moskwy, „krzyżyk – śmierć, kółko – dożywocie, cyfra – ilość lat w kazamatach”, z dużą nadreprezentacją osób pochodzenia żydowskiego, z drugiej – bohaterscy polscy dowódcy i zmarnowani latami życia w lesie żołnierze, ścigani, torturowani, mordowani, wciągani przez sowiecką władzę w śmiertelne pułapki. Najpierw ujawnienie, które przecież służyło wyłącznie ewidencjonowaniu przyszłych ofiar, a potem masowe aresztowania i wyroki. Oto płk Różański, który dał polskim przywódcom oficerskie słowo honoru, że ich podwładni zostaną oszczędzeni, a potem łamał je bezpardonowo – to przecież nic innego jak jeszcze jedno zderzenie cywilizacji europejskiej i azjatyckiej, gdzie takie pojęcia jak prawda, honor, przyjaźnie i sojusze bywają traktowane instrumentalnie.

Sławomir Górski zaproponował także interesującą formułę swego filmu: partie dokumentalne, przechodzące miejscami – które autor chce wskazać i wypunktować – w animację. Od jakiegoś czasu poznajemy statystyki, dotyczące tego okresu sowieckiego terroru. Ale to chyba prawda, że obraz mówi więcej niż 10 tys. słów. Bo kiedy patrzy się na dzielne zachowania dowódców WiN-u na sali sądowej, widzi kolejną masakrę żołnierzy w lesie, odczytuje napisy w UB-eckich kaźniach „Matko Najświętsza, pozwól przetrwać bez hańby”, rozumie się więcej, a na pewno więcej czuje.

Oto **„Jedwabne”** Artura Janickiego. Kadry spokojnego, prowincjonalnego miasteczka, wywiady z naocznymi świadkami zdarzenia sprzed lat, które złym echem odbije się w nieprzychylnych Polsce światowych mediach, ale przede wszystkim statystyka, wyniki badań naukowych, dalekich od zakończenia. I te obiektywne dane naukowe Artur Janicki zestawia z relacjami, pożal się Boże, historyków, a w istocie politycznych propagandystów jak Jan T. Gross. Jego „1600 ofiar pogromu” w żaden sposób nie chce się zmieścić w niewielkiej stodole, spalonej przez Niemców, „Polacy, pomagający niemieckim oprawcom” okazują się grupką przerażonych, spędzonych pod lufami karabinów mieszkańców Jedwabnego, którzy daliby wszystko, żeby być gdzie indziej, gdzie nie będą musieli grzebać spalonych przez Niemców ciał swoich sąsiadów. Skandaliczna zabawa z faktami i cyframi, otrąbienie wyników śledztwa, które trwało i będzie się jeszcze ciągnęło latami, słowem – kolejna historyczna hucpa, którą krok po kroku weryfikuje nauka. Wreszcie – podejrzana zbieżność intencji książek Grossa z narracją nieprzychylnych Polsce amerykańskich organizacji żydowskich – które nie kiwnęły palcem, kiedy bohaterski polski kurier Jan Karski dostarczył Stanom Zjednoczonym informację o losie 3 mln ich ziomków w Polsce – oraz z prowadzoną od kilku dziesiątków lat, niemiecką narracją historyczną.

Jako były krytyk filmowy wiem, jak trudno nakręcić dokument fabularyzowany. Ogromna dokumentacja, od krajobrazu, architektury, poprzez broń, odzież z epoki, która ma się zgadzać „co do guzika”. Reżyserzy Arkadiusz Gołębiewski i Maciej Pawlicki zadali sobie ten trud – powstał film **„Historia Kowalskich”**. Chodzi o rodzinę Kowalskich, którzy podczas wojny przechowywali Żydów i zostali za to bestialsko zamordowani przez Niemców. Podczas tej pacyfikacji zginęło 34 mieszkańców wioski. To film opowiadający o tragicznych losach rodziny Kowalskich, podwójnie tragicznych, bo zakończonych męczeńską śmiercią ludzi sprawiedliwych. To w takich przypadkach wielu z nas woła: „Boże, gdzie byłeś, kiedy to się stało?!”. Jednak ten fabularyzowany dokument opowiada o czymś więcej – długą historię wzajemnych 800-letnich stosunków Polaków i Żydów, zamieszkujących polskie ziemie. Bo było tak: kiedy w XIII wieku Żydzi zostali ekspulsowani z Anglii, wielu z nich przyjechało do Polski. Potem, kiedy w XIV wieku wygnano ich z Francji, a w XV z Hiszpanii, ogromna część także zamieszkała u nas. Jest więc ten film kroniką naszych wzajemnych relacji, przyjaźni i konfliktów, odmienności religijnych, kulturowych i obyczajowych, i – najczęściej – szczęśliwego pokonywania tych barier. I znowu – clash cywilizacyjny, łacińska, chrześcijańska, „kochaj bliźniego jak siebie samego” i bestialstwa ateistycznych dyktatur.

Podobało mi się wyważenie racji obu stron i koncyliacyjny ton „Historii Kowalskich”. Jednak należy pamiętać, że proces zakłamywania historii II wojny i promowania przez Rosję i Niemcy, ale także środowiska amerykańskich Żydów własnych pomysłów na II wojnę – trwa. Dopiero zaczyna się odkłamywanie tamtych czasów: zamiast 6 tys. bohaterskich Polaków, ratujących Żydów pojawiają się cyfry 500 tys. do 1 mln, informuje się, iż „Żegota” nie była jakąś tam małą organizacją, ale działała jako komórka Delegatury Rządu na Kraj, jedyna w okupowanej przez Niemców Europie instytucja państwowa, ratująca ludność żydowską od zagłady, i że tylko nam, Polakom, i bodaj Ukraińcom, za tę pomoc groziła śmierć.

I powoli nasza narracja przedziera się do światowej świadomości publicznej, choć w ślimaczym tempie i z oporami, a my możemy być ze swoich wspaniałych rodaków, jak rodzina Kowalskich i setki tysięcy innych, dumni.

Trzy panele – „Kogo obchodzi historia?", „Polska polityka pamięci" i „Polacy – Żydzi, cele wspólne czy rozbieżne?" – gdzie widać było prezesa IPN Łukasza Kamińskiego, prof. Jana Żaryna, dyrektora Muzeum Historii Polski Roberta Kostro, europosła Kazimierza M. Ujazdowskiego i dyrektora Muzeum Katyńskiego Sławomira Z. Frątczaka – poruszały sprawę konieczności prowadzenia przez nas polityki historycznej, bo jak dotąd zwyciężają narracje Rosji i Niemiec. Instytucjonalizacji pomocy państwa w pielęgnowaniu pamięci historycznej w kraju i wspólnotach polonijnych. Aktywizacji MSZ, współpracy ze środowiskami zagranicznymi i polonijnymi, promowaniu Polaków – bohaterów poprzez sztukę wysoką oraz kulturę masową, w tym filmy fabularne, dokumenty, publikacje książkowe, kongresy i festiwale. Ważna wydaje się koncepcja, przedstawiona przez prof. Żaryna – o prawie Polaków do posiadania własnej narracji historycznej – także czasów wojny, Żołnierzy Wyklętych, aktualnych opinii na temat konieczności przyjmowania imigrantów z północnej Afryki czy Bliskiego Wschodu, kiedy tysiące naszych rodaków, rozsianych po krajach byłego imperium sowieckiego, czekają na decyzje i dokumenty repatriacyjne. Polacy, niestety, wciąż muszą się uczyć swoich praw, w tym prawa do posiadania własnych poglądów, oczekiwania, że zostaną one wysłuchane i że będą się liczyć.

VII Festiwal NNW, to największy w kraju przegląd twórczości inspirowanej naszą historią. Rozwija się niezwykle prężnie, zdobył wielu możnych sponsorów i patronów medialnych – w tym tygodnika „W Sieci" i portalu polityce.pl – co jest w dużej mierze zasługą pomysłodawcy i dyrektora Arkadiusza Gołębiewskiego. W tej chwili ma już charakter interdyscyplinarny – film dokumentalny, dokument radiowy, panele dyskusyjne, promocje książek, warsztaty dla młodzieży, przegląd zespołów rockowych o patriotycznym repertuarze. A podczas imprezy wszystkim, gościom i organizatorom towarzyszyło to samo odczucie: kiedyś Żołnierze Wyklęci zostali skazani na podwójną śmierć, eliminację fizyczną i zapomnienie. Zniknęli z przestrzeni publicznej na dziesięciolecia, odarci z honoru, wymazani z pamięci. I takie spotkania jak Festiwal NNW pomagają przywrócić im, jeśli nie życie, bo tego nikt z nas nie jest w stanie zrobić, to przynajmniej pamięć o pełnych odwagi, poświęcenia i miłości do Ojczyzny czynów. Pamięć i honor.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

Doktor Judym naszych czasów

FOT. © SZ MSW

Minęło już trochę czasu, kiedy to Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z Warmińsko-Mazurskim Centrum Onkologii w Olsztynie świętował jubileusz 70. rocznicy powstania tej placówki służby zdrowia, powszechnie nazywanego Polikliniką MSW.

Czas świętowania, podziękowań za ofiarną pracę, dyplomów i przyznanych wyróżnień wielu pracownikom szpitala, powoli odchodzi w przeszłość. Pozostała ogromna wdzięczność wyrażana przez tysiące pacjentów, którzy na przestrzeni lat leczyli się i odzyskiwali zdrowie dzięki pomocy i fachowej opiece lekarzy i całego personelu medycznego zatrudnionego w Poliklinice oraz niezwykły ślad, w postaci niespełna 23 minutowego filmu, poświęcony człowiekowi-legendzie, jakim bez wątpienia jest doktor Antoni Celmer. Dokument Anety Olender, ze zdjęciami Krzysztofa Bębenka zatytułowany **„Jeżeli ma duszę dobrego człowieka..."**, przygotowała ekipa TVP Olsztyn, reportaż wyemitowany na antenie 26 sierpnia jest dostępny na kanale YouTube.

Ten skromny realizacyjnie film opowiada o najważniejszych momentach w życiu niezwykłego człowieka, jakim jest Antoni Celmer, doskonale znany tysiącom mieszkańców Olsztyna i naszego regionu, lekarz, który 56 lat przepracował w swoim zawodzie, w latach 1979-2000 pełniąc funkcję dyrektora Polikliniki. To również jeden z założycieli Rotary Club Olsztyn, a zatem rotarianin z 25-letnim stażem. Jak sam o sobie stwierdza w filmie, „normalnym człowiekiem byłem dziesięć lat", mając na myśli czynne wykonywanie zawodu lekarza, gdyż w kolejnych latach zajmował się głównie administrowaniem rozrastającą się placówką medyczną, która współcześnie zatrudnia powyżej tysiąca osób personelu medycznego.

Na czym polega niezwykłość osobowości doktora Celmera, „wujka Tośka", jak określają go wychowankowie Domu Dziecka w Szymanowie, którym już 35 lat niesie nieustanną pomoc i opiekę?

Ponownie zacytujmy samego bohatera, który mówi o sobie „szanowałem ludzi", a zatem i on zasługiwał na okazywany szacunek ze strony innych. Niestrudzony propagator pomocy dzieciom, został Kawalerem Orderu Uśmiechu i to odznaczenie ceni sobie jako jedno z najważniejszych, jakie przyznano mu w jego długim i pracowitym życiu. „Czy owe lata były trudne czy łatwe?" – stawia sobie pytania doktor Celmer, odpowiedzi udzielają jego liczni współpracownicy, bez skrępowania mówiący do kamery „kocham tego człowieka", to „Doktor Judym" naszych czasów, syn doktora podsumowuje krótko: „Takich ludzi się już nie spotyka", i nie jest to kurtuazja, okazjonalna wdzięczność, lecz za tymi słowami stoją konkretni ludzie, ludzkie dramaty, cierpienia i łzy, z którymi nierzadko przyszło się zmierzyć doktorowi Antoniemu, ogłoszonym przez olsztyński Klub Biznesu Osobowością Roku 2008.

„Jeżeli ma duszę dobrego człowieka..." to film dokumentujący długie i bogate życie człowieka zasłużonego dla Olsztyna oraz Warmii i Mazur, ciekawie zrealizowany, nie silący się na awangardowy dokument, którego siłą jest osobowość jego głównego bohatera: lekarza i społecznika, należącego, jak napisał jeden z internautów w komentarzu do filmu, dostępnym dziś w Internecie, do „grupy w kategorii Człowiek". To dobrze, że regionalna telewizja publiczna zrealizowała ów reportaż, dokumentujący dokonania niezwykłego człowieka, pełnego pasji życia, dzielącego się swoją życiową mądrością z wieloma innymi, do których zaszczyt ma należeć piszący te słowa. Brawo TVP Olsztyn!

MAREK SOKOŁOWSKI

Grand Prix – Iwetta Gintowt-Paprocka, bez tytułu

XI Otwarte Mistrzostwa Fotograficzne Olsztyn 2015 rozstrzygnięte!

Jury Otwartych Mistrzostw Fotograficznych Olsztyn 2015 w składzie: Krzysztof Gierałtowski, Igor Omulecki, Marek Marcinkowski, Paweł Staszak i Mieczysław Wieliczko podczas obrad w Miejskim Ośrodku Kultury w Olsztynie dnia 16 października, po zapoznaniu się z 528 pracami, które spełniły wymogi regulaminowe postanowiło przyznać następujące nagrody następującym uczestnikom:

Grand Prix Nagroda Prezydenta Miasta Olsztyna Piotra Grzymowicza otrzymała Iwetta Gintowt-Paprocka (Liszki) za 5 fotografii bez tytułu.

W kategorii Człowiek: Złote Szkło otrzymał Rafał Michalak (Wrocław) za fotografie: „Wstyd" oraz serię 5 fotografii pod tytułem „Ściana", Srebrne Szkło – Arkadiusz Branicki (Opole) za fotografię „Sleep", a Brązowe Szkło – Barbara Dukszta (Kętrzyn) za fotografię „bez tytułu".

W kategorii Natura: Złote Szkło otrzymała Joanna Borgieł (Kraków) za 3 fotografie Ice-graphic I, II, III", Srebrne Szkło – Michał Wichowski (Olsztyn), za fotografie „Łabędź", a Brązowe Szkło – Cezary Krywiczanin (Mrągowo), za fotografię „Ważka".

W kategorii Architektura: Złote Szkło otrzymała Iwetta Gintowt-Paprocka (Liszki) za fotografię „bez tytułu", Srebrne Szkło – Piotr Grochala (Warszawa) za fotografię „Tajemniczy Lublin_3", a Brązowe Szkło – Michał Sieradzan (Kielce) za fotografię „Drzewo pamięci".

Jury postanowiło również wyróżnić i zakwalifikować do wystawy pokonkursowej 45 fotografii. Ich pełen wykaz znajduje się na oficjalnej stronie Mistrzostw: www.omf.mok.olsztyn.pl

Nagrodzone oraz wyróżnione prace znajdą się na wystawie pokonkursowej, której wernisaż odbędzie się wraz z galą rozdania nagród dnia 5 listopada 2015 roku, o godzinie 18 w Galerii Amfilada Miejskiego Ośrodka Kultura w Olsztynie, przy ulicy Dąbrowszczaków 3 w Olsztynie. Wstęp na galę rozdania nagród oraz wystawę jest wolny.

Fundatorami nagród są: Prezydent Miasta Olsztyna Piotr Grzymowicz, Highlander Polska, Fotosilesia, Związek Gmin Warmińsko-Mazurskich, ABFOTO oraz Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie.

PAWEŁ STASZAK

Cezary Krywiczanin, „Ważka"

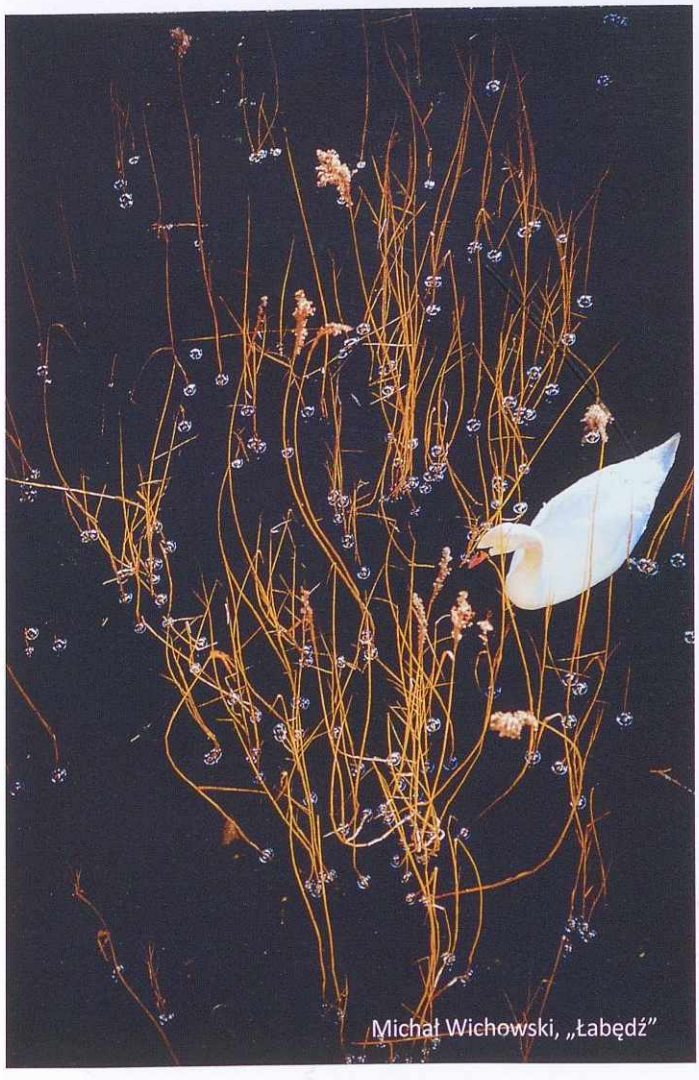

Michał Wichowski, „Łabędź"

Arkadiusz Branicki, „Sleep"

O tajemnicy dziennikarskiej

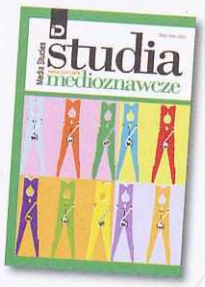

Najnowszy numer „Studiów Medioznawczych" przynosi m. in. rozważania dr. nauk prawnych Lecha Jaworskiego. Tytuł omawianego niżej artykułu brzmi: „Tajemnica zawodowa dziennikarzy w świetle obowiązującego prawa. Część 2. Zakres regulacji". Autor zastanawia się, jakich danych dziennikarz nie może ujawnić i jakie dobra osobiste jest zobowiązany chronić.

W części wstępnej Lech Jaworski przypomina, że zgodnie z art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe „dziennikarz ma obowiązek zachowania w tajemnicy danych umożliwiających identyfikację autora materiału prasowego, listu do redakcji lub innego materiału o tym charakterze, jak również innych osób udzielających informacji opublikowanych lub przekazanych do opublikowania, jeżeli osoby te zastrzegły nieujawnianie powyższych danych". Ponadto, zgodnie art. 15 ust. 2 pkt 2 tajemnica dziennikarska obejmuje również wszelkie informacje, których ujawnienie mogłoby naruszyć chronione prawem interesy osób trzecich. Zobowiązany do takiej tajemnicy będzie zdefiniowany w Prawie prasowym dziennikarz, jako osoba, która zajmuje się „redagowaniem, tworzeniem lub przygotowywaniem materiałów prasowych, pozostająca w stosunku pracy z redakcją albo zajmująca się taką działalnością na rzecz i z upoważnienia redakcji" (art. 7 ust. 2 pkt 5 pp), zaś ochroną będą objęte dane, „które dziennikarz uzyskał w związku z wykonywaniem swojego zawodu", dotyczące osób, „które przekazały określone materiały lub informacje w celu ich wykorzystania przez prasę [...]" Jednocześnie osoby te muszą zastrzec nieujawnianie identyfikujących ich danych.

Już na tym etapie pojawiają się wątpliwości:

1. Kogo dziś należy uznawać za dziennikarza?

2. Jak postępować w przypadku, gdy osoba dostarczająca informacji lub przekazująca materiały nie zastrzeże sobie wyraźnie prawa do zachowania jej tożsamości w tajemnicy?

3. Jak traktować pozyskiwanie materiałów przez dziennikarzy w czasie wolnym od pracy, np. w czasie jego urlopu?

Jaworski pisze, że jeżeli dziennikarz zdobędzie informacje „nie w związku z wykonywaniem swojego zawodu, w powyższym rozumieniu nie będzie związany tajemnicą, o której tu mowa", i na poparcie tego twierdzenie przytacza postanowienie Sądu Najwyższego z dnia 20 października 2005 roku (niestety, Autor nie podaje, czego ono dotyczy – MP).

Jako laik często nierozumiejący meandrów prawa zupełnie nie rozumiem określenia, że dziennikarz pozyskuje jakieś informacje/materiały „nie w związku z wykonywaniem swojego zawodu". Przyzwyczajony jestem bowiem do traktowania dziennikarza jako osobę, która swój zawód wykonuje permanentnie przez 24 godziny na dobę, i uznaję, że nawet w czasie teoretycznie wolnym od pracy (urlop wypoczynkowy) dziennikarz może zbierać i opracowywać materiały oraz pisać artykuły czy nagrywać reportaże.

Powtórzmy jeszcze pierwsze pytanie: kogo uznawać obecnie za dziennikarza? Czy tylko osoby, które pracują w redakcjach lub którym pracę zleca redakcja? W takim przypadku, za dziennikarzy nie moglibyśmy uznać wszystkich wyrzuconych z TVP dziennikarzy, zatrudnianych (?) przez zewnętrzną wobec TVP firmę Leasing Team. A co z wolnymi strzelcami? Co z blogerami? Co z politykami piszącymi, jako publicyści, dla gazet, w sytuacjach, kiedy to oni decydują za redakcje o dacie publikacji swoich artykułów? Są dziennikarzami, czy nie? A w związku z tym: są zobowiązani do zachowania tajemnicy dziennikarskiej czy nie?

Takich wątpliwości jest więcej, ale większość z nich nie jest przedmiotem artykułu Lecha Jaworskiego. Autor koncentruje się na pochodzącej z Prawa prasowego definicji dziennikarza i w ogóle nie bierze pod uwagę zmieniającej się rzeczywistości pracy dziennikarzy. To nie jest oczywiście zarzut, jako że dla Autora ważne było osadzenie problemu w prawnie zdefiniowanej „rzeczywistości" zawodu dziennikarskiego. Na tym przykładzie widać, iż prawo nie nadąża za zmieniającą się rzeczywistością i poza prawem do zachowania tajemnicy dziennikarskiej pozostawia duże grupy osób uprawiających jakąś formę dziennikarstwa, w tym blogerów, dziennikarzy online, czy twórców telewizyjnych wyrzuconych poza obręb telewizji publicznej do firmy LT.

Po tej uwadze na marginesie przejdźmy do prezentacji dalszej części artykułu dr. Jaworskiego. Autor stwierdza, że celem przepisów dotyczących tej tajemnicy jest ochrona autorów materiałów prasowych, „jak również innych osób udzielających informacji opublikowanych albo przekazanych do opublikowania". Dzięki temu jest możliwy dostęp dziennikarzy do wielu źródeł informacji, co nie byłoby możliwe, gdyby nie istniały prawne gwarancje do zachowania anonimowości. Autor podkreśla, że zachowanie tajemnicy dziennikarskiej jest ujęte w przepisach jako obowiązek dziennikarza, a jego niedotrzymanie pociąga za sobą konsekwencje prawne. Dotyczy to oczywiście nie tylko dziennikarza, ale również redaktora naczelnego i innych osób wymienionych w art. 15 ust. 3 Prawa prasowego.

Ta uwaga osadza w prawnym kontekście „najazd" ABW na redakcję tygodnika „Wprost" i próbę odebrania redaktorowi Latkowskiemu laptopa z informacjami, które mogły naprowadzić do ujawnienia tożsamości osób przekazujących lub powiązanych z przekazywaniem nagrań podsłuchanych polityków. Aczkolwiek Jaworski nie odnosi się bezpośrednio do tych wydarzeń, to jednak z przedstawionej przez niego wykładni wynika, że Latkowski bronił swojego prawa do zachowania tajemnicy dziennikarskiej. Sprawa została omówiona wcześniej przez redaktora naczelnego czasopisma „Lege Artis" Olgierda Rudaka (zob. czasopismo.legeartis.org).

Jaworski zwraca uwagę na ciekawą rzecz, a mianowicie, że jeżeli nawet osoby przekazujące informację nie są świadome, że ich rozmówcą jest dziennikarz, to nadal są one chronione ze względu na przepisy dotyczące tajemnicy dziennikarskiej. Ponadto zastrzeżenie dokonane przez osoby przekazujące informacje (art. 15 ust. 2 pkt 1 pp) będzie wiążące także wtedy, gdy nastąpi to już po czasie przekazania informacji. Z kolei tajemnica dziennikarska przestaje istnieć dopiero wtedy, gdy informator wyrazi zgodę na ujawnienie danych. „Natomiast dziennikarz – pisze Jaworski – sam z niej zwolnić się nie może, zaś jej złamanie, zgodnie z art. 49 pp, stanowi przestępstwo ścigane z urzędu, zagrożone karą grzywny albo karą ograniczenia wolności". Zatem o dyskrecji dziennikarza decyduje naprawdę nie on sam, lecz informator, wyrażając zgodę na ujawnienie swojej tożsamości.

Dziennikarza wiąże zasada zachowania tajemnicy nawet wtedy, gdy zdobycie przez informatora informacji było efektem dokonania przestępstwa, a zastrzeżenie tajemnicy może być sprzeczne z zasadami współżycia społecznego. Wydaje mi się, że gdyby tę regułę odnieść do afery podsłuchowej ujawnionej przez „Wprost", to wynika z niej nakaz zachowania tajemnicy w sprawie tożsamości informatora niezależnie od tego, czy uzyskane informacje pochodzą z przestępstwa czy nie. Sytuacje, w których tajemnica dziennikarska jest wyłączona są dokładnie opisane w prawie (art. 16 pp, art. 180 kpk).

Artykuł Lecha Jaworskiego porządkuje sprawy związane z tajemnicą dziennikarską w świetle obowiązującego w Polsce prawa. Wskazuje też na konieczność zmian formalnych, jak i merytorycznych w obowiązującym obecnie Prawie prasowym. Jednocześnie inspiruje do stwierdzenia, że obecne Prawo prasowe nie uwzględnia istotnych przemian, które nastąpiły w praktyce zawodu dziennikarskiego. W wielu punktach polskie prawo prasowe jest nieaktualne, anachroniczne, pozostaje w tyle za praktyką dziennikarską, i jako takie wymaga szybkich zmian.

MAREK PALCZEWSKI

Refleksje filmowego Mistrza

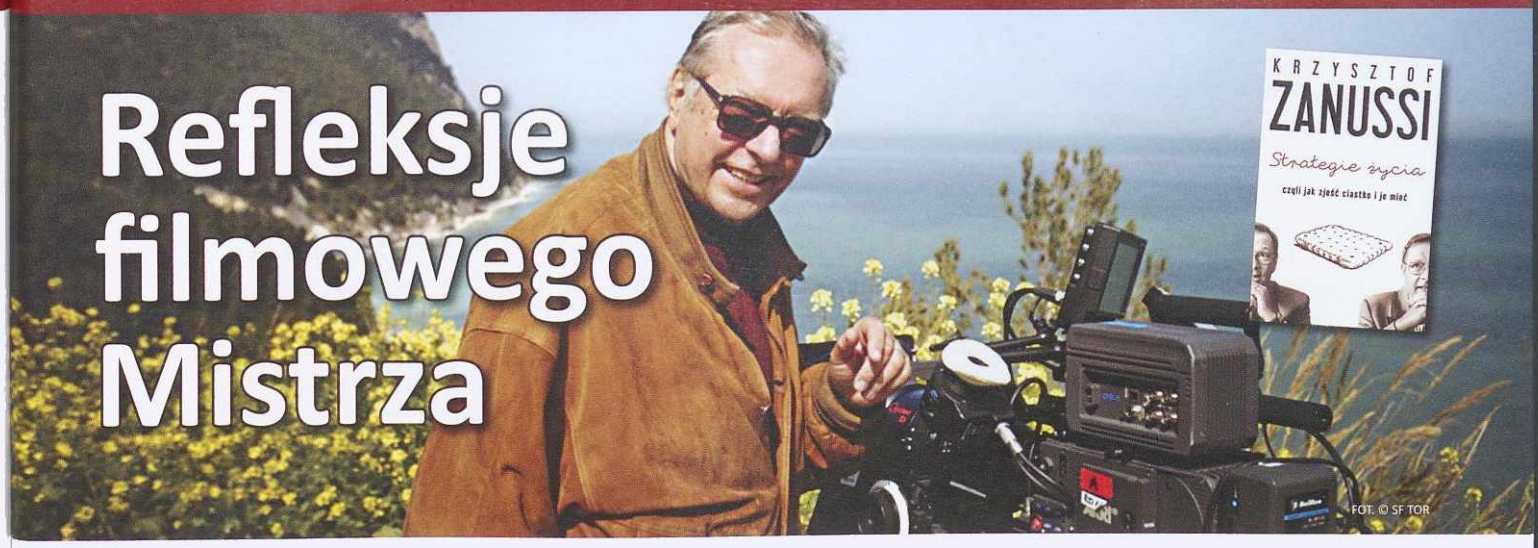

Krzysztof Zanussi, wybitny reżyser jest nie tylko autorem rozlicznych filmów, wielokrotnie nagradzanych na światowych festiwalach, ale też wyśmienitym pisarzem. Przed laty zaczynał swoją przygodę z piórem niewielkich rozmiarów książeczką *O montażu w filmie amatorskim* (1968), aby w kolejnych latach publikować swoje *Scenariusze filmowe* (cztery części). Następnie w jego twórczości pojawiły się książki wspomnieniowe, jak *Pora umierać. Wspomnienia, refleksje, anegdoty* (1997), *Bigos nie zginie!!!!... w rodzinnej Europie* (2003). Najnowszą pracą tego typu, noszącą, w mojej ocenie, charakter książki wybitnie refleksyjnej jest dzieło *Strategie życia czyli jak zjeść ciastko i je mieć* (Poznań 2015, ss. 355).

Twórczość filmowa Zanussiego doczekała się już wielu opracowań, by wymienić tylko Sławomira Bobowskiego *Dyskurs filmowy Zanussiego*, Marioli Marczak *Niepokój i tęsknota. Kino wobec wartości. O filmach Krzysztofa Zanussiego*, ks. Marka Lisa *Krzysztof Zanussi. Przewodnik teologiczny* czy niżej podpisanego *Arystokratyzm ducha. Kino Krzysztofa Zanussiego*. Ważnym dopowiedzeniem dla przyszłych badaczy autora filmów tak znaczących dla polskiej i europejskiej kinematografii jak „Struktura kryształu", „Barwy ochronne" czy „Iluminacja" stanie się zapewne książka samego Mistrza, składająca się ze Wstępu oraz pięciu rozdziałów: I. Dzieciństwo sielskie, anielskie. Młodość..., II. Miłość i rodzina, III. Kariera i pieniądze, IV. Wiek dojrzały, V. Śmierć i życie wieczne oraz Posłowia.

Książka, pomimo tego, iż nosi lekki charakter, nie zawsze zawiera równie „lekkie" treści, gdyż Krzysztof Zanussi to filozof i erudyta, mistrz stylu i frazy, którą z łatwością buduje w swojej opowieści. Jak stwierdza sam autor: „Zaprezentuję tu kilka typowych strategii życia z katalogu moich doświadczeń i obserwacji. Zilustruję je przykładami własnych przeżyć oraz z filmów, które nakręciłem lub do których napisałem scenariusze, opierając się na wątkach zasłyszanych i czasem autobiograficznych. [...] Czy doświadczenie innych może nam się przydać? Czy nie mają racji ci, którzy twierdzą, że nie można się uczyć na cudzych błędach, że trzeba popełniać je samemu? Nie znam na to jednoznacznej odpowiedzi. Z pewnością własnych doświadczeń nic nam nie zastąpi, choć jako belfer (którym jestem przez całe dorosłe życie) muszę wskazać tu wartość sztuki narracyjnej, którą sam uprawiam, a dzięki której znamy cudze historie i wyposażamy się w doświadczenia innych" (s. 12-13).

Krzysztof Zanussi w swojej refleksyjnej książce stwierdza, nie bez racji, iż wiele wskazań życiowych zawiera w sobie sprzeczność, z którą współczesny człowiek zmaga się i nie może w prosty sposób znaleźć szczęśliwego, satysfakcjonującego rozwiązania. Jako człowiek religijny, który nigdy nie odżegnywał się od swojej wiary, przypomina, że Biblia mówi, iż trzeba stracić życie, by je na nowo znaleźć. Czy jednak nie będzie nadużyciem, konstatuje, że trochę podobną konstrukcję myślową zastosował w metaforze z ciastkiem. Zjeść i mieć. Tak żal jest wyrzekać się życia, a tak bardo chciałoby się zyskać je w jakiejś zwielokrotnionej postaci. O wyrzeczeniu się życia mówią nie tylko chrześcijanie, gdyż podobna myśl pojawia się w nauczaniu Buddy, w *Koranie* i w *Wedach*, co świadczy o tym, że dylemat jest uniwersalny.

Jak żyć? Pytanie to często przewija się na kartach książki Zanussiego, który jako wytrawny Mistrz, wzorem Wschodnich mędrców, nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Zauważa, jak wiele się zmieniło w naszym życiu na przestrzeni ostatnich lat, gdy wybieramy dziś własny model życia, ale im więcej w nim wolności, tym więcej również niewiadomych. Odpowiedzi, jak sam przyznaje, poszukiwał w jednej ze swoich ulubionych książek, do których czasami powraca. To *Lampart* Tomassiego di Lapmedeusa. Jest tam opisana rewolucja, która doprowadziła do wyzwolenia włoskich księstw spod panowania Francuzów i Austriaków, i zjednoczenia Włoch w jedno państwo, a przy okazji do pomniejszenia roli arystokracji w życiu publicznym. Stary książę w *Lamparcie* powtarza zdanie wszystkich konserwatystów o tym, że „wszystko musi się odmienić, aby wszystko pozostało po staremu". Wszystko podlega tym samym prawom od lat i stuleci, również pytanie „jak żyć?", które wybrzmiewa w wielu językach świata, lecz odpowiedzi na nie musimy poszukiwać sami, czasami zaopatrzeni w mądre księgi, pokazujące nam czyjeś pokręcone, zawiłe ścieżki życia. Warto zatem spróbować po wcześniejszym „bigosie" najnowszego „ciastka", które tak smakowicie przyrządził sam Krzysztof Zanussi.

MAREK SOKOŁOWSKI

Okiem satyryka

Bez przenośni

Afer w Polsce mamy sporo.
Skąd się one wszystkie biorą?
A niektórym się wydaje,
Że jesteśmy jakimś krajem,
Z korupcyjną metaforą.

Idol

Lewandowski jest artystą,
Lewandowski może wszystko.
Zamknę oczy i nie widzę,
Że gra jednak w Bundeslidze.
Ale polskie ma nazwisko.

ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Odeszli trochę dalej...

Cmentarz Père-Lachaise, posąg autorstwa rzeźbiarza Paula Dubois (1829-1905) na grobie Paula-Jacques'a-Aimé Baudry (1828-1886) FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2013

Smutna z natury jest jesień. Dziwne jest trochę, gdy kwitnącą wiosną idziemy w kondukcie pogrzebowym. Albo latem, gdy trzeba pamiętać o ubiorze – krótki rękaw, jasny strój – nie pasują. Jesienią, zimą mogłoby być łatwiej. A jednak nie jest, gdy odchodzi ktoś bliski, dobry lub zasłużony.

W środowisku dziennikarskim istnieje coś w rodzaju sukcesu chwilowego. Ale także niestety i chwilowa jest pamięć i zainteresowanie człowiekiem. Ot, jest popularny, a może i nachalnie wdziera się różnymi kanałami w naszą świadomość. Podoba się lub wzbudza niechęć. I wtedy mówi się o nim. Stąd też często przesadne poczucie ważności redaktorskiej. Ale, gdy zostaje wyeliminowany z pierwszej linii ze zdumieniem spostrzega, że wprawdzie był, ale nie tak bardzo jak mu się wydawało.

A później?

Później, gdy bieg się kończy ludzie naszego zawodu bardzo szybko znikają z pamięci prawie zupełnie. Po pisarzu zostają książki czasem nawet na dość długo. Aktorów, muzyków zatrzymują w pamięci filmy, nagrania. Dziennikarze z pamięci społecznej znikają bardzo szybko.

Właśnie nadeszła informacja, że żurnaliści ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a konkretnie z Oddziału w Rzeszowie, pojechali do Lwowa, bo kolejny już raz przed Świętem Zmarłych czyszczą, odnawiają a nawet remontują groby dziennikarzy lwowskich pochowanych tam na zapomnianych cmentarzach.

Idziemy ze zniczami na cmentarze w naszych miastach. W tym roku na pewno zaświecą ogniki na grobach tych, którzy ostatnio odeszli. Zmarli w ostatnich miesiącach są jeszcze w naszej pamięci. Czasem nawet nie wierzymy, że kogoś z bliskich osób już nie ma. Można te odczucia łagodzić słowami, np. tłumacząc, że... odeszli trochę dalej. Każdy z nas w tych dniach przypomni sobie kilka nazwisk. Więc i ja – skoro jestem przy piórze – powiem o moich przypomnieniach.

Odeszli...

Ryszard Bójko

Kolega. Kiedyś konkurent zawodowy. Ostatni raz spotkałem go przypadkowo przed kilkoma miesiącami na schodach naszego Domu Dziennikarza. Schodził w dół, a ja szedłem po stopniach w górę. Rozmawialiśmy chwilę. Był skupiony. Powiedział mi o swojej strasznej chorobie, która przybierała na sile. Pożegnaliśmy się. Tak zupełnie zwyczajnie, umawiając niezobowiązująco na spotkanie. Potem, co jakiś czas przypominały mi się różne epizody z okresów wspólnej pracy w telewizji. Rywalizacja przy programach „Banki Miast", myślałem też, co przez lata późniejsze nas różniło. Właściwie nigdy nie pogadaliśmy tak trochę głębiej. Ryszard był tak, jak ja, dziennikarzem, a także prawnikiem. Ciekawe byłoby podsumować choćby ostatnie 25 lat. Już to się nie uda. Zaniedbałem...?

Mariusz Czarniecki

Był aktywny na spotkaniach SDP-owskiego Klubu Publicystyki Kulturalnej, a także Klubu Seniora. Były i są to zawsze regularnie odbywane, ciekawe comiesięczne spotkania. Zbiera się zawsze kilkadziesiąt osób. Redaktor Czarniecki chętnie brał udział w dyskusjach. Słuchano go uważnie. Nigdy jednak nie opowiadał o sobie. No, wprawdzie nigdy nie był o to proszony. Szkoda. Potem w nekrologu czytaliśmy o nim, o jego życiu, dokonaniach. Było to życie bardzo bogate. Studia filologiczne, prawnicze, twórczość dziennikarska i pisarska. Był redaktorem i animatorem pism społeczno-kulturalnych. Działał w różnych środowiskach – stołecznym, szczecińskim. Był uzdolniony muzycznie. Komponował, pisał wiersze. Na pewno można było o wiele więcej skorzystać z jego doświadczeń i przemyśleń. Dlaczego tego nie zrobiliśmy? Był przecież obok.

Cezary Prasek

Owszem były w naszych zawodowych periodykach jego informacje, artykuły, recenzje. Także o nim pisaliśmy i o jego książkach. Można teraz do tego, co napisał wracać. To ciekawe historie dotyczące lat niedawno minionych, a jednak już historia – 50., 60. lata. Dla młodszych to już prehistoria, dla rówieśników Pana Redaktora Praska – chwila wspomnień i refleksji. O książkach to jeszcze możemy porozmawiać, ale artykuły rozrzucone po rozmaitych pismach, ukazywały się przez kilkadziesiąt lat – dawno zatarły się w pamięci. Przeminęły z wiatrem. A przecież właśnie publicystyka, artykuły były sensem życia naszego kolegi.

Wowo Bielicki

Zmarł dokładnie trzy lata temu. Owszem pamiętamy, bo to artysta, który działał na wielu polach – telewizja, teatr, wielkie widowiska, malarstwo i scenografia, reżyserowanie i dyrektorowanie teatrom. Co roku odnawiamy wspomnienia. I dobrze, bo tak trzeba.

Erazm Ciołek

Fotografik, artysta fotografii. Dla mnie przede wszystkim reporter. Wystawy, książki, albumy. Uzbierało się tego. I właśnie dzięki temu, że przez całe lata trudnej do zniesienia Polski był wszędzie tam, gdzie działy się ważne rzeczy, gdzie było niebezpiecznie, gdzie ludzie protestowali a inni bili ich, i przeganiali. Erazm jest związany nierozerwalnie z etosem „Solidarności". Doczekał się zwycięstwa. Jego również musimy pamiętać jak najdłużej.

Odchodzą. Tak to już jest. Ale ci, którzy ich znali, pracowali razem – są strażnikami pamięci. Może i chwilowej. Warto jednak poświecić trochę czasu, by przypominać kolegów. To chwilowe rozstanie. Odeszli trochę dalej...

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

„La Douleur" (2. poł XIX w.) – posąg na grobie rodziny Moreau-Vauthier na cmentarzu Père-Lachaise

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2013

Nagrobki mówią o nich prawdę

Na warmińskim, dominującym nad Gietrzwałdem wzgórzu, już pod lasem przy drugim wejściu na cmentarz pierwszy grób, a na nim napis: „Andrzej Samulowski". To powitanie od kogoś z ulotną duszą. Bo pod nazwiskiem informacja: „Malarz ukochanej Warmii".

To stąd się jej teraz przygląda, tak jak wtedy, gdy wchodził na te same stoki, by najlepiej oddać piękno bazyliki, kaplicy i okalających je różnokolorowych drzew. A jego pastele do dziś niezmiennie zachwycają. Malował lekko, kilkoma pociągnięciami pędzla i pełnią swej duszy. Jego Warmia pobudzała i pobudza najwrażliwsze struny w sercu. Piękno tej krainy oddawał w niezwykły sposób. Może też utrwalał ulotną tęsknotę, która towarzyszyła jego malowaniu? Kochajmy, to co delikatne? To, co jest nasze i co do nas należy, bo my jesteśmy stąd?

Gietrzwałd to przecież miejsce na ziemi, gniazdo i dom Samulowskich. Poniżej, naprzeciwko kościoła, mieści napis „Księgarnia A. Samulowski". To jego dziadek. Nieustraszony i nie lękający się bronić polskiego słowa i polskiej kultury. Poeta, wielki patriota i działacz. Imiennik przodka Andrzej i jego młodszy brat Henryk urodzili się w Toruniu. Przegrany Plebiscyt w lipcu 1920 roku, gdy Samulowski z okien domu wywiesił sztandar z orłem rzucił się cieniem na historię rodziny. Ojciec Lucjan musiał opuścić rodzinne strony na rzecz Pomorza. Toruń znalazł się w Rzeszy, a Samulowscy trafili do Wehrmachtu. I obaj z niego uciekli. Andrzej walczył potem pod Monte Cassino, Henryka skierowano do Szkocji. Nawet przez myśl im nie przeszło pozostawanie na emigracji. Wrócili jak najszybciej do matki Klary, żony Lucjana, do Gietrzwałdu. Andrzej swoje artystyczne zamiłowania realizował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Henryk poznał swoją żonę Brygidę na Śląsku. I to ona jak niegdyś Marta, żona dziadka stanęła za ladą w księgarni.

Grób Henryka Samulowskiego (1925-2001) FOT. © ANDRZEJ DRAMIŃSKI

Andrzej miał gdzie wracać z Krakowa. Dzięki młodszemu bratu i jego żonie pieszczotliwie nazywaną „Giodą" wiedział, że ze stolicy Małopolski wraca do siebie i też do polskości. Gioda i Henryk dbali też o Izbę Pamiątek, czyli prywatne muzeum Samulowskich w pokoju po prawej stronie na parterze od strony kościoła. Tu był przechowywany sztandar, który ich nieustraszony dziadek, zdecydowany bronić polskiego progu, umieścił w oknie w dniu tego nieszczęsnego Plebiscytu.

Henryk od pierwszego dnia w Wehrmachcie był oddany myślom jak i kiedy wróci do Gietrzwałdu. Uciekł z niego, to jest przebiegł przez front z krzykiem: „Jestem Polakiem, nie strzelajcie do mnie". Nie strzelali, ale mu nie zaufali. Do końca wojny był w służbach pomocniczych w Szkocji, daleko od pól walk. Gdy w 1945 roku było takich wielu, którzy namawiali do pozostania na obczyźnie, bo „to nie ta, bo czerwona Polska" Henryk niecierpliwie liczył czas do odpłynięcia statku do Polski. Też miał olbrzymi talent do malowania, niektórzy twierdzili, że może nawet większy od Andrzeja. Ale ktoś musiał pilnować

Odeszli z dziennikarskiej wspólnoty w minionym roku...

ODDZIAŁ KRAKOWSKI SDP – red. Anna Gorazd (ur. 1932) • ODDZIAŁ GDAŃSKI SDP – red. Alina Główczyńska (ur. 1932); • ODDZIAŁ KUJAWSKO-POMORSKI SDP w BYDGOSZCZY – red. Michał Leonard Jagodziński (ur. 1948) • WARMIŃSKO-MAZURSKI ODDZIAŁ SDP w OLSZTYNIE – red. Aleksander Wołos (ur. 1934) • ODDZIAŁ WARSZAWSKI SDP – red. Zofia Janiczak (ur. 1920), red. Konrad Paradowski (ur. 1931), red. Krystyna Nepomucka (ur. 1920), red. Bogdan Kołodziejski (ur. 1930), red. Krystyna Kraśniewska (ur. 1934), red. Tamara Elżbieta Jakżyna (ur. 1945), red. Danuta Borkowska (ur. 1925), red. Mariusz (wł. Marian) Michał Czarniecki (ur. 1943), red. Cezary Prasek (ur. 1944), red. Andrzej Korybut-Daszkiewicz (ur. 1940) •

Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis. Requiescant in pace. Amen.

Grób ks. Wojciecha Zinka (1902-1969) FOT. © PIOTR SROGA / GN

gniazda. A i pieniędzy wtedy w latach 50. nie było aż na dwóch studentów w rodzinie.

Henryk powiedział, że jego nagrobek ma mieć kształt Polski. I tak jest. Widać wyraźnie zaznaczony Hel i ten ukos na południowym wschodzie, zostawiający Lwów 70 km od polskiej granicy. To tak, jakby chciał powiedzieć: „zawsze kochałem i będę kochał Polskę". Bardzo ubolewał w rozmowach rodzinnych, iż „Gazeta Olsztyńska", której pierwszy próbny numer wydrukowano tu pod ich dachem, dostała się w ręce niemieckiego kapitału. Być może wielu to nie przeszkadza, mają miejsce pracy, z wprowadzeniem kapitalizmu może i tak musiało być. Kto ma kasę ten rządzi, nawet duszami. Ale tego Samulowscy nie chcieli przyjąć do wiadomości. Henryk chciał nawet się wybrać do redaktora naczelnego z gorącym protestem. Tajemnicę dlaczego tego w końcu nie zrobił zabrał do grobu. My relatywizujemy historię, te trudne dzieje. Dla nich nie było kompromisów.

Gdy się jeździło do dziadka przed II wojną światową do Gietrzwałdu, gdy się wjeżdżało do miasta Allenstein dzisiejszą ul. Pieniężnego, a potem szło na Fisch Markt, by zobaczyć dom z czerwonej cegły z napisem „Gazeta Olsztyńska", polskość miała właśnie w tym Allenstein określony smak i znaczenie. Takich uczuć się nie zdradza.

Zaraz za grobami Andrzeja i Henryka Samulowskich, ich dziadka, babki, rodziców i innych Samulowskich jest jeszcze jeden grób z napisem: „Adalbertus Zink" (Wojciech Zink). Napisy po łacinie, bo tu polski, czy niemiecki nie w pełni, by oddawał złożoną historię jego losów przed i po II wojnie światowej. Gdy 25 września 1953 roku przyszli po Stefana Kardynała Wyszyńskiego, tylko on potrafił się przeciwstawić ubecko-komunistycznemu bezprawiu. A aresztowany miał powiedzieć: „Bronili mnie wtedy tylko Niemiec i pies". Ksiądz Kardynał zapłacił taką cenę za „*non possumus*", nie zgadzamy się na podporządkowanie Kościoła władzy świeckiej. Ale to „*non possumus*" w innej formie i sytuacji wypowiedział właśnie on. Ten Niemiec to właśnie ksiądz Zink.

Warmiak, który wykonywał swoją posługę na tych terenach od 1925 roku. Polskiego nauczył go Jan Hanowski, proboszcz katedry św. Jakuba w Olsztynie. Od 1951 roku to on faktycznie zarządzał diecezją warmińską jako administrator apostolski, po nakazowym usunięciu przez władze poprzednika ks. Teodora Benscha. Na dole płyty nagrobnej jest biskupia mitra, a w środku krzyż. Zink formalnie biskupem nie mógł być, gdyż Watykan nie mógł tego zrobić do czasu uregulowania granic między Polską a Niemcami w 1970 roku. Stąd pierwszym pełnoprawnym polskim biskupem po 1945 roku był dopiero Józef Drzazga (od 1972 r.). Nad mitrą napis „Requiescat in pace" – „Niech spoczywa w pokoju". I dotyczy to wszystkich, tak różnych grobów i w różnych językach na tym gietrzwałdzkim wzgórzu.

ANDRZEJ DRAMIŃSKI

Redaktor Alina Główczyńska

Zgrona dziennikarzy zrzeszonych w Oddziale Gdańskim Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich pożegnaliśmy w 2015 roku red. Alinę Główczyńską.

Urodziła się 6 lipca 1932 roku w Sosnowcu, studia dziennikarskie ukończyła na Uniwersytecie Jagiellońskim (1954) i na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego (1969). Od roku 1954 pracowała w gazetach wybrzeżowych: „Głosie Wybrzeża" i „Wieczorze Wybrzeża".

W okresie stanu wojennego zrezygnowała z pracy w dziennikarstwie, zatrudniła się (1984-1988) jako kustosz w bibliotece Politechniki Gdańskiej. W latach 1990--1992 – współorganizatorka i redaktor naczelna pierwszych tygodników lokalnych na Wybrzeżu: w Pucku, Kartuzach, Kościerzynie, Sztumie, Wejherowie i Żukowie. Publicystka „Dziennika Bałtyckiego" i „Wieczoru Wybrzeża" w latach 1991--2001.

Redaktor Główczyńska była członkiem SDP od 1969 roku. Dwukrotna laureatka nagrody Klubu Publicystów Ekonomicznych, odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma odznakami i medalami. Zmarła 26 sierpnia 2015 roku w Gdańsku. 31 sierpnia spoczęła na Cmentarzu Srebrzysko.

TADEUSZ WOŹNIAK

PANI DYREKTOR

BOŻENNIE DOBRZYŃSKIEJ

NASZEJ DROGIEJ KOLEŻANCE

SERDECZNE WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIĄ OJCA

KAZIMIERZA DOBRZYŃSKIEGO

30 IV 1939 – 1 IX 2015

KOCHANA BOŻENNO JESTEŚMY Z TOBĄ
W TYCH TRUDNYCH CHWILACH
koleżanki i koledzy, przyjaciele
ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

II Spotkanie Integracyjne Dziennikarzy Warmii i Mazur

Trójkąt Lidzbarski, 26 września 2015

Fortyfikacje tzw. Trójkąta Lidzbarskiego, Orneta, Krosno i Chwalęcin oraz leśniczówka Józefowo, stały się 26 września miejscem spotkania członków naszego Stowarzyszenia oraz dziennikarzy niezrzeszonych, w ramach Spotkania Integracyjnego Dziennikarzy Warmii i Mazur. To druga tego rodzaju impreza, po ubiegłorocznej wyprawie w Dolinę Wałszy, jaką zorganizował Warmińsko-Mazurski Oddział SDP.

Podczas 2. Integracyjnego Spotkania Dziennikarzy Warmii i Mazur były reprezentowane m. in. redakcje SDP-owskiego „Forum" i „Bez Wierszówki", a także czasopism lokalnych – uniwersyteckiego „Biuletynu WPiA UWM", miesięcznika „Debata", internetowego „Expressu Olsztyn" i Radia Olsztyn. Uczestniczyli także przedstawiciele – współpracujących z Warmińsko-Mazurskim Oddziałem SDP – olsztyńskich stowarzyszeń „Pro Patria" i „Patria Nostra". Zarząd Główny SDP reprezentował sekretarz generalny red. Stefan Truszczyński.

Wszystkim, którzy pomogli w organizacji Spotkania, a szczególnie: panu Kazimierzowi Kiejdo – Burmistrzowi Pieniężna, panu Piotrowi Matusikowi – Nadleśniczemu z Ornety, państwu Barbarze i Krzysztofowi Widerskim z Leśnictwa Józefowo, państwu Bożenie i Krzysztofowi Łapińskim z Pieniężna, opiekunom sanktuariów – ks. Tomaszowi Kocińskiemu z Chwalęcina i ks. Łukaszowi Sadko z Krosna oraz panu Antoniemu Woźnemu – właścicielowi Prywatnego Przewozu Autobusowego z Pieniężna, składam serdeczne podziękowania w imieniu dziennikarzy i Stowarzyszenia.

IRENEUSZ ST. BRUSKI
Prezes Oddziału SDP

bezwierszówki MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY SDP

Redaktor naczelny: Ireneusz St. Bruski, tel. 531 507 527, e-mail: bezwierszowki@wp.pl • **Kolegium redakcyjne:** Andrzej Zb. Brzozowski, Jan Rosłan, Stefan Truszczyński, Bożenna Ulewicz • **Stała współpraca:** Teresa Bochwic, Małgorzata Chomicz, Krzysztof Kłopotowski, Elżbieta Królikowska-Avis, Marek Palczewski, Jerzy Pantak, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Zbigniew Połoniewicz, Adam J. Socha, Marek Sokołowski, Monika Szczygło, Błażej Torański, Jacek Wegner • **DTP:** Marcelina Gorzka • **Adres redakcji** (do korespondencji): 11-041 Olsztyn, ul. kard. Hozjusza 12/3 • **Nakład:** 3000 egzemplarzy • **Druk:** Przedsiębiorstwo Poligraficzne Hakus, Maria i Andrzej Kuśmierczyk sp. j., 11-041 Olsztyn, ul. kard. Hozjusza 11, tel. 89 523 92 40, www.hakus.pl

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH

DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.

Oferujemy:

- *130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych*
- *Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)*
- *Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking*

Zapraszamy:
uczestników kongresów, szkoleń, konferencji i gości indywidualnych.

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com

Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.